

1(64) STYCZEN 1988 CENA 100 ZŁ

# Fantastyka

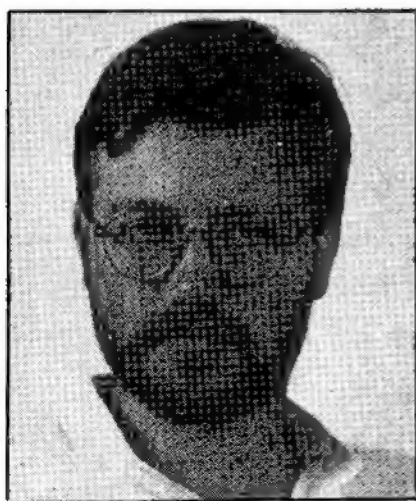
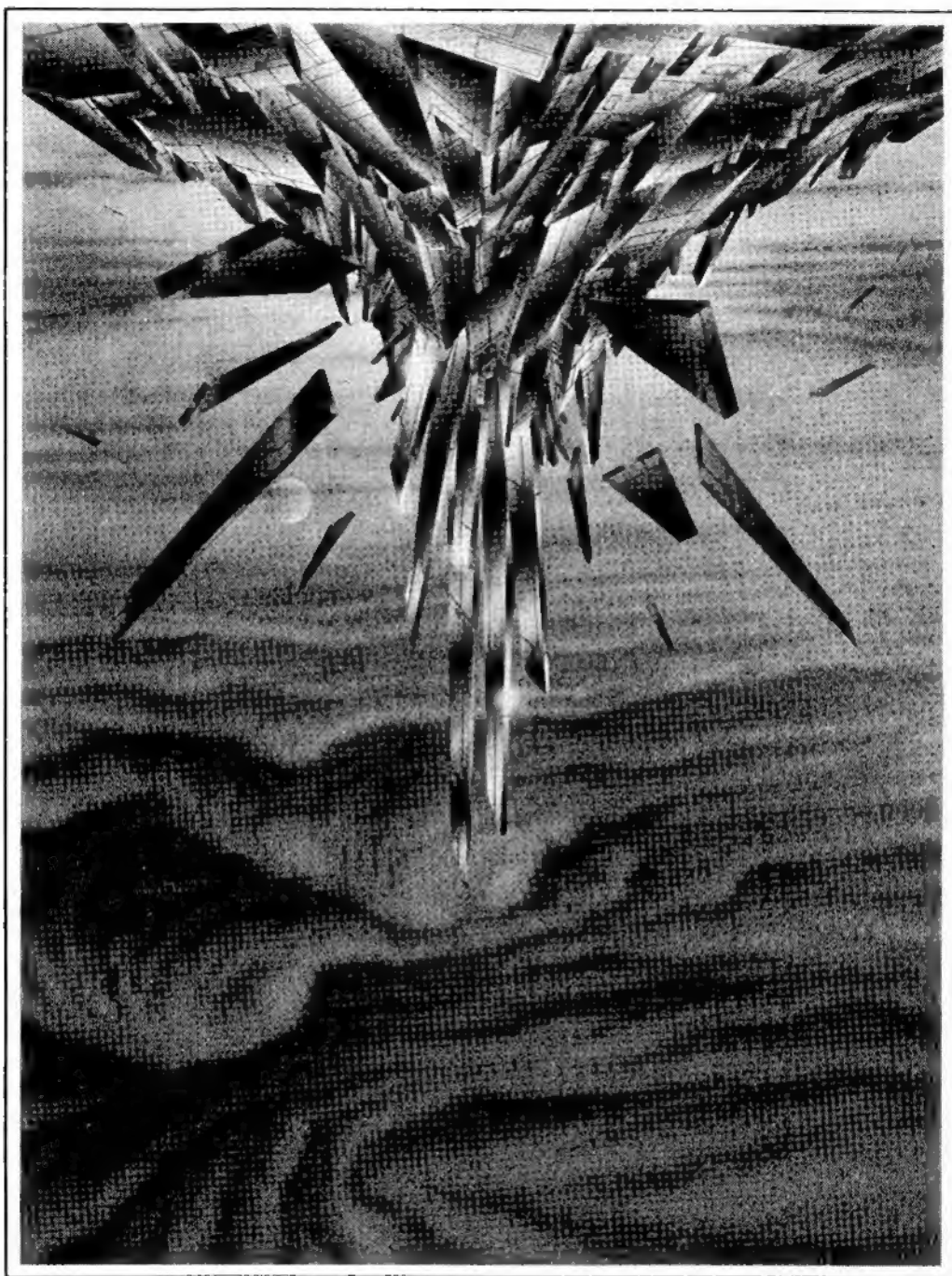
PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



HANNA BAKULA





## MICHELANGELO MIANI

Michelangelo Miani urodził się w 1959 r. w Wenecji. Od 1980 r. zajmuje się zawodowo grafiką wydawniczą. Specjalizuje się w ilustracjach do czasopism i książek naukowych i fantastycznych oraz w grafice reklamowej. Wykonuje swoje prace głównie przy użyciu aerografu i temper.



Król horroru Stephen King straszy po raz pierwszy w „Fantastyce”! Na naszych łamach: esej i mikropowieść Kinga (str. 21 i 23) oraz dwa teksty krytyczne jemu poświęcone (str. 43 i 64)

## Opowiadania i nowele

Robert Sheckley  
Rece przy sobie

4

...od razu dostrzegł, że jeżeli chodzi o kształt, są z grubsza mabogijni. W Unii Mabogijskiej istniała rasa bardzo do nich podobna, tyle że budująca zupełnie inne statki. Intuicja podszeptała mu, że mogą to być przedstawiciele tej wielkiej cywilizacji z perylenów Galaktyki, o której od dawna już dochodziły plotki...

Robert Sheckley  
Coś za nic

16

... Chciałbym dostać tysiąc dolarów w drobnych banknotach – odezwał się ostrożnie Collins. Kiedy szum się nasilił, wcisnął guzik. Wyrosła przed nim spora kupa podniszczonych banknotów.

## Powieść

Stephen King  
Ballada o celnym strzale

23

... Czy ktoś opublikował to opowiadanie? – zapytał pisarz.  
– Nie, ale nie dlatego, że pisarz oszalał i popełnił samobójstwo. Nikt go nie opublikował, ponieważ czytający je redaktor oszalał i niemal popełnił samobójstwo...

## Komiks

Wilcza kłątwa (1)

31

Scenariusz: Rafał A. Ziemiakiewicz. Rysunki: Grzegorz Komorowski. Zwolennicy fantastyki, cieszyć się!!!

## Z polskiej fantastyki

Short stories po polsku

44

Kolejny zestaw miniatur literackich. Autorzy: Barbara Minejko, Andrzej B. Boryczko, Wacław Siec, Agnieszka Taborska, W. Markiewicz, Leszek Kraskowski, Michał Łukasiewicz, Zofia Beszczyńska, Ewa Lipska, Andrzej Knapik, Małgorzata Kondas. Większość wymienionych nazwisk – po raz pierwszy na naszych łamach.

## Krytyka

Nocna zmiana

21

...porozmawiamy o strachu. Bez podnoszenia głosu i bez krzyków, porozmawiamy sobie rozsądnie – ty i ja. Porozmawiamy o tym, jak solidna materia rzeczywistości rozrywa się czasami tak nagle, że przypisujemy to o drzenie. – szkie Stephen Kinga o horrorze.

Luksusowy wehikuł strachu

43

...Dzisiaj poznamy pierwszą z kolekcji bestii, których istnienie fascynuje tego niezwykłego pod wieloma względami pisarza. Na imię jej szaleniec – Krzysztof Sokółowski o drukowanej w tym numerze „Fantastyki” mikropowieści Stephen Kinga.

Słownik polskich autorów fantastyki

56

Sylwetka Teodora Parnickiego (ur. 1908) autora powieści „historyczno-fantastycznych”. Na „pozostałych kartkach” fragmenty „Wylegarni dziwów” – piątego tomu „Nowej baśni”.

Recenzje

58

Ewa Nowacka o książce Marty Tomaszewskiej „Wielkolud z Jaskini Piratów albo tajemnica czwartej ściany”. T. Zbigniew Dworak o powieści Frederika Pohla „Galeway – Brama do gwiazd”.

Krajobraz po debiucie

60

Czy pełna młodzieńczej pasji (zaprawionej odrobiną goryczy) wypowiedź Rafała A. Ziemiakiewicza wywoła jakiś odzew?

## Podbój... Ziemi

K2 – zimą!

62

...Korzystamy z kosmicznych materiałów i technologii... – mówi Andrzej Zawada, jeden z najwybitniejszych alpinistów świata

## Film i fantastyka

Król Stefan I

64

Sfilmowano wszystkie (!) powieści jego autorstwa, a także wiele opowiadań. Jest scenarzystą, aktorem i reżyserem... Krzysztof Sokółowski o Stephenie Kingu – zdobywcy Hollywoodu.

W jednym z wywiadów ze znanym pisarzem science fiction z Moskwy, Kirem Bułyczowem, przeczytałem niedawno jego zgrabną i skromną ripostę na pytanie o najlepszych u Rosjan: są Strugaccy, a potem wielu innych, podobnie jak w Polsce – Lem, a za nim reszta. Coś w tym rodzaju, cytuję z pamięci.

Ostatnio na łamach naszych pism, dalekich od fantastyki, zajmujących się najnormalniejszą w świecie literaturą, jakkolwiek rzadko drukujących jej przykłady, wzięto się do Lema, czy (jakby to ujęli – jak zwykle nie najlepiej po polsku – niektórzy czołowi tych pism krytycy) „wzięto się za Lema”. Posypały się apoteozy, recenzje prawie na kolanach, ale także i kpinki, tak, tak, nawet i one. Zwłaszcza jedno z czasopism dało w tym względzie prawdziwy popis, wyrывая poszczególne wyznania i sformułowania z kontekstu rozmów Beresia z Lemem, niedawno wypuszczonych na rynek przez Wydawnictwo Literackie z Krakowa. Och, ludzie z tego pisma doskonale umieją stosować taką metodę podszczypywanek i ośmieszania drugich, można by rzec – specjalizują się w niej. Moj Boże, jeśli ktoś inaczej krytykować nie potrafi... Chociaż w przypadku uznanej na całym świecie pozycji polskiego mistrza science fiction, próby ośmieszania i szczypanki nie mają się tej postaci, lecz spływają z niej na tego, który ośmiesza – „znaj proporcję mocium panie”. Zresztą wiadomo, że w naszym kraju nikt się od zawistników nie potrafi opędzić. Przecież część naszej „krytyki – nie krytyki” z maniackim, zawistniczym uporem, po dziś dzień, nawet zmarłym wielkościom nie daje spokoju i zażywania zdobytej z trudem (bo u nas nic nie idzie łatwo) powszechnej sławy. Ileż się wybrzydza na Sienkiewicza, a także już i na Żeromskiego oraz na innych, przykłady znane są prawie każdemu, kto choć odrobinę interesuje się naszym życiem literackim. Jakież komplikacje przeżywa wielu, żeby



poradzić sobie nie tylko z teraźniejszością, ale także z historią.

A równocześnie przy tych „głębokich” zainteresowaniach wadami (czasem, rzadko – i zaletami) bliźnich, pisarzy i twórców, żywych i umarłych, przy tych namietnościach, jakie rozpała na przykład postać Lema, jakże mało, jakże ubogo gospodaruje się rodzimą literaturą. Aż się wierzyć nie chce, że taki wielki Sienkiewicz, Prus czy Żeromski drukowali swoje dzieła w gazetach i ani sami się tego nie wstydzili, ani nie budzili swoimi publikacjami w codziennej, niemal brukowej prasie, wstydu macierzystych swych wydawnictw, a działa się to wszystko ku radości zwykłego czytelnika, który za grosze mógł na co dzień obcować z bohaterami najlepszych autorów. Ciekawe, że nie wpływało to absolutnie na pokupność książek, kiedy te same dzieła, które opublikowano w gazetach, ukazywały się w broszurowej czy twardej okładce.

Tymczasem u nas dzisiaj, kiedy oddane do wydawnictw książki polskich autorów na skutek różnych mniej lub bardziej obiektywnych przyczyn skazane są na leżakowanie i to bardzo długie, wieloletnie, nikt się właściwie nie stara, aby treści książek dostawały się od razu do publicznej wiadomości za pomocą środków masowego prze-

kazu. Można by rzec: im więcej tych środków, im bogatsze w stosunku do druku ich możliwości publikatorskie, tym rzadsze są publikacje; pociąg do autarkii, do samodzielnych, odrębnych księstewek czyni zbyt często nasze gazety, radio czy telewizję estradami do występów ich własnych, przez nie wykreowanych twórców. Jest to na pewno jedna z przyczyn zachwiania równowagi nakładowej wielu czasopism, bardzo szkoda, że życie nie rozlicza bezpośrednio w ten sam sposób środków masowego przekazu, przymusowo opłacanych przez tych wszystkich, którzy po prostu mają w domu odbiorniki.

Drażniąca jest też w naszych gazetach druzgocąca przewaga utworów (jeśli się je w ogóle publikuje) zagranicznych nad krajowymi i kryminalnych nad innymi gatunkami pisarstwa.

Metody te zresztą zdają się pokutować także i w piśmiennictwie tworzonych przez różne kluby młodzieżowe, mówią mi redaktorzy tych pism i piśmienników, że brakuje im materiałów, że przydałyby się im ciekawe tłumaczenia przede wszystkim. Tam, gdzie można by próbować i eksperymentować, gdzie pieniądze nie powinien odgrywać zasadniczej roli, boć to przecież wydawnictwa amatorskie, tam mimo wszystko biznes przeważa, tam biznes się panoszy. Podobno ceny tych piśmienników tak się kształtują, aby dawały one niezłe zyski, a członkowie klubów, a tzw. fanowie niech kupują, niech sobie ciufają na swoje fanzyny, niech wymagają dotacji od mam i tatów. Proszę rozrzeć się wokoło, te wszystkie zjawiska, które w tym orbitowaniu ukazałem w wielkim skrócie, są dokładnie widoczne, one nas otaczają i – tak jest – osaczają.

10 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

**Adam Hollanek**

## MESECSZNIK LITERACKI Fantastyka

Adres redakcji:  
00-640 WARSZAWA,  
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. naczel., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej) 25-50-51 (z-ca red. naczel., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

**Redaktor naczelny:** Adam Hollanek.

**Zespół redakcyjny:** Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczynek (kier. działu zagr.), Sławomir Kędziński (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadomski (z-ca red. naczel.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. naczel.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Dorosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziembkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

**Wydawca:** Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Włókiendrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

**Zam. 3982 87.K-69**  
Nakład 150 000 egz.



# Czytelnicy i „Fantastyka”

## Lądowanie LIX

**N**ajpierw dobra wiadomość na ten Nowy Rok: będzie więcej „Fantastyki”, jest szansa na przyrost nakładu naszego pisma. Proszę nas informować, gdzie go brakuje, gdzie by trzeba trochę dorzucić, aby miłośnicy nie potrzebowali prosić się i uga... I tę informację przekazuję setkom, a nawet tysiącom takich Czytelników jak na przykład **Stanisław Bochnak** z Lublina, **Marcel Król** z Gdyni, **Józef Krawczyk** z Gdańska, **Jan Rowczyk** z Krakowa, **Jolanta Glińska** z Lublina. Wszystkich nie wyliczę. Proszę pamiętać o listach z narzekaniami na brak „Fantastyki”. W miejscach, gdzie jej zbyt mało, postaramy się dostać trochę egzemplarzy. A teraz do krytyki

### Walczyć o przetrwanie

W ciągu pięciu lat wydawania „Fantastyki” jej poziom obniżył się według mnie co najmniej 60 procent. (...) rozumiem, że nadal walczyście o przetrwanie, ale chyba nie tędy droga, aby osiągnąć rzeczywisty sukces.

**Andrzej Niestoruk**  
lekarz weterynaryj ze Stawna

Dziękujemy za przemyśły list z życzeniami, domyślamy się źródeł inspiracji. Życzymy literatury fachowej, nikogo nie zmuszamy do czytania „Fantastyki”, jeśli się tak nie podoba.

### Effekt Waszego anonisu...

... przyniósł pożądany efekt: zdobyłem wszystkie brakujące numery. Oprawiłem sobie nawet powieści z tych numerów. Nadal poszukuję, tym razem książek: Asimova, Ballarda, Boville'a, Clarke'a, Dicka, Le Guin, Harrisona i Poe'a.

**Artur Szumiec**,  
Worceła 7/9  
50-448 WROCŁAW  
tel. 44-21-85.

### Jestem szczęśliwą posiadaczką...

... wszystkich numerów „Fantastyki” oraz około 600-tomowej biblioteczki SF, z której korzystają

wszyscy znajomi czciciele gatunku, a ostatnio nawet mój oderwany się fantastyce maz. Jestem też, a może przede wszystkim instruktorką ZHP (...). Od siebie chciałabym na pięćlecie życzyć Wam kolosalnych ilości najwspanialszych gatunków papieru, obcokrajowców za złotówki, samych znakomitych prac w trzecim literackim konkursie, sobie zaś od Was – dużo dużo fantasy i aktualniejszych recenzji książkowych (...). Zdradzę jeszcze ze dzięki Waszej pięcioletniej mądrej polityce przerobiłście mnie, śmieciowego wroga komiksu, na osobę umiarkowanego komiks doceniającego.



Dziękujemy za dobre słowo, niestety, pierwszy numer, który mógłby zawierać informację o Waszym „złazie”, drogie Druhny i Druhowie, to będzie numer styczniowy, ten, w którym się list ukazuje. Ale ktoś od nas na Wasze zaproszenie, rzecz jasna, mógłby przyjechać na inną imprezę. Czekamy na termin, proszę dzwonić do redakcji celem umówienia się. Zdjęcie zamieszczamy.

### Zbieram dzienniki...

... czasopisma, biuletyny oraz materiały o ich historii. Moja kolekcja liczy około 15 tysięcy tytułów z 60 krajów świata. Prośba do Was – przyslijcie kilka numerów, chociażby 2, 3, napiszcie trochę o historii Waszego pisma.

**Aleksander Nikołajewicz Szmakow**  
Skr poczt. 220  
Nowokuznieck-32,  
654032 – ZSRR

Przesyłamy dwa okazowe numery. Informujemy jednocześnie, że postaramy się – już się staramy – o zwiększenie możliwości otrzymywania w Kraju Rad naszej „Fantastyki”, na przykład za pomocą prenumeraty. Historia naszego pisma sięga października 1982, wtedy wyszedł pierwszy numer. Zamieszczamy zarówno prozę polską, jak i fantastyczne utwory zagraniczne, w tym wiele radzieckich, takich pisarzy jak Bracia Strugaccy, Kir Bułyczow, Dmitrij Bilienkin i wielu innych. Prowadzimy dział krytyki, drukujemy słownik autorów polskich, od czasu do czasu także wiersze.

### Odkupię „Fantastykę”...

... z lat 1982–87 oprócz 1–5, 8–9, 11/84, 3, 6, 12/85 oraz następujące pozycje książkowe: Harrison – „Planeta śmierci”, Lem – „Obłok Magellana”, „Eden”, „Dzienniki gwiazdowe”, Weinfield – „Władcy czasu”, Oramus – „Senni zwycięzcy”, Wyndham – „Dzień Tryfidów”, Sniegow – „Dalekie szlaki”, Clarke – „Kowboje oceanu”, Tolkien – „Władca Pierścieni”, Bradbury – „K jak Kosmos”, Jelfremow – „Mgławica Andromedy”, Asimov – „Koniec wieczności”, Herbert – „Diuna”, Van Vogt – „Wyprawa do gwiazd”, Lengyel – „Druga planeta słońca”, Gunn – „Droga do Scienia Fiction” (1 tom).

**Piotr Jastrzębski**  
Czerwonka  
62-652 CHODÓW  
woj. kroszeńskie

### Mam 15 lat...

... na lekcji języka polskiego Pani zaproponowała nam, abymy raz w miesiącu zdawali relację z lektury ostatnio przeczytanej. Zaczęłam czytać i przynosić na „lekcję lektury” książki fantastyczne, ale Pani uważa, że te książki nic nie dają. Z musu więc zacząłam czytać inne lektury, ale nie zaprzestałam czytania fantastyki. Moją pierwszą książką fantastyczną była „Opowieść o pilocie Pirxie”.

**Grzegorz Żółtaszek** z Wielunia

Pani zapałzona jest widocznie w „realizację” programów w starym stylu, wymaganych przez kuratoria programów, które niestety, pisałem już o tym, nie uwzględniają w doborze lektur najbardziej młodzież interesujących. Ciekawe, że w dodatku nie spodobał się Pani sam Stanisław Lem, pisarz sławny na całym świecie. W programach szkolnych – fantastyki na lekarstwo, za to – obok wartościowej klasyki – mnóstwo za bardzo „cegieł” pseudowspółczesnych. Niemniej radzimy słuchać Pani, a lekturę Lema i innych fantastów traktować nadobowiazkowo. Nie ma innej rady.

### Komu, komu...

Mają interesy w dziedzinie wymiany książek i czasopism następujący nasi Czytelnicy: **Krzysztof Sobczak**, Dworcowa 27/12, 78-100 KOŁOBRZEG, **Chris Oliwa**, 14 Jersey RD, STRATHFIELD 2135, Sydney N.S.W., Australia, **Justyna Wyborska**, Wawelska 45/33, 44-200 RYBNIK.

Do następnego Lądowania!

Redaktor

TA MAKKA JEST  
FANTASTYCZNA !!!

W drugim numerze „Małej Fantastyki”:

- Opowiadania Macieja Wojtyszki, Caroline Janice Cherryh, Macka Reynoldsa i Anny Karwińskiej!
- Felietony Macieja Iłowieckiego, Stanisława Remuszki i Adama Hollanka!
- Sfinks w leksykonie postaci fantastycznych!
- Clive Staples Lewis – Kroniki narnijskie!
- Komiks Tadeusza Baranowskiego!
- Labirynty międzyplanetarne!
- Miedzy nami fantastami!
- I tak dalej...

Tylko prenumerata zapewni Ci systematyczne otrzymywanie „Małej Fantastyki”. Jeżeli jeszcze jej nie opłaciłeś, zrób to jak najszybciej! Przypominamy też, że w kioskach „Ruchu” są przyjmowane zlecenia na odkładanie prasy do teczek.





Leonid Zadonski

# RĘCE PRZY SOBIE

Robert Sheckley

(Hands off)

**P**okładowy detektor masy rozbłysnął na różowo, potem na czerwono. Agee przysypiał już nad deską rozdzielczą, czekając, aż Victor upora się z obiadem. Teraz gwałtownie podniósł wzrok.

– Planeta się zbliża! – zawołał, przekrzykując syk uciekającego powietrza.

Kapitan Barnett kiwnął głową. Skończył właśnie modelować gorącą latę, którą z głośnym plaśnięciem przylepił do zniszczonego kadłuba „Niezlomnego”. Świsł uchodzącego powietrza przycichł do poziomu cichego jęku, ale nie ustał całkowicie. Nigdy nie ustawał.

Kiedy Barnett podszedł do konsoli, planeta było już widać, ledwo ledwo, spoza krawędzi małego czerwone-

go słońca. Jarzyła się zielono na tle czarnej nocy kosmosu i obu mężczyznom podsunęła tę samą myśl.

Barnett ujął ową myśl w słowa.

– Ciekawe, czy znalazłoby się tam coś do wzięcia – powiedział marszcząc czoło.

Agee, na znak nadziei, uniósł białą brew. Patrzyli na przyrządy, które właśnie zaczynały rejestrować.

Nigdy by nie wytropili tej planety, gdyby skierowali „Niezlomnego” na szlaki południowogalaktyczne. Ale na tamtej trasie namnożyło się Policji Konfederacyjnej, więc Barnett wołał ją omijać wielkim łukiem.

„Niezlomny” był zarejestrowany jako handlowiec – chociaż cały przewożony przez niego ładunek sprowa-

dzał się do kilku butelek silnie żrącego kwasu, używano go do otwierania sejfów i trzech średniej wielkości bomb atomowych. Władze niechętnym okiem patrzyły na tego rodzaju dobra i stale usiłowały przymknąć załogę na podstawie jakiegoś przedawnionego oskarżenia - o morderstwo na Lunie, o kradzież na Omedze, o napad z włamaniem na Samii II. Były to wszystko stare, prawie zapomniane przestępstwa, które policja z maniaczkim uporem próbowała rozdmuchać na nowo.

Co gorsza, nowe policyjne krążowniki przewyższały „Niezlomnego” pod względem uzbrojenia. Dlatego wybrali trasę okreśną do Nowych Aten, gdzie właśnie rozpoczął się wielki strajk uranowy.

- Z wyglądu nic specjalnego - skomentował Agee, krytycznym okiem szacując wskaźniki.

- Tak czy owak, możemy się koło niej przejechać - powiedział - Barnett.

Odczyty były mało ciekawe. Ukazywały planecie mniejszą niż Ziemia, nieobecną na mapach, i pozbawioną jakiegokolwiek wartości handlowej poza atmosferą tlenową.

Kiedy mijali planetę, czujniki metali ciężkich gwałtownie ożyły.

- Tam jest materiał! - Agee błyskawicznie interpretował liczne odczyty. - Czysty. Bardzo czysty - i to na powierzchni!

Spojrzał na Barnetta, który skinał głową. Pojazd skręcił gwałtownie w stronę planety.

Z zaplecza statku nadszedł Victor, w małej welniarnej czapce wcisniętej na wielką ogoloną głowę. Stał za Barnettem i patrzył mu przez ramię, jak Agee sprowadza pojazd w dół po torze ciasnej spirali. Z odległości pół mili od powierzchni planety dostrzegli swoje złoża ciężkiego metalu.

Był to statek kosmiczny, spoczywający na ogonie pośrodku naturalnej polany.

- A to ciekawe - zauważył Barnett. Gestem nakazał Ageemu zejść niżej.

Agee z niebывалą zrecznością osadził pojazd na ziemi. Dawno już przekroczył wiek emerytalny dla pilotów dowodzących, co jednak wcale nie osłabiło jego koordynacji. Barnett, który znalazł go bez grosza i dachu nad głową, zatrudnił Agee'ego bez wahania. Kapitan zawsze chętnie pomagał bliźniemu, jeżeli było mu to na rękę i stwarzało szansę zysku. On i Agee mieli identyczny stosunek do własności prywatnej, chociaż czasami różnili się co do metod jej pozyskiwania. Agee wołał pewniaki. Barnett, przeciwnie, miał w sobie więcej odwagi niż to było wskazane u przedstawiciela stosunkowo delikatnego gatunku jakim był Homo sapiens.

Zbliżywszy się do powierzchni planety, stwierdzili, że obcy statek jest większy niż „Niezlomny”, a do tego błyszczący, lśniący nowością. Kształt pokrywy był im nieznanym, podobnie jak oznakowanie.

- Widziałeś kiedy coś podobnego? - spytał Barnett.

Agee skonsultował zasoby swojej przepastnej pamięci.

- Trochę przypomina robotę cephańską, tyle że ich statki nie są takie przysadziste. Solidnie zboczyliśmy z kursu. Ten statek może w ogóle nie być z Konfederacji.

Victor gapił się na statek z rozdziawioną gębą. Westchnął głośno.

- Przydałby nam się taki stateczek, co, kapitanie?

Nagły uśmiech Barnetta był jak peknienie w granicę.

- Victor! - powiedział Barnett. - W prostocie swojej dotknąłeś sedna sprawy. Istotnie, przyda nam się taki statek. Chodźmy tam i pogadajmy z jego szefem.

Przed dopięciem pasa, Victor upewnił się, że lodomiotacze mają pełny ładunek.

Już stojąc na ziemi, posłali w górę pomarańczowo-zieloną racę sygnalizacyjną, ale nie otrzymali odpowiedzi z obcego statku. Atmosfera planety chyba nadawała się do oddychania, temperatura wynosiła 72 stopnie Fahrenheita. Po odczekaniu paru minut wymaszerowali z pojazdu, trzymając lodomiotacze w pogotowiu pod osłoną kurtek.

Wszyscy trzej przemierzali dzielącą statki odległość z wystudiowanymi uśmiezkami na twarzach.

Z bliska statek był wspaniały. Jego połyskliwa srebrzystoszara powłoka była prawie nietknięta przez meteoryty. Wejście było otwarte, a po stłumionym mruczeniu poznali, że generatory właśnie się ładują.

- Jest tam kto?! - huknął Victor w czołuszkę włazu. Jego głos poniosł się głuchym echem po całym statku. Odpowiedzi nie było - tylko cichy szum generatorów i szelest traw na równinie.

- Gdzie oni się podzieli, jak myślicie? - zapytał Agee.

- Pewnie wyszli zaczerpnąć świeżego powietrza - powiedział Barnett. - Na pewno nie spodziewali się gości.

Victor potulnie usiadł na ziemi. Barnett i Agee buszowali wokół podstawy statku, zachwycając się jego wspinalnymi dyszami.

- Dalbys radę? Jak myślisz? - zapytał Barnett.

- Czemu nie - powiedział Agee. - Najważniejsze, że napęd jest konwencjonalny. Mechanizmy pomocnicze to drobiazg - istoty oddychające tlenem stosują podobne systemy kontroli napędu. Na pewno się polapie, to tylko kwestia czasu.

- Ktoś idzie! - zawołał Victor.

Rzucili się do włazu. O trzysta jardów od statku zaczął się wystrzępiony las. Jakaś figura wyloniła się pomiędzy drzew i zmierzała w ich stronę.

Agee i Victor równocześnie wydobyli miotacze.

Lornetka Barnetta pozwoliła określić figurę jako równoległobok mierzący około dwóch stóp wysokości na jedną stopę szerokości. Grubość obcego nie sięgała dwóch cali. Głowy nie miał.

Barnett zmarszczył brwi. Nigdy jeszcze nie widział czworokała pływającego w powietrzu nad wysoką trawą.

Kiedy wyostrzał lornetkę, okazało się, że obcy ma w sobie coś z humanoida. Ścisłej rzecz ujmując, miał cztery kończyny. Dwóch z nich, prawie niewidocznych przez trawę, używał do chodzenia, podczas gdy dwie pozostałe sterczały sztywno w przestrzeń. Pośrodku postaci Barnett z trudem wyróżnił małe oczy i usta. Stworzenie nie miało na sobie żadnego ubrania ani kasku.

- Ciekawy typ urody - mruknął Agee, ustawiając aparat miotacza. - A może on jest sam?

- Miejmy nadzieję - powiedział Barnett, również wyciągając miotacz.

- Odległość około dwa tysiące jardów - Agee wycelował bron, po czym podniósł wzrok. - A może pan kapitan życzył sobie najpierw z nim porozmawiać?

- Co tu gadac - uśmiechnął się leniwie Barnett. - Ale dajmy mu podejść bliżej. Szkoda by było spudłować.

Agee pokiwał głową i poprowadził obcego w oku celownika.

Kalen zatrzymał się na tym opuszczonym małym świecie z nadzieją zdobycia, metodą wysadzenia w powietrze, kilku ton erolu - minerału wysoko cenionego przez Mabogian. Nie miał szczęścia. Nieużyta bomba tetnitowa nadal spoczywała w jego cielesnej sa-



kiewce, w towarzystwie zabłąkanego orzecha kerla. Kalen pomyślał, że wróci na Mabog z balastem zamiast ładunku.

Trudno, mówił sobie wynurzając się z lasu, może następnym razem.

Widok chudego, upstrzonego latami statku kosmicznego przy jego własnym przyprowadził Kalena o szok. Najmniej ze wszystkiego spodziewał się znaleźć na tym świecie inną żywą istotę.

Tubylcy w dodatku stali przed jego włazem! Kalen od razu dostrzegł, że jeżeli chodzi o kształt, są z grubsza mabogijni. W Unii Mabogijńskiej istniała rasa bardzo do nich podobna, tyle że budująca zupełnie inne statki. Intuicja podszeptała mu, że mogą to być przedstawiciele tej wielkiej cywilizacji z peryferiów Galaktyki, o której od dawna już chodziły plotki.

Dziwna rzecz: obcy się nie poruszali. Dlaczego nie wychodzą na powitanie? Wiedział, że go zauważyli, ponieważ wszyscy trzej wskazywali w jego kierunku.

Przyspieszył kroku, uświadamiając sobie, że nic nie wie o ich obyczajach. Miał tylko nadzieję, że nie są zwolennikami zbyt rozwlekłych ceremonii. Już po godzinie spędzonej na tym wrogim świecie czuł się zmęczony. Był głodny, rozpaczliwie potrzebował prysznicy...

Coś intensywnie zimnego rzuciło nim do tyłu. Rozejrzał się czujnie: czyżby to była jakaś nieznana cecha planety?

Ponownie ruszył do przodu. Następny pocisk też trafił go celnie, zamrażając zewnętrzną warstwę jego powłoki.

Sprawa wyglądała poważnie. Mabogianie należeli do najsilniejszych form żywych w Galaktyce, ale nawet ich odporność miała swoje granice. Kalen rozejrzał się ponownie, szukając źródła kłopotów.

To ci obcy – strzelali do niego!

Przez chwilę jego ośrodki myślowe odmawiały przyjęcia dowodu zmysłów. Kalen wiedział, co to jest morderstwo. Oniemiały ze zgrozy, był świadkiem tej perwersji wśród niektórych niskich form zwierzęcych. Widywał też rejestry odchyżeń psychicznych, które dokumentowały każdy przypadek morderstwa z premedytacją, jaki miał miejsce od początku historii Mabogu.

Ale żeby coś takiego zdarzyło się jemu osobiście! Kalen nie był w stanie w to uwierzyć.

Trafił go kolejny ładunek. Kalen stał bez ruchu, próbując przekonać samego siebie, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę. Nie mógł pojąć, że stworzenia obdarzone zmysłem współdziałania wystarczającym do prowadzenia statku kosmicznego, potrafią być jednocześnie zdolne do morderstwa.

Przecież oni go nawet nie znali!

Kiedy było już prawie za późno, Kalen zrobił w tył zwrot i pognął do lasu. Wszyscy trzej obcy strzelali za nim jednocześnie, toteż trawa wokół Kalena chrzęściła i bieląła od szronu, a powierzchnia jego skóry złodowaciała całkowicie. Zimno było tym czynnikiem, do którego organizm mabogiański nie był szczególnie przystosowany. Chłód zaczynał się wdzierać do organów wewnętrznych Kalena.

Mimo to, nadal nie mógł uwierzyć.

Dopał lasu, ale zanim skrył się za drzewo, dosięgnął go podwójny atak. Poczul, jak cały jego system wewnętrzny rozpaczliwie stara się przywrócić organizmowi ciepło, a w chwili potem ze szczerym żalem poddał się ciemności.

– Jakiś głupi ten obcy – zauważył Agee, chowając miotacz do kabury.

– Głupi i silny – dodał Barnett. – Ale żaden tlenowiec dużo tego nie wytrzyma – dumnie wyszczerzył zęby w

uśmiechu i poklepał srebrnoszary kadłub statku. – Ochrzczmy go „Niezlomny II”.

– Hip hip hura na cześć kapitana! – krzyknął entuzjastycznie Victor.

– Oszczędzaj płuć – pouczył go Barnett. – Jeszcze ci się przydadzą. – Popatrzył w górę. – Mamy jeszcze ze cztery godziny światła. Victor, przynieś żywność, then i narzędzia z „Niezlomnego I” i rozładuj jego stopy. Kiedyś tu wrócimy i weźmiemy staruszkę do domu. Ale na razie chce odpalić przed zachodem słońca.

Victor oddalił się pośpiesznie. Barnett i Agee weszli na pokład statku.

Tylną połowę „Niezlomnego II” wypełniały generatory, silniki, transformatory, urządzenia pomocnicze, zbiorniki paliwa i powietrza. Obok mieściła się wielka ładownia, zajmująca niemal resztę wnętrza. Pełno w niej było orzechów rozmaitych kształtów i kolorów, których średnica wahała się od dwóch cali do mniej więcej podwójnej średnicy głowy dorosłego mężczyzny. Pozostawały dwie kabinki w dziobie statku.

Pierwsza powinna była służyć za kabinę załogi – jako jedyny kawałek wolnego miejsca. Była jednak kompletnie pusta: ani kozetek deceleracyjnych, ani stołów czy krzeseł – tylko wypolerowana metalowa podłoga. W ścianach i w suficie widniał szereg otworów, których funkcja na pierwszy rzut oka nie była oczywista.

Z tym pomieszczeniem połączona była kabina pilota, bardzo mała, ledwo mieszcząca jedną osobę. Deska rozdzielcza pod kopułą była szczelnie inkrustowana przrzedkami.

– W twoje rece perswaduję – powiedział Barnett do Agee’ego. – Zobaczymy, co potrafisz.

Agee kiwnął głową i rozejrzał się za stołkiem, po czym ukucnął przed konsolą i zaczął ją uważnie studiować.

W ciągu paru godzin Victor przeniósł cały ich dobytek na „Niezlomnego II”. Agee do tego czasu niczego jeszcze nie dotknął. Po rozmiarach, kolorach, kształtach i usytuowaniu poszczególnych urządzeń próbował odgadnąć, co kontroluje co. Nie było to łatwe, nawet przy założeniu podobieństwa systemów nerwowych i wzorców rozumowania. Czy pomocniczy system nastawczy biegnie od lewej do prawej? Jeżeli nie, Agee musiałby odczytać się dotychczasowych nawyków. Czy dla projektantów tego statku kolor czerwony oznaczał zagrożenie? Jeżeli tak, to duży przycisk mógłby służyć do obniżania poziomu paliwa. Ale kolor czerwony mógł z równym powodzeniem oznaczać gorące paliwo, w którym to przypadku przycisk kontrolowałby zapewne nadmierny przepływ energii.

W końcu Agee doszedł do wniosku, że zadaniem przycisku jest przeladować stopy w razie wrogiego ataku.

Mając to na uwadze, Agee dalej badał przyrządy. Nie przejmował się za bardzo tym, czego nie rozumiał. Po pierwsze, statki kosmiczne były to twarde sztuki, na dobrą sprawę niezniszczalne od wewnątrz. Po drugie, miał wrażenie, że złapał system.

Barnett wetknął głowę do kabiny. Tuż za jego plecami stał Victor.

– Gotów?

Agee obrzucił spojrzeniem całą konsolę.

– Chyba tak – lekko dotknął jednego z pokręteł. – To powinno kontrolować śluzę.

Przekreślił gałkę. Victor i Barnett zamarli w oczekiwaniu, pocąc się obficie w chłodnym pomieszczeniu.

Usłyszeli gładki świst naoliwionego metalu. Śluzę zatrzasnęły się.

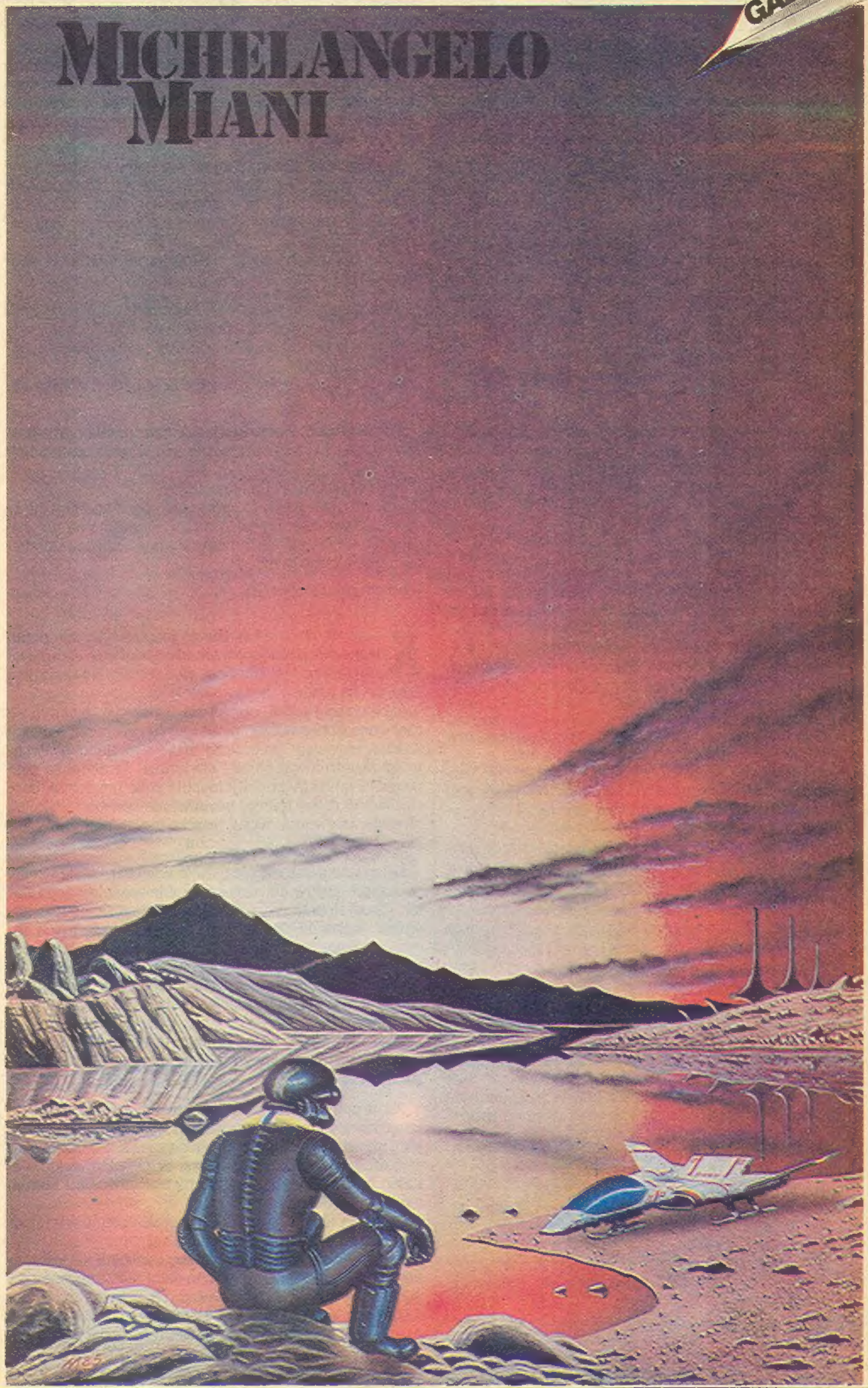
Agee, rozpromieniony, dmuchnął w koniuszki palców – na szczęście.

– To by był system wymiany powietrza – oświadczył. Włączył przycisk.

Z sufitu zaczął się sączyć żółty dym.



# MICHELANGELO MIANI







- System zanieczyszczony - mamrotal Agee, kręcąc gałką. Victor zaniósł się kaszlem.

- Wyłącz to - powiedział Barnett.

Dym walił gestymi smugami, momentalnie wypełniając oba pomieszczenia.

- Wyłącz to!

- Kiedy nic nie widzę! - Agee po omacku nie trafił we właściwy przycisk i zamiast niego wcisnął guzik pod spodem. Generatory zaczęły z miejsca wściekle zawodzić. Błękitne ogniki przemknęły wzdłuż konsoli i wskoczyły na ściane.

Agee, zataczając się, odstał od konsoli i padł na ziemię. Victor już był przy drzwiach ładowni, próbując je wywalić pięściami. Barnett zakrył dłonią usta i rzucił się do przyrządów. Na ślepo szukał wyłącznika, czując, jak cały statek wokół niego wiruje do utraty łchu.

Victor runął na ziemię, nie przestając bębnić w drzwi ładowni zwiótczałymi pięściami.

Barnett na oślep dźgnął konsolę.

Generatory umilkły w jednej chwili. Następnie Barnett poczuł na twarzy zimny powiew. Otarł łzawiące oczy i spojrzał w górę.

Przypadkowo trafiony przycisk zamknął ujście w suficie, przerywając dopływ żółtego gazu. Barnett przez przypadek otworzył służę i zimne nocne powietrze planety już wypierało gaz ze statku. Wkrótce można było oddychać.

Victor niepewnie gramolił się na nogi, ale Agee nie dawał znaku życia. Barnett zrobił staremu pilotowi sztuczne oddychanie, klnąc przy tym przez cały czas pod nosem. Wreszcie powieki Agee'go zatrzepotały, a jego klatka piersiowa zaczęła wznosić się i opadać. W chwili potem usiadł i tylko krecił głową.

- Co to było za swinstwo? - zapytał Victor.

- Obawiam się - powiedział Barnett - że nasz znajomek uważał to za świetne powietrze do oddychania.

Agee dalej krecił głową.

- Niemożliwe, kapitanie. Przecież był w świecie otoczonym tlenem, chodził po nim bez kasku, bez...

- Upodobania dotyczące powietrza potrafią być bardzo różne - zauważył Barnett. - Spójrzmy prawdzie w oczy: pod względem fizycznym nasz przyjaciel nie przypominał nas ani trochę.

- To nie za dobrze - podsumował Agee.

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia. W następnej chwili ciszy dobiegli ich niewyraźny, niepokojący odgłos.

- Co to było? - Victor skoczył na równe nogi, wyszarpując miotacz z kabury.

- Spokój! - wrzasnął Barnett.

Nastłuchiwali. Im dłużej Barnett próbował zidentyfikować odgłos, tym bardziej czuł, że każdy włos na karku staje mu dęba.

Odgłos dobiegał z daleka. Jakby metal uderzał w twardej obiekt niemetaliczny.

Trzej mężczyźni wyjrżeli przez luk. W pożegnalnym blasku słońca zobaczyli, że główny właz „Niezlomnego I” jest otwarty. Odgłos dobiegał ze statku.

- Niemożliwe - powiedział Agee. - Lodomiotacze...

- Nie zabiły go - dokończył Barnett.

- To źle - wystękał Agee. - To bardzo źle.

Victor dalej dzierżył swój lodomiotacz w pogotowiu.

- Kapitanie, a może ja bym się tam przespacerował...

Barnett pokręcił głową.

- Nie dopuści cię bliżej niż na dziesięć stóp do służy. Nie, daj pomyśleć. Było tam coś na pokładzie, czym mógł się posłużyć? Stosy?

- Ja mam łączę, kapitanie - powiedział Victor.

- Dobrze. Wobec tego nie ma tam nic, co...

- Kwas - wtrącił Agee. - Bardzo mocny. Ale nie puszczam, żeby mógł nim wiele zdziałać.

- Nic a nic - przytaknął Barnett. - Jesteśmy na tym statku i nie ruszymy się z niego. Na początek oderwijmy go od ziemi.

Agee patrzył na deskę rozdzielczą. Jeszcze pół godziny temu prawie ją rozumiał. Teraz wydawała mu się chytą, śmiercionośną pułapką - potrzaskiem, którego niewidoczne druciki prowadzą nieuchronnie do zniszczenia.

Pułapka była niezamierzona. Ale statek kosmiczny był siłą rzeczy machiną przeznaczoną nie tylko do podróży, ale i do życia. Przyrządy musiały starać się odtwarzać naturalne środowisko obcego, zaspokajając jego potrzeby.

Dla nich trzech mogło się to okazać fatalne w skutkach.

- Szkoda, że nie wiemy z jakiego rodzaju planety gość pochodzi - odezwał się żałośnie Agee. Gdyby znali warunki naturalne obcego, potrafiliby przewidzieć zachowania jego statku.

Wiedzieli tylko tyle, że oddycha trującym żółtym gazem.

- Dobrze nam idzie - oświadczył bez przekonania Barnett. - Znajdź tylko przycisk napędu, a resztę zostawimy w spokoju.

Agee odwrócił się do konsoli.

Barnett ciekaw był, co zamierza obcy. Zapatrzył się w sylwetkę swojego dawnego statku, widoczną na tle wieczornego nieba i słuchał niesamowitego odgłosu uderzenia metalu o nie-metal.

**K**alen zdziwił się bardzo, że jeszcze żyje. Ale popularne wśród ludu porzekadło głosiło, że „Mabogianin umiera natychmiast, albo wcale”. Na razie okazało się, że wcale.

Skołowany, usiadł i oparł się o drzewo. Pojedyncze czerwone słońce wisało nisko nad horyzontem, a wokół Kalena wirowały podmuchy trującego tlenu. Natychmiast skontrolował płuca i stwierdził, że nadal są bezpiecznie zablokowane. Życiodajne żółte powietrze, chociaż już w dużej mierze pozbawione wartości wskutek długiego używania, wciąż jeszcze trzymało go przy życiu.

Kalen nadal jednak nie bardzo wiedział, co się dzieje. O kilkadziesiąt jardów od niego stał sobie spokojnie jego statek. Coraz słabsza czerwona łuna ślizgała się po jego kadmie i Kalen na chwilę uległ złudzeniu, że żadnych obcych nie było. Wymyślił sobie całą sytuację, a teraz wrócił na statek...

Zobaczył, jak jeden z obcych, obładowany rozmaitymi dobrami, wsiada do jego pojazdu. Po krótkiej chwili służę się zamknęły.

To była prawda, wszystko było prawdą. Kalen wykonał ostry zwrot myślowy w stronę niewesołej rzeczywistości.

Pilnie potrzebował jedzenia i powietrza. Jego skóra zewnętrzna była sucha i popekana; wymagała oczyszczenia i ożywienia. A żywność, powietrze i środki czyszczące zostały na statku. Przy sobie, w cielesnej sakiewce, Kalen miał tylko jeden czerwony orzech kerla i bombe tetnitową.

Gdyby udało mu się rozłupać i zjeść orzech, odzyskałby nieco sił. Ale jak go rozłupać?

Był przerażony tym, jak dalece uzależnił się od maszyn. I tym, że teraz będzie musiał znaleźć sposoby na wykonanie czynności najprostszych, zwyczajnych, codziennych - tych, które jego statek wykonywał automatycznie, a o których on sam nawet nie musiał myśleć.

Kalen zauważył, że obcy najwyraźniej porzucili swój statek. Dlaczego? To nie było ważne. Ważne było to, że jeżeli zostanie na równinie, umrze przed nastaniem



dnia. Jedyna jego szansa na przeżycie leżała we wnętrzu obcego statku

Wolno przeslizgiwał się wśród traw, przystając tylko w chwilach, gdy atakowały go zawroty głowy. Starał się nie tracić z oczu swojego pojazdu. Jeżeli obcy zaczął go teraz scigać – wszystko stracone. Ale nic takiego nie nastąpiło. Podkradłszy się do statku, co trwało wieczność, Kalen wszedł do środka.

Nadchodził wieczór. Ale nawet w półmroku dało się zauważyć, że statek jest stary. Ściany, od początku za cienkie, miały łatę na łacie. Wszystko świadczyło o długoletniej, intensywnej eksploatacji.

Teraz rozumiał, dlaczego tak im zależało na jego statku.

Zatakowała go kolejna fala słabości. W ten sposób organizm Kalena domagał się natychmiastowej uwagi.

Problemem numer jeden wydawało się jedzenie. Kalen wyluskał z sakwy orzech kerla. Orzech był okrągły, mierzył około czterech cali średnicy, przy czym grubość łupiny wynosiła dwa cale. Orzechy tego gatunku były podstawowym składnikiem diety mabogianskiego kosmonauty. Stanowiły koncentrat energii i dawały się przechowywać praktycznie w nieskończoność – nieludzkie, rzecz jasna.

Kalen położył orzech przy scianie, znalazł stalowy pret i z całej siły uderzył pretem w orzech. Przy zetknięciu z orzechem, pret powodował głuchy odgłos, jak z wielkiego bębna. Orzech pozostał nietknięty.

Kalen ciekaw był, czy obcy usłyszeli odgłos. Musiał się liczyć z ryzykiem. Przymierzył się i ponownie zaatakował orzech. Po kwadransie, on sam padał z wyczerpania, a pret zgity był niemal w poł.

Orzech nie odniósł szwanku.

Kalen zrozumiał, że nie da rady rozłupać orzecha bez Zgniatacza – standardowego wyposażenia wszystkich mabogianskich statków. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że można próbować innych metod łupania orzechów.

Był to przerażający dowód jego bezradności.

Uniosł łom do następnego uderzenia i stwierdził, że jego kończyny sztywnieją. Rzucił pret i dokonał oględzin własnej osoby.

Zmrożona powłoka zewnętrzna hamowała ruchy. Skóra twardniała powoli w nieprzenikalną tkanę rogową. Z końcem procesu twardnienia, Kalen zostałby unieruchomiony. Zamrożony w jednej pozycji, siedziałby tak lub stał, dopóki nie udusiłby się na śmierć.

Kalen z trudem odegnął falę rozpacz i zmusił się do myślenia. Musiał bezzwłocznie zdjąć starą skórę. To było ważniejsze niż jedzenie. Na pokładzie własnego statku obmyłby ją i namoczył, zmieknąłby i w końcu wykurował. Wątpił jednak, czy obcy wozili z sobą odpowiednie środki czyszczące.

Drugim wyjściem było zedrzyć z siebie zewnętrzną powłokę. Kolejna warsiwa skóry przez parę dni byłaby bardzo delikatna, ale przynajmniej nie krepowałaby ruchów.

Na sztywnych kończynach udał się w poszukiwaniu Rozbieraka. Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że obcy na pewno nie będą mieli nawet tego podstawowego urządzenia. Znowu zdany był wyłącznie na siebie.

Podniósł stalowy łom, wygięty w hak, i jego czubek wetknął pod fałd skóry. Z całej siły szarpnął w górę.

Skóra nie poddawała się.

Kalen wcisnął się między generator a scianę i inaczej zamocował hak. Zbyt krótkie ramiona nie pozwoliły mu jednak zastosować techniki dźwigni i twarda skóra uparcie trzymała się na ciele.

Wypróbował jeszcze z dziesięć innych pozycji – bez powodzenia. Pozbawiony pomocy mechanicznej, nie mógł utrzymać się dość mocno w jednym miejscu.

Zniechęcony, rzucił łom. Nic nie mógł zrobić, absolutnie nic. I nagle przypomniał sobie o bombie tetnitowej w cieleśnej sakwie.

Prymitywna część jego umysłu, której istnienia nigdy przedtem nie podejrzewał, podszeptowała, że jest jedno proste wyjście z sytuacji. Kalen mógł podrzucić bombę pod własny statek, korzystając z nieuwagi obcych. Słaby ładunek nie wyrządziłby statkowi większej szkody, tylko wyrzuciłby go w górę na wysokość dwudziestu, może trzydziestu stop.

Obcy jednak niewątpliwie ponieśliby śmierć.

Kalen poczuł grozę. Jak mógł o czymś takim pomyśleć? Etyka Mabogian, wszczepiona głęboko w samą tkankę jego istnienia, zabraniała odbierania życia istotom inteligentnej, bez względu na okoliczności. Bez względu na wszelkie okoliczności.

– Ale czy to nie będzie usprawiedliwione? – szeptała prymitywna część jego umysłu. – Ci obcy są chorzy. Oddałbyś przysługę wszechświatu pozbywając się ich, a przy okazji tylko pomógłbyś sam sobie. Nie myśl o tym jako o morderstwie. Uznaj to za eksterminację.

Kalen wyjął bombę z sakiewki i obejrzał ją, po czym pospieszenie schował z powrotem.

– Niel – powiedział sam do siebie, bez wielkiego przekonania.

Nie chciał już więcej myśleć. Na zmęczonych, niemal całkiem sztywnych kończynach, zaczął przeszukiwać obcy statek, rozglądając się za czymś, co uratowałoby mu życie.

Agee siedział w kucki w kabine pilota, ze znużeniem znacząc przyciski niezmywalnym ołówkiem. Czuł ból w płucach; pracował całą noc. Teraz na zewnątrz ponuro szarzał świt i chłodny wiatr smagał kadłub „Niezlomnego II”. Statek miał już oświetlenie, ale nie miał ogrzewania, ponieważ Agee bał się dotknąć regulatora temperatury.

Victor wszedł do pomieszczenia załogi, zataczając się pod ciężarem wielkiej skrzyni.

– A Barnett? – zawołał Agee.

– Idzie – odpowiedział Victor.

Kapitan kazał cały sprzęt składać na przodzie statku, gdzie byłby łatwo dostępny. Pomieszczenie załogi było jednak nieduże i prawie w całości już zastawione.

Rozglądając się za kawałkiem wolnego miejsca pod skrzynią, Victor zauważył drzwi w jednej ścianie. Wcisnął widniejący w nich guzik – drzwi gładko podjechały w górę i schowały się w suficie, ukazując pokój wielkości szafy. Victor uznał, że będzie to świetny magazyn.

Nie zważając na okrucy czerwonych łupin wałające się po podłodze, wepchnął skrzynię do środka.

Sufit pokoiku zaczął się momentalnie opuszczać.

Victor ryknął, aż się poniosło po całym statku. Podskoczył – i wyrzucił głowę w sufit. Padł na twarz, oniemiały ze zdziwienia.

Agee wypadł z kabiny pilota, a i Barnett nadbiegł do nich sprintem. Barnett złapał Victora za nogę, chcąc go wyciągnąć ze schowka, ale Victor był ciężki, a kapitan ślizgał się po gładkim metalu posadzki.

Wykazując rzadką przytomność umysłu, Agee ustawił skrzynię na szlorc. Sufit zatrzymał się na niej.

Barnett i Agee zaczęli we dwóch szarpać Victora za nogi. Udało im się go wyciągnąć w samą porę: ciężka skrzynia rozpekła się na kawałki, a w następnej chwili zmiażdżona została w proch.

Sufit pokoiku, opuszczający się na lśniącym olejem potężnym sztyfcie, sprasował kufer do grubości sześciu cali. Dokonawszy tego, urządzenie mlasnęło dźwięcznie i bezszelestnie wrocilo na miejsce.

# MICHELANGELO MIANI





Victor usiadł, masując głowę.

- Kapitanie - odezwał się błagalnym tonem. - Nie moglibyśmy wrócić na nasz statek?

Agee też miał swoje wątpliwości co do całego przedsięwzięcia. Ogarnął wzrokiem złowieszczy pokój, który na powrót przypominał szafę z okruciami czerwonych skorup na podłodze.

- Jak słowo daje, to jakaś pulapka - odezwał się strapiiony. - Może Victor ma rację.

- Chcesz zostawić taki statek? - zdumiał się Barnett.

Agee skrzywił się niewyraźnie i kiwnął głową.

- Najgorsze - powiedział, nie patrząc na Barnetta - jest to, że nie wiemy, z czym on za chwilę wyskoczy. Za duże ryzyko, kapitanie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, z czego byś zrezygnował? - zbeształ go Barnett. - Sam kadłub wart jest majątek. Oglądałeś silniki? Nie ma siły po tej stronie Ziemi zdolnej powstrzymać je maszynierie. Potrafi przewiercić planetę na wylot i wyjść po drugiej stronie bez jednego drasniecia na lakierze. A ty chcesz ją zostawić!

- Nie będzie tyle warta, jak nas pozabija - zauważył Agee.

Victor entuzjastycznie pokiwał głową.

Barnett wytrzeszczył na nich oczy.

- Słuchajcie mnie uważnie - powiedział. - Nie zostawimy tego statku. To nie jest żadna pulapka. To pojazd obcych, wyposażony w obcą aparaturę. Wystarczy, żebyśmy nie ruszali czego nie trzeba do momentu lądowania. Zrozumiano?

Agee miał ochotę wypowiedzieć się na temat szaf, które zamieniają się w prasy hydrauliczne. Nie wydawało mu się to zbyt obiecującym sygnałem na przyszłość. Ale spojrzał na minę Barnetta i postanowił nie zabierać głosu.

- Poznałeś wszystkie przyrządy?

- Jeszcze kilka mi zostało - powiedział Agee.

- W porządku. Skończ i tylko tych będziemy dotykać. Jeżeli reszta maszyny pozostawimy w spokoju, to i ona nas nie ruszy. Musimy tylko trzymać ręce przy sobie - i nie ma strachu.

Barnett otarł pot z twarzy, oparł się o ścianę i rozpiął kurtkę.

Natychmiast z otworów po obu jego stronach wysunęły się dwie metalowe wstęgi, które opasały Barnetta na wysokości talii i żołądka.

Barnett chwilę im się przyglądał, po czym z całej siły szarpnął się do przodu. Wstęgi nie puszczały. W ścianie rozległ się dziwny odgłos, jakby klaskanie, a zaraz potem wysunął się stamtąd delikatny cienki drucik. Drucik z szacunkiem dotknął kurtki Barnetta, po czym schował się w głąb ściany.

Agee i Victor patrzyli na to wszystko bezradnie.

- Wyłącz to - wycedził Barnett przez zęby.

Agee skoczył do kabiny pilota. Victor dalej wytrzeszczał oczy. Ze ściany wyslizgnęła się metalowa łapa, zakończona polyskliwym trzycalowym ostrzem.

- Nie! - rozdarł się Barnett.

Victor ożył gwałtownie. Podbiegł do łapy, próbował ją wyrwać ze ściany, ale ramię wykonało tylko jeden zwrot i posłało Victora w przeciwny koniec pomieszczenia.

Z chirurgiczną precyzją ostrze przecięło kurtkę Barnetta równo pośrodku, nie dotykając koszuli pod spodem. Łapa znikła z pola widzenia.

Agee wciskał jeden przycisk po drugim: generatory wyły, stabilizatory drgały, mrugały światła. Na mechanizmie, który wieził Barnetta nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

Wiotki drucik znow się pokazał. Dotknął koszuli Barnetta i zawahał się na moment. Mechanizm wewnętrzny zaświecił ostrzegawczo. Drucik raz jeszcze

koszuli Barnetta, jakby niepewny, co powinien w takim przypadku uczynić.

Agee darł się z pomieszczenia kontrolnego.

- Nie daje się wyłączyć! To chyba w pełni automatyczne!

Drucik schował się w ścianie, a w jego miejsce pojawiło się zakończone ostrzem ramię.

Victor zdążył tymczasem znaleźć ciężki klucz francuski. Podskoczył, zamachnął się i morderczym ciosem trafił w ramię, omijając o włos głowę Barnetta.

Łapa ani trochę na tym nie ucierpiała. Spokojnie rozplatała koszulę Barnetta od strony pleców, pozostawiając go nagim do pasa.

Barnettowi nic się nie stało, ale dziko przewrócił oczami, kiedy wiotki drucik wyłonił się ze ściany po raz trzeci. Victor wpakował pięść do ust i zaczął się cofać. Agee zacisnął powieki.

Drucik dotknął ciepłego, żywego ciała Barnetta i wyraźnie usatysfakcjonowany, cofnął się w głąb ściany. Wstęgi otworzyły się. Barnett padł na kolana.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Nie było o czym mówić. Barnett zagapił się w przestrzeń. Victor strzelał kostkami palców, aż Agee trącił go w bok.

Stary pilot zastanawiał się, dlaczego mechanizm porzucił odzież Barnetta, ale zatrzymał się kiedy doszedł do żywego ciała. Czyżby obcy w ten sposób się rozbierał? Nie miało to sensu. Ale, z drugiej strony, szafa-prasa też nie miała sensu.

Agee nawet się trochę ucieszył z tego incydentu. Zdarzenie musiało dać Barnettowi nauczkę. Teraz już na pewno zostawia to zdradliwe monstrum i wymyśla sposób na odzyskanie własnego statku.

- Daj mi jakąś koszulę - powiedział Barnett. Victor pośpiesznie znalazł coś dla niego. Barnett ubrał się w koszulę, stojąc jak najdalej od ściany.

- Jak szybko możesz uruchomić ten statek? - zapytał Barnett Agee'ego, jeszcze nieco roztrzęsiony.

- Co takiego?

- Słyszales chyba.

- Ty jeszcze nie masz dość? - Agee'ego zatkalo.

- Nie mam. Jak szybko możemy odpalić?

Za godzinę, coś koło tego - burknął niechętnie Agee. Co innego mógł powiedzieć? Kapitan był nie do wytrzymania. Agee poczłapał zmęczony do pomieszczenia kontrolnego.

Barnett założył sweter na koszulę, a na to jeszcze kurtkę. W pomieszczeniu było chłodno, a on dostał silnych dreszczy.

**K**alen leżał bez ruchu na podłodze obcego statku. Jak głupi, zmarnował resztkę sił na próby zerwania sztywnej powłoki zewnętrznej. A im on był słabszy, tym szybciej skora twardniała. Teraz już w ogóle nie opłacało się ruszać. Lepiej odpreżyć się i czuć, jak ognie wewnętrzne wolno dogasają.

Wkrotce snił już o zebatych wzgórzach Mabogu i o wielkim porcie Canthanope, do którego spływali w dół handlarze międzygwiazdni ze swoimi egzotycznymi towarami. Był tam teraz, zapadał zmierzch, a on patrzył ponad płaskimi dachami na dwa ogromne zachodzące słońca. Dlaczego jednak oba słońca zachodziły na południu? Fizyczna niemożliwość. Może ojciec zdoła to wyjaśnić. Noc zapadła szybko.

Otrząsnął się z fantazji i zobaczył ponure światło poranka. Nie tak powinien umierać kosmonauta z Mabogu. Jeszcze raz spróbuje.

Po pół godzinie żmudnych, bolesnych poszukiwań trafił na zaplecze statku na zaplombowaną metalową kratkę. Odczyt najwyraźniej o niej zapomnieli. Zerwał

wiek. Wewnątrz było kilka butelek, starannie zamocowanych i zabezpieczonych okładzinami przed rozbięciem. Kalen wyjął jedną i obejrzał ją uważnie.

Oznaczona była dużym białym symbolem. Nie było żadnego powodu, żeby Kalen miał znać ten symbol, a jednak wydał mu się on dziwnie znajomy. Kalen wysilił pamięć, starając się dociec, gdzie widział coś podobnego.

I przypomniał sobie, jak przez mgłę: było to przedstawienie czaszki humanoida. W Unii Mabogijskiej była jedna rasa humanoidalna, a kopie jej czaszek Kalen oglądał w muzeum.

Ale czemu ktoś miałby tym symbolem ozdabiać butelkę?

W Kalenie czaszka budziła uczucie szacunku. O to zapewne chodziło producentom. Otworzył butelkę i powąchał.

Woń była ciekawa. Przypominała zapach...

...roztworu do oczyszczania skóry!

Nie zwlekając, Kalen wylał na siebie całą zawartość butelki. Bał się żywić nadzieję, czekał tylko, co będzie. Gdyby udało mu się przywrócić skórę do porządku...

Tak jest, płyn zawarty w butelce z czaszką był łagodnym środkiem czyszczącym. A do tego miał przyjemny zapach.

Kalen wylał kolejną butelkę na swój pancerz i poczuł, jak zbawczy płyn wsącza się głębiej. Jego ciało, spragnione odżywką, chciwie wołało o jeszcze. Opróżnił trzecią butelkę.

Przez dłuższy czas Kalen tylko leżał i czuł jak wsącza się w niego życiodajny płyn. Skóra rozluźniła się i uelastyczniła. Czuł w sobie nowy zastrzyk energii, nową wolę życia.

Będzie żył!

Po kąpielach Kalen zbadał konsolę statku; miał nadzieję, że zdoła dolecieć starym pudłem na Mabog. Natychmiast wylonili się trudności. Z niewiadomej przyczyny, urządzenia kontrolne nie były zabezpieczone w oddzielnym pomieszczeniu. Zastanawiał się, dlaczego. Niemożliwe przecież, żeby te dziwne stworzenia cały swój statek uczyniły komorą deceleracyjną. Niemożliwe. Nie mieli nawet dość miejsca na pojemniki z płynem.

Było to niepokojące, ale niepokojące było jak dotąd wszystko, co dotyczyło obcych. Tę trudność Kalen był w stanie przezwyciężyć. Kiedy jednak poszedł obejrzeć silniki, stwierdził brak kluczowego ogniwa, które usunęło ze stosów. Mechanizm był bezużyteczny.

Pozostawało tylko jedno wyjście: musi odzyskać swój statek.

Ale jak?

Nerwowo przemierzał pokład. Etyka mabogiańska zabraniała zabijać inteligentne życie i nie było w tej kwestii żadnego „ale”. Pod żadnym pozorem – nawet w obronie własnego życia – nie wolno było zabić. Było to mądre prawo, które dobrze przysłużyło się Mabogianom. Dzięki ścisłemu jego przestrzeganiu, Mabogianie przez trzy tysiące lat unikali wojen, za to osiągnęli wysoki poziom rozwoju cywilizacji – co byłoby niemożliwe, gdyby dopuścili wyjątki od reguły. Każde „ale” może zaszkodzić najzdrowszej nawet zasadzie.

Nie mógł złamać prawa.

Ale czy wobec tego ma tu umierać bez walki?

Kalen spojrzał pod nogi i stwierdził ze zdumieniem, że rozlany płyn czyszczący powyżerał dziury w pokładzie. Cóż za nietrawne urządzenie – byle płyn kosmetyczny potrafi je zniszczyć! Sami obcy wobec tego też muszą być słabi.

Wystarczyłaby jedna bomba tetnitowa.

Podszedł do okna. Chyba nikt nie stał na straży. Kalen pomyślał, że na pewno zajecią są przygotowaniami do

startu. Nic prostszego jak przemknąć się wśród traw do samego statku...

A na Mabogu nikt by się nie musiał dowiedzieć prawdy.

Kalen, ku własnemu zdumieniu, stwierdził, że już bezwiednie pokonał połowę odległości między pojazdami. To ciekawe, ile potrafi zrobić ciało bez udziału umysłu.

Wyjął bombę i podczoigał się o następne dwadzieścia stóp bliżej.

W końcu przecież – w dalszej perspektywie – to zabójstwo niczego nie zmieniało.

**J**eszcze nie jesteś gotowy? – zapytał Barnett o dwunastę w południe.

– Chyba już jestem – odpowiedział Agee. – Bardziej gotowy już nie będę.

Barnett kiwnął głową.

– My z Victorem przytroczymy się pasami w kabinie załogi. Startuj z najmniejszym przyspieszeniem.

Barnett wrócił do pomieszczenia załogi. Agee podopinał pasy i nerwowo zatarł ręce. Zdawało mu się, że poza znaczał wszystkie podstawowe urządzenia. Powinno się było udać. Miał nadzieję, że się uda.

Bo przecież była ta szafa, i łapa z nożem. Kto zgadnie, z czym jeszcze wyskoczy szalony pojazd?

– Gotowi! – zawołał Barnett z kabiny załogi.

– Dobra. Jeszcze z dziesięć sekund.

Zamknął i zabezpieczył śluzy. Jego własne drzwi zamknęły się automatycznie, odcinając pilota od reszty załogi. Z lekkim uczuciem klaustrofobii, Agee włączył stosy. Na razie wszystko szło doskonale.

Na podłogę wypelzła cienka strużka oleju. Agee uznał to za wyciek z obłożonego złącza i nie przejął się zbyt. Powoloki kontrolne pracowały jak marzenie. Agee wcisnął kurs i ustawił przyrząd kontroli lotu.

I wtedy poczuł, że coś uderza o jego stopę. Spojrzał w dół i ze zdziwieniem odnotował prawie trzyczalową warstwę gęstego, cuchnącego oleju na pokładzie. Solidny wyciek. Agee'emu nie mieściło się w głowie, żeby taki porządny statek mógł mieć taką wadę. Odpiął pasy i zaczął szukać źródła wycieku.

Znalazł je bez trudu. W pokładzie były cztery małe ujścia i każdym z nich gładko, równomiernie, bił strumień oleju.

Agee wcisnął guzik otwierający drzwi kabiny, ale drzwi ani drgnęły. Odrzucając panikę, Agee starannie obejrzał drzwi.

Powinny były się otworzyć.

Nie otwierały się.

Olej już prawie sięgał jego kolan.

Agee uśmiechnął się idiotycznie. Co za głupiec z niego! Kabinę pilota zamykało się z konsoli. Zwolnił blokadę i wrócił do drzwi.

Nadal nie chciały się otworzyć.

Agee szarpał je z całych sił, ale drzwi były niewzruszone. Wrócił do deski rozdzielczej. Kiedy znaleźli statek, oleju nie było. Co znaczy, że gdzieś musi być odpływ.

Zanim znalazł odpływ, olej sięgał mu do pasa. Potem znikł prawie natychmiast. A kiedy tylko olej znikł, drzwi otworzyły się z łatwością.

– Co jest? – zapytał Barnett.

Agee powiedział mu.

– A więc to tak wygląda jego sposób! – powiedział cicho Barnett. – Dobrze wiedzieć.

– Sposób na co? – spytał Agee, czując, że Barnett traktuje całą sprawę zbyt lekko.

– Sposób na to, żeby wytrzymać przyspieszenie przy starcie. To mnie dreczyło. Przecież na pokładzie nie ma nic na kształt łóża czy leżanki. Nawet krzesła nie ma – do



czego tu się przypasać? Dlatego on pływa sobie w oleistej kąpieli, której kurki włączają się automatycznie z chwilą gotowości maszyny do lotu.

- Ale dlaczego drzwi nie dawały się otworzyć? - pytał dalej Agee.

- To przecież oczywiste - uśmiechnął się Barnett. - Nie chciał, żeby mu olej zalał cały statek. Albo żeby przypadkiem nie spłynął z pokładu.

- Nie możemy startować - zawyrokował Agee.

- A to dlaczego?

- Ponieważ nie jestem szczególnie mocny w oddychaniu olejem. Dopływ oleju włącza się automatycznie razem z mocą i nie ma siły, żeby go wyłączyć.

- Rusz głową - poradził mu Barnett. - Wystarczy, że zablokujesz otwarty odpływ: co się naleje, to natychmiast spłynie.

- Rzeczywiście, to mi nie przyszło do głowy - przyznał ze skruchą Agee.

- No to do roboty.

- Chciałbym się najpierw przebrać.

- Nie. Oderwij ten cholerny statek od ziemi.

- Ale, kapitanie...

- Ruszaj - rozkazał Barnett. - Zdaje mi się, że ten obcy coś kombinuje.

Agee wzruszył ramionami, wrócił do kabiny pilota i zapiął pasy.

- Gotowi?

- Tak, ruszaj wreszcie.

Agee zablokował odpływ i olej rozpoczął bezpieczną cyrkulację, nie wznosząc się ponad poziom butów pilota. Bez dalszych komplikacji Agee uruchomił resztę przyrządów.

- Jazda.

Nastawił na minimalne przyspieszenie i dmuchnął w opuszki palców - na szczęście.

Wcisnął start.

**K**alen z głębokim żalem patrzył na swój oddalający się statek. Bombę tetritową nadal trzymał w ręku. Zdażył dojść do statku, przez parę sekund nawet pod nim stał. Po czym odczołgał się z powrotem do wraku obcych. Nie zdobył się na podłożenie bomby. Parę godzin nie wystarczyło na pokonanie kilkusetletnich warunkowań.

Uwarunkowań - owszem, ale i czegoś jeszcze.

Nieliczni przedstawiciele każdej rasy mordują dla przyjemności. Z drugiej strony, istnieje szereg powodów usprawiedliwiających zabójstwo, i to takich, które uznałby każdy filozof.

Jeżeli się je jednak raz zaakceptuje, takich powodów natychmiast rodzi się więcej, i coraz więcej. Morderstwo raz zaakceptowane staje się nie do powstrzymania. Nieuchronnie prowadzi do wojny, i dalej, do unicestwienia.

Kalen czuł, że to morderstwo wpłynęłoby w jakiś sposób na los jego rasy. Powstrzymanie się od zabójstwa wydało mu się nieomal kwestią jej przetrwania.

Mimo wszystko, nie poprawiło mu to samopoczucia.

Patrzył, jak jego statek zmienia się w kropkę na niebie. Obcy oddalali się w śmiesznie powolnym tempie. Nie widział po temu żadnego usprawiedliwienia - chyba że chcieli mu dokuczyć.

Bez wątpienia mieli w sobie dość sadyzmu na coś takiego.

Kalen wrócił na statek. Wola życia była w nim silniejsza niż kiedykolwiek. Nie miał zamiaru się poddawać. Posłanowił za wszelką cenę czepiać się życia, w nadziei - jednej na milion - że kiedyś ktoś jeszcze odwiedzi planety.

Rozejrzał się i uznał, że może sprokurować namiastkę powietrza ze środka czyszczącego oznakowanego cząstką. Wystarczy na dzień, może dwa. A gdyby jeszcze zdołał otworzyć orzech kerla...

Zdawało mu się, że słyszy coś na zewnątrz. Skoczył sprawdzić. Niebo było puste. Statek zniknął. Kalen był sam.

Znów wrócił na obcy statek i podjął żmudne zadanie utrzymania się przy życiu.

**O**dzyskawszy przytomność, Agee stwierdził, że tuż przed omdleniem zdołał zredukować przyspieszenie do połowy. Tylko to uratowało mu życie.

Nawet obecne przyspieszenie, oscylujące tuż nad punktem zero, było nieznośnie ciężkie! Agee odpiętoł drzwi i przeczołgał się do sąsiedniego pomieszczenia.

Barnetta i Victora przy starcie wystrzeliło z pasów. Victor właśnie odyskiwał przytomność. Barnett podnosił się ze sterty pogniecionych skrzyń.

- Co ty sobie myślisz, że w cyrku jesteś? - zrzędził Barnett. - Mówilem przecież: przyspieszenie minimum.

- Startowałem z przyspieszeniem minimum - poinformował go Agee. - Idź, sam sobie poczytaj zapis.

Barnett pomaszerował do kabiny pilota. Zaraz wrócił. - Kiepska sprawa. Nasz przyjaciel podróżuje tym statkiem z przyspieszeniem trzykrotnie wyższym od naszego.

- Na to wygląda.

- Nie pomyślałem o tym - zasepił się Barnett. - W takim razie on musi pochodzić z ciężkiej planety, z takiego miejsca, gdzie trzeba startować błyskawicznie, żeby się w ogóle odczepić od podłoża.

- Coś mnie uderzyło - poskarżył się Victor, rozclerając głowę.

W ścianie coś pstryknęło. Statek ożył na całego, urządzenia automatycznie wkraczały do akcji.

- Ciepło się robi, nie? - zagadnął Victor.

- Owszem, i gestawo - dodał Agee. - Zwyżka ciśnienia.

Wrócił do kabiny pilota. Barnett i Victor stali w drzwiach i obserwowali go w napięciu.

- Nie mogę tego wyłączyć - oświadczył Agee, ocierając pot, który strumieniami zalewał mu twarz. - Temperatura i ciśnienie regulowane są automatycznie. Muszą wracać do „normy”, kiedy statek leci.

- Wyłącz to cholerstwo - polecił Barnett. - Usmażymy się tutaj jak zaraz nie wyłączysz.

- Nie ma jak.

- Przecież gdzieś musi być regulator ciepła.

- Owszem - tutaj - wskazał Agee. - Już skrecony do minimum.

- Myślisz, że jaką on ma normalną temperaturę? - zapytał Barnett.

- Wolę nie myśleć - powiedział Agee. - Ten statek jest zbudowany z wyjątkowo trudno topliwych stopów. Wytrzymałby ciśnienie dziesięciokrotnie wyższe niż statek ziemski. Uwzględniając oba te czynniki...

- To się musi dać wyłączyć! - Barnett zdarł z siebie kurtkę i sweter. Temperatura szybko wzrastała, pokład był już tak rozgrzany, że ledwo można było na nim stać.

- Wyłącz to! - zawył Victor.

- Momencik - odpowiedział Agee. - Nie ja budowałem ten statek. Skąd mam wiedzieć...

- Dosyć! - Victor darł się, potrząsając Ageem jak szmacianą lalką. - Dość!

- Puszczaj! - Agee wyciągnął miotacz do połowy. I nagle, w przytłumie natchnienia, wyłączył silniki statku.

Pstrykanie w ścianach umilkło. Pomieszczenie zaczęło się ochładzać.

- Co jest? - zapytał Victor.  
- Temperatura i ciśnienie spadają po wyłączeniu mocy - wyjaśnił Agee. - Nic nam nie grozi, dopóki znowu nie włączymy silników.  
- Kiedy możemy zawinąć do najbliższego portu? spytał Barnett.

Agee liczył w myślach  
- Za jakieś trzy lata - ocenił. - Zapędziliśmy się dosyć daleko.

- Nie dałoby się powyrywać tych urządzeń? Odlączyć?

- Są wmontowane w bebechy statku - powiedział Agee. - Potrzebowalibyśmy całej narzedziowni i fachowej pomocy. A nawet wtedy nie byłoby to proste.

Barnett przez dłuższą chwilę nic nie mówił. W końcu odezwał się.

- No dobra.

- Co dobra?

- Dalismy dupy. Trzeba wracać na tamtą planetę i brać stary statek.

Agee odetchnął z ulgą i wcisnął nowy kurs na zapisie statku.

- Myślisz, że obcy nam go odda? - zapytał Victor.

- Na pewno - powiedział Barnett. - Jeżeli w ogóle jeszcze żyje. Spodziewam się, że odzyskanie statku byłoby mu bardzo na rękę. Ale żeby wejść na swój statek, musi zejść z naszego.

- No tak, kiedy jednak już wsiądzie na ten swój...

- Pomajstrujemy koło przyrządów - zdecydował Barnett. - To go chwilę przytrzyma.

- Chwile - zgodził się Agee. - Ale prędzej czy później wystartuje, z pianą na ustach. Nigdy mu nie ucieknemy.

- Wcale nie musimy - powiedział Barnett. - Jedyne co musimy, to znaleźć się w górze wcześniej niż on. Kadłub ma mocny, ale trzy bomby atomowe to chyba będzie aż nadto.

- O tym nie pomyślałem - uśmiechnął się niemrawo Agee.

- Jedyne logiczne wyjście - powiedział Barnett niezbyt pewnym siebie tonem. - Te stopy metali z kadłuba dalej będą sporo warte. A teraz spróbuj nas tam dowieźć z powrotem i nie usmażyć po drodze.

Agee włączył silniki. Wykonał ostry zwrot, ładując tyle atmosfery, ile tylko mogli wytrzymać. Urządzenia towarzyszące włączyły się pstrykając gęsto i temperatura momentalnie wzrosła. Wykonawszy manewr, Agee skierował „Niezlomnego II” we właściwy punkt i zgasił silniki.

Większość drogi pokonali bez pomocy silników. Dopiero kiedy zbliżali się do planety, Agee musiał ponownie włączyć moc, żeby wprowadzić statek w spiralę deceleracyjną i zejść do lądowania.

Ledwo wygramolili się ze statku, cali w pecherzach, buty przepalone na wylot. Nie było czasu na figle z przyrządami obcego.

Schowali się w lesie i czekali.

- Może wykitował - odezwał się z nadzieją Agee.

Zobaczyli małą figurkę wylaniającą się z „Niezlomnego I”. Obcy poruszał się powoli, ale zdecydowanie mógł się poruszać.

Obserwowali go

- A jeżeli on - odezwał się Victor - zbudował sobie broń? Jak nas zacznie gonić?

- A jakbyś ty się tak zamknął, co? - odpowiedział mu Barnett.

Obcy pomaszzerował wprost do swojego statku. Zniknął wewnątrz, zamknął wszystkie otwory.

- No dobra - Barnett wstał z miejsca. - Trzeba się spieszyć. Agee, ty się zajmiesz sterami. Ja połączę stopy. Victor zabezpieczy otwory. Tempo!

Puscili się biegiem przez równinę i w parę sekund dopadli otwartej sluzy „Niezlomnego I”.

Nawet gdyby Kalen chciał się pospieszyć, nie miał na razie dość sił na poprowadzenie statku. Ale wiedział, że wewnątrz pojazdu jest bezpieczny. Żaden obcy nie wejdzie się przez zapieczętowane otwory.

Znalazł zapasowy kanister z powietrzem i otworzył go. Wnętrze zapełniło się gestym, życiodajnym żółtym gazem. Przez kilka długich minut Kalen tylko oddychał i oddychał.

Potem przetrulił do Zgniatacza trzy największe orzechy kerla. Zgniatacz je rozłupał.

Kiedy Kalen zjadł, poczuł się o wiele lepiej. Dał się rozebrać Rozbierakowi z zewnętrznej powłoki. Druga skóra też była martwa, więc i tę Rozbierak rozplątał na pół, ale trzeciej, żywej warstwy, już nie ruszył.

Kalen, jak nowy, wślizgnął się do kabiny pilota.

Teraz już miał pewność, że obcy ulegli chwilowemu szalenstwu. Inaczej nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego wrócili i oddali mu statek.

A więc musi odszukać ich władze i podać im położenie planety. Niech znajdą swoich i wyleczą ich, raz na zawsze.

Kalen czuł się bardzo szczęśliwy. Nie odstąpił od zasad etyki mabogianskiej, a to było najważniejsze. Jakże łatwo mógł im podrzucić na pokład bombę tetritową, z precyzyjnie ustawionym zegarem. Mógł zniszczyć ich silniki. I miał takie pokusy.

Ale nie uległ im. Nie zrobił nic złego.

Sporządził tylko kilka substancji niezbędnych do ratowania własnego życia.

Kalen ożywił przyrządy i stwierdził, że wszystkie funkcjonują bez zarzutu. Płyn akceleracyjny zaczął się wlewać do kabiny z chwilą włączenia stosów.

Victor pierwszy dopadł wylotu i wskoczył do środka. Wyrzuciło go z powrotem.

- Co jest? - zapytał Barnett.

- Coś mnie uderzyło - powiedział Victor.

Ostrożnie zajrzeli do środka.

Zobaczyli misternie wykonaną śmiertelną pułapkę: wejście zagradały połączone szeregowo przewody akumulatorów. Gdyby Victor oparł się o ścianę, zostałby momentalnie porażony prądem.

Przecieli obwód i weszli do środka.

Balagan był nieopisany. Wszystko, co można było ruszyć z miejsca, zostało ruszone i rzucone byle gdzie. W kącie leżał zgięty łom. Silny kwas był porozlewany po podłodze, w kilku miejscach przeżarł ją na wylot. Stary kadłub „Niezlomnego” świecił dziurami.

- Kto by pomyślał, że to on nas tak załatwi! - odezwał się Agee.

Sprawdzali dalej. W pobliżu ogona tkwiła druga pułapka: drzwi do ładowni zostały zrecznie przymocowane do startera. Wystarczyło dotknąć, żeby z impetem odskoczyły na ścianę. Ktokolwiek by się tam znalazł, zostałby sprasowany na placek.

Znaleźli jeszcze szereg innych pułapek, o niejednoznacznym przeznaczeniu.

Da się naprawić? - spytał Barnett.

Agee wzruszył ramionami.

- Większość narzędzi została na „Niezlomnym II”. Może w rok da się jako tako polatać. Ale trudno przewidywać, czy kadłub wytrzyma.

Wyszli na zewnątrz. Obcy statek właśnie odpalał.

- Co za monstrum! - powiedział Barnett, patrząc na poprzęieraną kwasem powłokę swojego statku.

- Z obcymi nigdy nic nie wiadomo - zgodził się Agee.

- Dobry obcy, to martwy obcy - podsumował Victor.

„Niezlomny I” był teraz równie niezrozumiały i niebezpieczny jak „Niezlomny II”.

A „Niezlomnego II” nie było.

Przełożyła  
Jolanta Kozak



MICHELANGELO  
MIANI



**C**zyżby istotnie coś usłyszał? Nie był tego pewien. Odtwarzając zdarzenia w chwili później, Joe Collins przypomniał sobie, że leżał na własnym łóżku, tak straszliwie zmęczony, że nie miał nawet siły zdjąć z koca przesiąkniętych wodą butów. Z wzrokiem utkwionym w sieci pęknieć na brudnym żółtym suficie, obserwował wolno, żalobnie kapiącą do środka wodę.

Robert Sheckley

# COŚ ZA NIC

*(Something for nothing)*

To się musiało zdarzyć właśnie wtedy. Collins kątem oka złowił błysk metalu tuż koło łóżka. Usiadł. Na podłodze, tam, gdzie nigdy nie było żadnej maszyny, stała maszyna.

W pierwszym momencie zaskoczenia, Collinsowi wydało się, że słyszy bardzo odległy głos, który mówi:

- Już! Gotowe.

Co do głosu - nie był go pewien. Ale maszyna pozostała faktem niezaprzeczalnym.

Collins przykleknął, żeby ją lepiej obejrzeć. Maszyna mogła mieć ze trzy stopy kwadratowej powierzchni i cicho szumiła. Spekana, szara powierzchnia pozbawiona była cech szczególnych, z wyjątkiem czerwonego przycisku w jednym rogu i mosiężnej płytki pośrodku. Płytką informowała: **UTYLIZATOR KLASY A, SERIA AA - 125 8432. Pod spodem zaś - UWAGA! MASZYNA DO WYŁĄCZNEGO UŻYTKU OSOBNIKÓW KLASY A!**

I to było wszystko.

Collins nie zauważył żadnych pokręteł, wskazówek, przełączników i tym podobnych urządzeń, które zawsze kojarzyły mu się z maszynami. Tylko mosiężna płyta, czerwony guzik i ten szum.

- Skądś się tu wzięło? - zapytał. Utylizator Klasy A szumił dalej. Collins i tak nie spodziewał się odpowiedzi. Siedząc na skraju łóżka, patrzył w zamyśleniu na Utylizator. Pozostawało pytanie - co z nim zrobić?

Ostrożnie nacisnął czerwony guzik, świadom swojego braku doświadczenia z maszynami, które spadały nie wiadomo skąd. Co się stanie, kiedy uruchomi urządzenie - podłoga się rozstąpi? Z sufitu zaczną spadać małe zielone ludziki?

Ale do stracenia miał mniej niż nic. Nacisnął guzik. Lekko.

Nic się nie stało.

- No, co jest, rób coś! - zirytował się Collins, wyraźnie zawiedziony. Utylizator dalej tylko cicho szemrał i nic więcej.

Zawsze można go oddać w zastaw. Uczciwy handlarz



dalby mu za złom przynajmniej dolara. Spróbował podnieść Utylizator. Okazało się to niemożliwe. Spróbował raz jeszcze, tym razem angażując wszystkie siły i zdołał unieść jeden róg o cal nad ziemię. Puścił ciężar i spadł na łóżku, dysząc ciężko.

- Trzeba było przysłać ze dwóch facetów do pomocy - zwrócił się Collins do Utylizatora. W mgnieniu oka szum nasilił się i cała maszyna zaczęła wibrować.

Collins obserwował ją uważnie, ale dalej nic się nie działo. Wiedziony impulsem, wyciągnął rękę i pacnął w czerwony guzik.

W mig pojawili się dwaj potężni faceci, odziani w zgrzebne stroje robocze. Z uznaniem popatrzyli na Utylizator.

- Bogu dzięki - odezwał się jeden - że to mały model. Z tymi dużymi człowiek się naużera jak głupi.

- I tak lepsze to niż marmurowe kamieniolomy, no nie? - odezwał się drugi.

Spojrzeni na Collinsa, który wytrzeszczał na nich gały. W końcu pierwszy powiedział:

- No dobra, szefie, nie będziem tu sterczeć do nocy. Gdzie przestawic?

- Kim panowie są? - wydukał Collins

- Przenosićelami. A co, może wyglądamy jak siostry Vanizaggi?

Ale skąd panowie się tu wzięli? - pytał dalej Collins. - I dlaczego?

- Wzięliśmy się z firmy przenosićelskiej Powha Minnile Movers, Incorporated - wyjaśnił facet. - A dlatego, że pan szanowny życzył sobie coś przestawic. Gdzie to postawic?

- Proszę sobie isc - powiedział Collins. - Później panów wezwę

Przenosiciele wzruszyli ramionami i zniknęli. Collins przez dłuższą chwilę wpatrywał się w miejsce po nich. Potem przeniósł zdumione spojrzenie na Utylizator Klasy A, który z powrotem szumiał sobie z cicha.

Utylizator? Znalazłby dla niego lepszą nazwę. Spełniarka życzeń, na przykład.

Collins nie był specjalnie wstrząśniony. Kiedy zdarza się cud, tylko tepe, przyziemne umysły nie potrafią go spokojnie zaakceptować. Collins z całą pewnością do nich nie należał. Miał doskonały grunt do akceptacji wszelkich zjawisk.

Wiekłą część życia spędził na marzeniach, nadziejach i modlitwach o to, żeby zdarzył mu się cud. W gimnazjum marzył o tym, że któregoś dnia obudzi się i będzie umiał całą pracę domową bez nudnej konieczności uczenia się. W wojsku marzył o tym, żeby jakiś czarodziej albo dziwny zmienił dyspozycję i przydzielił go do dekorowania świetlicy, zamiast go zmuszać, żeby robił to, co wszyscy – czyli trenował musztre.

Po wyjściu z wojska Collins unikał pracy, gdyż był do niej psychicznie nieprzystosowany. Obijał się, z nadzieją, że jakas bajecznie bogata osoba, pod wpływem nagłego impulsu zmieni swój testament, zapisując mu Wszystko.

W gruncie rzeczy, nigdy się niczego nie spodziewał. Ale kiedy cud nastąpił, był przygotowany.

– Chciałbym dostać tysiąc dolarów w drobnych banknotach – odezwał się ostrożnie Collins. Kiedy szum się nasilił, wcisnął guzik. Wyrosła przed nim spora kupa podniszczonych banknotów jedno-, pięcio- i dziesięciodolarowych. Nie były zbyt piękne, to fakt, ale bez wątpienia były to pieniądze.

Collins wyrzucił garść banknotów w powietrze i patrzył, jak z gracją osiadają na podłodze. Wyciągnął się na łóżku i zaczął snuć plany.

Przede wszystkim, wyjedzie z maszyną poza Nowy Jork – może gdzieś na prowincję, gdzie wścibscy sąsiedzi nie będą mu przeszkadzać. Mogą być hece z podatkiem dochodowym. Kiedy się już ustawi, powinien wyjechać do Ameryki Środkowej, albo...

W pokoju rozległ się podejrzany odgłos.

Collins skoczył na równe nogi. W ścianie otwierała się wyrwa, przez którą ktoś próbował wtrynąć się do środka.

– Ejże! Przecież cię o nic nie prosiłem! – powiedział Collins do maszyny.

Dziura w ścianie powiększyła się i wielki, czerwony na gębie gość wkroczył jedną nogą do pokoju, z furią napierając na brzeg wyrwy.

W tym momencie Collins przypomniał sobie, że maszyny na ogół miewają właścicieli. Kłopotliwiek był posiadaczem spełniarki życzeń, na pewno nie przyjały jej utraty ze stoickim spokojem. Zrobiłby wszystko, żeby ją odzyskać. Możliwe, że nie zawahałby się nawet przed...

– Broń mnie! – wrzasnął Collins do Utylizatora i dźgnął czerwony guzik.

Pojawił się drobny, tysi czlowieczek w krzykliwej piżamie, zaspany i ziewający.

– Sanisa Leek, Gwarantowane Remonty Ścian – wyrecytował, trąc oczy. – Jestem Leek. Czym mogę służyć?

– Wyrzuc go stąd! – wrzasnął Collins. Czerwony na gębie, wymachując dziko ramionami, zdołał już prawie przecisnąć się przez otwór w ścianie.

Leek wygrzebał z kieszeni piżamy błyszczący kawałek metalu. Czerwony na gębie zaczął wrzeszczeć.

– Chwileczkę! Pan nie rozumie! Ten człowiek...

Leek wycelował w niego błyszczącą blaszką. Czerwony na gębie wrzasnął i zniknął. Po chwili znikła również dziura w ścianie.

– Zabił go pan? – zapytał Collins.

– Skądże znowu – odparł Leek, chowając blaszkę. – Ja go tylko zawróciłem jego własnym kanałem. Tą drogą więcej nie spróbuje.

– Czy to ma znaczyć, że spróbuje inną? – zapytał Collins.

– To możliwe – powiedział Leek. – Może próbować mikrotransferu, a nawet i animacji. – Spojrzał surowo na Collinsa. – To jest pański Utylizator, tak?

– Jasne – powiedział Collins i zaczął się pocić.

– I ma pan klasę A?

– Naturalnie – zapewnił go Collins. – Gdybym nie miał klasy A, to co by u mnie robił Utylizator?

– Nie chciałem pana urazić – uspokoił go sennym głosem Leek. – Tak tylko zgaduję – wolno pokiwał głową. – Wy, ludzie klasy A, to sobie podróżujecie! Pan tutaj wrócił, żeby pisać powieść historyczną?

Collins tylko uśmiechnął się zagadkowo.

– No, bede leciał – powiedział Leek, ziewając jak najęty. – Dzień i noc na nogach. Już bym chyba wołał kamieniolomy. I zniknął w pół ziewnięcia.

Deszcz ciągle bebnął w dach. Z drugiej strony wywielicznika nadal dobiegało chrapanie, niczym nie zakłócone. Collins był znowu sam, sam ze swoją maszyną.

I z tysiącem dolarów w drobnych banknotach, rozsypanych po całej podłodze.

Czule poklepał Utylizator. Ci z klasą A rzeczywiście nieźle sobie żyli. Pan sobie czegoś życzy? Wystarczy wymówić życzenie i nacisnąć guzik. Nie ma wątpliwości, że prawdziwy właściciel teskni za swoją maszynką.

Leek ostrzegał, że gość może próbować dobrać się do niego inną drogą. Tylko jaką?

A zresztą, co za różnica. Collins zgarnął banknoty, pogwizdując pod nosem. Wiedział, że dopóki ma spełniarkę życzeń, potrafi o siebie zadbać.

**K**ilka następnych dni przyniosło wielkie zmiany w życiu Collinsa. Z pomocą firmy przenosielskiej Powha Minnile przetransportował Utylizator w głąb stanu Nowy Jork. Tam zakupił średniej wielkości gorę w mało uczęszczanym zakątku Adirondaków. Ledwie dostał papiery do reki, udał się w samo serce swojej posiadłości, o kilka mil od autostrady. Dwaj przenosiciele, pocąc się jak myszy, laszczyli Utylizator w ślad za nim, klnąc przy tym monotonnie, w miarę jak forsowali gąszcz.

– Postawic mi go tutaj i zjeżdżać – polecił Collins. Ostatnie dni znacznie wzmogły jego pewność siebie.

Przenosiciele westchnęli, nieco zdziwieni, i ulotnili się. Collins rozejrzał się dookoła. Ze wszystkich stron, jak okiem sięgnąć, otaczał go gęsty las brzozowo-sosnowy. Powietrze było słodkie i wilgotne. Ptaki ćwierkały radośnie w koronach drzew, od czasu do czasu przemknęła wiewiórka.

Natura! Collins zawsze kochał przyrodę. Miejsce było idealne pod budowę dużego, efektownego domu, z basenem, kortami tenisowymi, a nawet – czemu nie? – małym lotniskiem.

– Chcę mieć dom – oświadczył stanowczo Collins i wcisnął czerwony guzik.

Pojawił się człowiek w nienagannym szarym garniturze urzędnika i z pince-nez.

– Służę uprzejmie, sir – rzekł, patrząc po drzewach. – Jestem jednak zmuszony prosić o bardziej szczegółową specyfikację. Czy życzy pan sobie coś klasycznego – bungalów, ranczo, willa dwupoziomowa, dworek, zameczek lub pałac? Czy też model prymitywny typu igloo albo szalas? Jako A, może pan wymagać czegoś supernowoczesnego – może być Pół-Fronton, Nowosc Rozwinięta, albo Zatopiona Miniatura.

– Coś podobnego – powiedział Collins. – Sam nie wiem. Co pan by proponował?

– Nieduży dworek – odparł tamten bez wahania. – Na ogół zaczyna się od niedużego dworku.

– Czyżby?

– Tak. Potem przeprowadzka w ciepły klimat i tam pałac.

Collins miał ochotę zadać więcej pytań, ale powstrzymał się. Wszystko szło jak po masle. Tamci naprawdę



# MICHELANGELO MIANI



brali go za A - legalnego właściciela Utylizatora. Nie było powodu, żeby pozbawiać ich iluzji.

- Niech pan się sam wszystkim zajmie - polecił Collins urzędnikowi.

- Naturalnie, sir - odparł lamten. - Zawsze to robie.

Przez resztę dnia Collins spoczywał na kanapie i popijał mrożone napoje, podczas gdy Towarzystwo Budowlane Maxima Olph materializowało sprzęt i stawiało mu dom.

Owocem tych działań była niewysoka budowla, licząca około dwudziestu pokoi, którą Collins ocenił jako skromną, uwzględniając okoliczności. Dom wzniesiono z materiałów najwyższej klasy, według projektu Moga z Degmy, wnętrza projektował Towige, basen - Mula, a ogród francuski - Vierien.

Do wieczora dzieło było ukończone, szczupła armia budowlanych zwinęła swój sprzęt i ulotniła się.

Collins zezwolił łaskawie, żeby szef kuchni przyrządził dla niego kolację. Następnie zasiadł w przestronnym, chłodnym salonie, aby rzec całą przemyślec. Przy nim, szumiąc łagodnie, przycupnął Utylizator.

Collins zapalił cheroota i wciągnął nosem aromat egzotycznego cygara. Na początek odrzucił wszelkie wyjaśnienia o charakterze nadprzyrodzonym. Wykluczył demony i diabły. Jego dom wzniesiony został przez normalne ludzkie istoty, które gadały, śmiały się i rzucały miśsem jak każda inna normalna ludzka istota. Utylizator był niczym więcej jak eksperymentalnym gadzetem, działającym na zasadach, których Collins nie rozumiał i na zrozumieniu których wcale mu nie zależało.

Czyżby aparat pochodził z obcej planety? Mało prawdopodobne. Kto by specjalnie dla Collinsa opanowywał język angielski?

Utylizator musiał zatem pochodzić z ziemskiej przyszłości. Ale jak trafił do Collinsa?

Collins rozparł się wygodnie i zaciągnął cygarem. Wypadki się zdarzają, pouczył sam siebie. Całkiem możliwe, że Utylizator po prostu osunął się w przeszłość. Potrafił przecież tworzyć coś z niczego, a to już była sprawa skomplikowana.

Cóż to musi być za wspaniała przyszłość, myślał Collins. Maszyny do spełniania życzeń! Co za kultura! Człowiekowi pozostawało do roboty tylko jedno: wymyślić życzenia. Hokus-pokus - i gotowe. Z czasem wyeliminują pewnie i ten czerwoną przycisk. Wszelkie działanie manualne stanie się zbędne.

Oczywiście, będzie musiał bardzo uważać. Nadal przecież istniał prawowity właściciel, i reszta tych całych A. Na pewno będą próbowali odebrać mu maszynę. Może to klika rodowa...

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Podniósł wzrok. Utylizator drżał jak listek na wietrze.

Collins podszedł do niego, surowo marszcząc brwi. Utylizator spowity był ledwie widocznym obłokiem pary. Aparat najwyraźniej się przegrzewał.

Czyżby Collins go przeforsował? Może kubek wody...

Wtem zauważył, że Utylizator wyraźnie się zmniejsza. Miał już najwyżej dwie stopy kwadratowej powierzchni i kurczył się dalej na oczach Collinsa.

Właściciel! Albo cała kasta A! To musi być ten mikrotransfer, o którym mówił Leek. Collins zrozumiał, że jeżeli nie zadziała natychmiast, spełniarka życzeń skurczy się do nicości i zniknie.

- Służba pomocnicza Leeka! - zakomenderował. Pacnął guzik i szybko cofnął rękę. Maszyna była bardzo gorąca.

Leek zjawił się w kącie pokoju, ubrany w luzne portki i koszulkę gimnastyczną, z kijem golfowym w rękę.

- Czy musi mi pan przeszkadzać zawsze, kiedy....

- Niech pan działa! - wrzasnął Collins, wskazując na Utylizator, który mierzył już zaledwie stopę kwadratową powierzchni i dyszał dymną czerwienią.

- Ja tu nic nie poradzę - powiedział Leek. - Mam licencję tylko na ścianę czasu, a tu potrzebni są ludzie od mikrokontroli.

Poprawił uchwyt kija golfowego i już go nie było.

- Mikrokontrola! - zadysponował Collins i wyciągnął rękę w stronę guzika. Cofnął ją pospiesznie. Czerwona szerokość Utylizator palął czerwienią barwy wiśni. Guzik, wielkości lebka od szpilki, był ledwo widoczny

Zjawiła się dziewczyna w rogowych okularach, z notesem w dłoni, i gotowym do polowania ołówkiem w drugiej.

- Z kim chciałby się pan skontaktować? - zapytała z niezmaconym spokojem.

- Pomocy, szybko! - ryknął Collins, patrząc, jak jego bezzenny Utylizator kurczy się i kurczy.

- Pan Vergon wyszedł na lunch - powiedziała dziewczyna, w zamyszeniu gryząc koniec ołówka. - Wystrefował się, nie mam z nim łączności.

- A z kim ma pani łączność?

Dziewczyna skonsultowała się z notesem.

Pan Vis przebywa w Ciągłości Dieg, a pan Elgis działa gdzieś w terenie, w Europie ery paleolitycznej. Jeżeli to naprawdę pilne, radzę się skontaktować z Kontrolą Transferów Punktowych. To nieduża firma, ale...

- Kontrola Transferów Punktowych! Natychmiast!

Całą uwagę skupił na Utylizatorze. Zaatakował go osmaloną już poduszką. Nic się nie stało. Utylizator miał powierzchnię połowy cala kwadratowego i poduszka - uzmysłowił sobie Collins - nie mogła wcisnąć niewidocznego prawie guzika.

Przez moment Collins wahał się, czy nie darować sobie Utylizatora. Może właśnie nadszedł właściwy moment. Mogłby sprzedać dom, z urządzeniem, i dalej żyć sobie całkiem nieźle.

Nie! Przecież jeszcze niczego ważnego nie zażądał! Nikt mu nie odbierze skarbu bez walki!

Zmusił się do trzymania oczu otwartych, kiedy dźgał rozgrzany do białości guzik sztywno wypreżonym palcem wskazującym.

Stał przed nim mikry, nędznie odziany staruszek, który trzymał w rękach coś jakby wesół pokolorowaną wielkanocną pisanke. Jajo pekle, a z jego wnętrza wydobył się pomarańczowy dym, który natychmiast wessany został przez niewidoczny gołym okiem Utylizator. Buchnął straszny dym; Collins omal się nie udławił. Utylizator zaczął powracać do dawnych rozmiarów. Wkrótce odzyskał pierwotną wielkość. Wydawał się nienaruszony. Staruszek skromnie skinął głową.

- My się tam nie cackamy - powiedział - ale za to działamy solidnie, mucha nie siada.

Jeszcze raz kiwnął głową i zniknął.

Collins miał wrażenie, że słyszy z oddali wściekle wrzaski.

Roztrzesiony, usiadł na podłodze przed maszyną. Ból w palcu ćmił niełitościwie.

- Ulecz mnie - wymamrotał Collins przez spierzchnięte wargi, przyciskając guzik zdrową ręką.

Utylizator jeszcze chwile szumił głośniejsze, po czym ucichł. Ból ulotnił się z poparzonego palca i Collins stwierdził, że nie widać ani śladu po oparzeniu - w ogóle nie wiadomo, gdzie to było.

Collins strzelił sobie sporą brandy i poszedł prosto do łóżka. Tej nocy śniło mu się, że ściga go wielka litera A, ale rankiem nic z tego nie pamiętał.

P o tygodniu Collins zorientował się, że wzniesienie domu w lesie było najgorszym pomysłem, na jaki mógł wpaść. Zmuszony był wynająć pluton strażników dla utrzymania ciekawskich z daleka, a myśliwi uparli się biwakować właśnie w jego francuskich ogrodach.

Na domiar złego, jego sprawami zaczął się żywo interesować urząd podatkowy.

Ale przede wszystkim Collins doszedł do wniosku, że wcale nie szaleje za urokami przyrody. Nie miał nic przeciwko płaszkom i wiewiórkom, ale trudno je było uznać za partnerów do konwersacji. Drzewa, chociaż bezsprzecznie dekoracyjne, wyśiadły w charakterze kompanów od kieliszka.

Collins skonstatował, że w głębi duszy jest skończonym mieszcuchem.

W związku z tym, korzystając z pomocy towarzystwa przenosielskiego Powha Minnie, towarzystwa budowlanego Maxima Olph, biura podróży Jagton Instantaneous, oraz lokując sporą forszę w odpowiednich rekach, Collins przeprowadził się do małej republiki w Ameryce Środkowej. Tam, korzystając z ciepłego klimatu i braku podatku dochodowego, wybudował obszerny, przewiewny, wystawny pałac.

Przez krótki czas wszystko układało się sympatycznie.

Kilka dni później Collins podszedł do Utylizatora z niezbyt sprecyzowanymi intencjami zażądania samochodu sportowego i może nie-

wielkiego stadka rodowodowego bydła na dodatek. Pochylił się nad szarym blatem maszyny, sięgnął ręką do guzika...

A wtedy Utylizator cofnął się przed nim.

Przez chwilę Collins myślał, że ma przywidzenia i bliski był podjęcia decyzji, że już nie będzie pił szampana przed śniadaniem. Dał krok do przodu i sięgnął do guzika.

Utylizator wykonał zgrabny unik i truchcikiem wycofał się z pokoju.

Collins skoczył za nim, przeklinając właściciela i całą klasę A. To na pewno była ta animacja, o której opowiadał Leek – właścicielowi udało się w jakiś sposób ożywić maszynę. Ale nie to było najważniejsze. Najważniejsze było dogonić aparat, wcisnąć guzik i wezwać fachowców z Kontroli Animacji.

Utylizator pedził środkami hallu, Collins już za nim. Pomocnik lokaja, polerujący własnie maszyną gałkę u drzwi, spojrzał na nich z rozdziawioną gębą.

- Zatrzymaj to! - wrzasnął Collins.

Pod-lokaj mezdarnie zablokował drogę Utylizatorowi. Maszyna wyminęła go z wdziękiem i sprintem pucila się ku drzwiom wejściowym.

Collins nacisnął guzik i drzwi zatrzasnęły się z głośnym hukiem.

Utylizator wziął rozpęd i staranował zamknięte drzwi. Znalazłszy się na zewnątrz, zawadził o szlauch ogrodowy, natychmiast odzyskał równowagę i ruszył ku otwartej przestrzeni.

Collins pucila się za nim. Gdyby tylko udało mu się zbliżyć jeszcze o kawałek...

Utylizator nagle wyskoczył w górę. Na moment zawisł w powietrzu, po czym opadł na ziemię. Collins rzucił się do guzika.

Utylizator przeturlał się na bok, podbiegł kawałek i znowu podskoczył. Przez chwilę wisiał dwadzieścia stop nad głową Collinsa, podciągnął się jeszcze o kilka stop do góry, zamarł bez ruchu, obrócił się gwałtownie i spadł na ziemię.

Collins przeraził się, że za trzecim skokiem maszyna już nie opadnie. Kiedy Utylizator niechętnie wracał na ziemię, Collins był już przygotowany. Przyczaił się i przypadł do guzika. Utylizator zrobił unik, ale za późno.

- Kontrola Animacji! - ryknął triumfalnie Collins.

Nastąpił drobny wybuch i Utylizator potulnie osiadł w miejscu. Nie było w nim ani śladu życia.

Collins otarł czoło i przysiadł na maszynie. Tamci są coraz bliżej. Powinien teraz, poki jest okazja, wygłosić jakieś ważne życzenie.

Jednym tchem zażądał pięciu milionów dolarów, trzech czynnych szybów naftowych, studia filmowego, doskonałego stanu zdrowia, jeszcze dwudziestu pięciu tancrek, niesmiertelności, samochodu sportowego i stadła rodowodowego bydła.

Wydawało mu się, że ktoś syknął z niesmakiem. Rozejrzał się wokół. Nikogo nie było.

Kiedy się odwrócił, Utylizatora też nie było.

Collins tylko wytrzeszczył oczy. A po chwili nie było również i jego...

**K**iedy otworzył oczy, okazało się, że stoi przed biurkiem. Po drugiej stronie biurka siedział poleźny facet, czerwony na gębę, ten sam, który kiedyś próbował się wdrzeć do jego pokoju. Facet nie wyglądał na zagniewanego. Minę miał raczej zmartwioną, wręcz melancholijną.

Collins przez krótką chwilę stał w milczeniu. Żał mu było, że to już koniec. Właściciel i ci A jednak go w końcu dopadli. Ale dopóki trwało, było fantastycznie.

- No - odezwał się bez ogródek Collins. - Ma pan z powrotem swoją maszynkę. Czego jeszcze?

Moją maszynkę? - powtórzył czerwony na gębę, z niedowierzaniem podnosząc wzrok. - To nie moja maszynka. Bynajmniej.

Collins wybatużył oczy.

- Nie bujaj, szefie. Wy, A klasa, dobrze dbacie o ochronę swojego monopolu, co?

Czerwony na gębę odłożył papier na biurko.

- Panie Collins - oświadczył sztywno. - Moje nazwisko Flign. Jestem agentem Obywatelskiej Jednostki Ochronnej, organizacji bezrododowej, której celem jest ochrona jednostek takich jak pan przed błędami w ocenie.

- Jak to, to pan nie jest A?

- Szanowny pan działa na podstawie fałszywych przesłanek - odparł Flign z cichą godnością. - Klasa A nie oznacza grupy społecznej, jak zdaje się pan sądzić. Jest to po prostu kategoria kredytowa.

- Co takiego? - Collins przeciągał sylaby.

Kategoria kredytowa. Flign zerknął na zegarek. Czasu mamy niewiele. Wracajcie się stęszczał. Zajmijmy w epoce decen-

tralizacji, panie Collins. Nasze przedsiębiorstwa, instytucje i usługi rozsiane są na znacznych obszarach przestrzeni i czasu. Korporacja Utylizacyjna jest ogniwem niezbędnym. Zapewnia transfer dóbr i usług z jednego punktu czasoprzestrzeni do drugiego. Czy pan mnie rozumie?

Collins pokiwał głową.

- Kredyt jest, rzecz jasna, przywilejem automatycznym. Jednak w końcu za wszystko trzeba płacić.

Collinsowi nie spodobało się to ostatnie zdanie. Jak to - zapłacić? A więc nie był to świat aż tak cywilizowany, jak mu się zdawało. Nikt wcześniej nie wspominał o płaceniu. Dlaczego wyskakują z tym dopiero teraz?

- Dlaczego ktoś mnie nie powstrzymał? - zapytał zrozpaczony Collins. - Przecież musieli wiedzieć, że nie mam odpowiedniej kategorii.

Flign pokreślił głową.

- Kategorie kredytowe mają charakter sugestii, nie przepisów. W cywilizowanym świecie jednostka ma prawo do decydowania o sobie. Bardzo mi przykro, sir - znów zerknął na zegarek i wręczył Collinsowi papier, który uprzednio studiował. - Zechce pan rzucić okiem na ten rachunek i powiedzieć mi, czy wszystko się zgadza?

Collins wziął od niego kartkę i przeczytał:

Jeden pałac z wyposażeniem .....	kred. 45 000 000
Usługi Przenosielskie, Maxima Olph .....	111 000
122 tancrek .....	122 000 000
Doskonały stan zdrowia .....	888 234 031

Szybko przeleciał wzrokiem resztę listy. Suma opiewała na nieco ponad osiemnaście miliardów kredytów.

- Jedną chwileczkę! - zaprotestował Collins. - Nie mogę za to wszystko odpowiadać! Ten cały Utylizator wpadł mi do pokoju przypadkiem!

- Jest to fakt, na który zamierzam zwrócić ich uwagę - odparł Flign. - Kto wie, może okażą zdrowy rozsądek. Nigdy nie zaszkodzi spróbować.

Collins poczuł, że pokój się kołysze. Twarz Fligna rozplywa się przed jego oczami.

- Czas minął - powiedział Flign. - Powodzenia.

Collins zamknął oczy.

Kiedy je znowu otworzył, stał na ponurej równinie, a przed nim wznosił się lancuch kołkowatych gór. Zimny wicher smagał po twarzy, niebo miało barwę stali.

Koło niego stał jakiś obdartus.

- Trzymaj - powiedział i wręczył Collinsowi kilof.

- Co to jest?

To jest kilof - wyjaśnił cierpliwie obdartus. - A tam - o tam, są kamieniołomy, z których ty, i ja, i inni też, będziemy wydobywać marmur.

- Marmur? -

- A jak! Zawsze się znajdzie jakiś dran, któremu się zamarzy marmurowy pałac. - Obdartus uśmiechnął się kwaśno. - Możesz mi mówić Jang. Spędzimy razem kawał czasu.

Collins, oglupiały, zamrugał oczami.

- Ile?

- Sam sobie oblicz - powiedział Jang. - Stawka jest piętnaście kredytów za miesiąc, do chwili całkowitego spłacenia długu.

Kilof wypadł z ręki Collinsa. Nie mogli mu zrobić czegoś takiego! Korporacja Utylizacyjna na pewno już dostrzegła swoją omyłkę! To oni się pomylili, przez nich maszyna omsknęła się w przeszłość! Czyż tego nie rozumiem?

- To pomyłka! - powiedział Collins.

- Nie ma żadnej pomyłki - powiedział Jang. - Oni tu stale cierpią na brak rąk do pracy. Prowadzą rekrutację gdzie się da. Nie przejmują się. Najgorsze pierwsze tysiąc lat, potem się przyzwyczajasz.

Collins ruszył za Jangiem w stronę kamieniołomów. Nagle zatrzymał się.

- Pierwsze tysiąc lat? Przecież człowiek tyle nie żyje!

- Niektórzy żyją - uspokoił go Jang. - Nie prosiles przypadkiem o niesmiertelność?

Istotnie, prosił. Zażądał niesmiertelności tuż przed tym jak cofnęli mu maszynę. A może cofnęli mu maszynę tuż po tym jak zażądał niesmiertelności?

Collins coś sobie przypominał. Dziwne, ale na rachunku, który przedstawił mu Flign, niesmiertelność nie figurowała.

- Nie wiesz czasem, ile biorą za niesmiertelność? - zapytał.

Jang popatrzył na niego i parsknął śmiechem.

- Nie bądź naiwny, synku. Powinieneś się już dawno połączyć.

Podprowadził Collinsa pod kamieniołomy.

- Niesmiertelność dostajesz za frajer, to chyba jasne.

Przełożyła Jolanta Kozak



# STEPHEN KING

Stephen King jest najlepiej znanym, najwyżej opłacanym, a być może także najlepszym ze współczesnych twórców literackiego horroru. To właśnie zdecydowało, że ten numer „Fantastyki” zawiera cały zestaw tekstów poświęcony jego twórczości – i jego sukcesom. Składają się nań: esej samego pisarza (poniżej), opublikowany pierwotnie w nieco rozszerzonej wersji jako wstęp do tomu opowiadań „Night Shift” („Nocna zmiana”, stąd tytuł polski), mikropowieść „Ballada o celnym strzale” (str. 23), należąca do niewątpliwych literackich osiągnięć kontrowersyjnego pod tym względem Kinga, oraz teksty krytyczne: jeden poświęcony jego pisarstwu (str. 43), drugi – filmom zrealizowanym na podstawie jego powieści (str. 64).

(K. Sok.)

## Nocna zmiana

Porozmawiamy sobie ty i ja. Porozmawiamy o strachu.

Pszę te słowa w pustym domu. Za oknem pada z mny deszcz. Jest noc. Czasami wyje wiatr, kedy go słyszysz tracisz przytomność. Ale dziś nie ma wiatru, więc możemy porozmawiać o strachu. Zastanawiamy się spokojnie i racjonalnie w jaki sposób człowiek dochodzi do granicy szaleństwa, a czasami nawet przekracza tę granicę.

Nazywam się Stephen King. Jestem dorosły, mam rodzinę, żonę i troje dzieci. Kocham ich i mam nadzieję, że odwzajemniają to uczucie. Zastanawiam się nad tym, co piszę i bardzo mi się to podoba. Powieści „Carrie”, „Salem’s Lot”, „The Shining” odniosły sukces, wystarczający, bym o prócz pisania nic już nie musiał robić, a pisanie sprawia mi przyjemność. Na razie jestem chyba zupełnie zdrowy. W zeszłym roku zmieniłem galunek mocnych papierosów, bez filtra, które paliłem od 18 roku życia na nowy, o małej zawartości nikotyny i substancji, smol stych i ciągle mam nadzieję, że uda mi się zupełnie rzucić palenie. Mieszkam z rodziną w ładnym domu stojącym nad brzegiem całkiem jeszcze czystego jeziora w stanie Maine. Tej jesieni obudziłem się pewnego ranka i zobaczyłem jelenia, stojącego na trawniku tuż przy drewnianym stole. Wszystko się nam jakoś układa.

Więc porozmawiamy o strachu. Bez podnoszenia głosu i bez krzyków, porozmawiamy sobie rozsądnie – ty i ja. Porozmawiamy o tym, jak solidna materia rzeczywistości rozrywa się czasami tak nagle, że przyprawia nas to o drżenie.

Nocą, kedy kładę się spać, nimm zasęże światła, zawsze przykrywam nogi kocem. Nie jestem dzieckiem już od dawna, ale nie potrafię zasnąć z nogami wystającymi spod koca. Jakaś zimna dłoń może się przecież wysunąć spod łóżka i złapać mnie za kostkę. A wtedy zacząłbym krzyczeć, krzyczeć tak, że zbudziłbym umarłych. Coś takiego oczywiście nie może się zdarzyć i wszyscy o tym wiemy. W moich opowiadaniach spotkać można wiele nocnych stworów: wampiry, potwory i mnóstwo innych strachów. One naprawdę wcale nie istnieją. To coś, co leży pod łóżkiem i czeka, żeby mnie złapać za kostkę, także nie istnieje. Wiem o tym doskonale i wiem także, że jeśli dokładnie schowam nogi pod koc, to nigdy nie zdola zacisnąć na nich swej zimnej dłoni.

★

Czasami, mówiam okazje do spotkań z ludźmi, którzy interesują się pisanem i literaturą i nim skonczę przemówienie ktoś z nich zawsze podnosi rękę do góry i zadaje następujące pytanie: „Dlaczego wybiera pan sobie takie okropne tematy?”

Zazwyczaj odpowiadam im pytaniem: „A dlaczego myślicie, że mam jakiś wybór?”

Pisanie to zawód, w którym wszystkie chwytły są dozwolone. Wszyscy rodzimy się wyposażeni w odpowiednie umysłowe filtry, które mają różne wymiary i różne wkłady. To, co zostaje na moim filtrze, przejdzie przez twój. To, co zostaje na twoim, bez problemu przeleci przez mój. Każdy z nas przesiewa zwiń, który pozostał na jego filtrze i

to, co tam znajduje, staje się jego obsesją. Urzędnik może być filologiem, Astronom może zbierać monety. Nauczyciel może kopiować stare cmentarne inskrypcje. W cywilizowanym społeczeństwie niepisana umowa wymaga, by takie obsesje nazywać niewinnym słowem „hobby”.

Czasami hobby zmienia się w zawód. Urzędnik może stwierdzić, że zarabia filologią wystarczająco dobrze, żeby utrzymać rodzinę, nauczyciel może zacząć wygłaszać wykłady o inskrypcjach i są także takie zawody, które rodzą się jako hobby i pozostają hobby, nawet wtedy, kedy dzięki nim zarabia się na życie. Tylko, że hobby to takie znane, takie poczwne brzmiące słowo. Inna niepisana umowa każe więc nazywać takie „zawodowe hobby” sztuką.

Malarsztwo, Rzeźba, Muzyka, Śpiew, Aktorstwo. Gra na różnych instrumentach. Pisanie. Na tych siedem tematów napisano już tyle książek, że mogłyby zatopić flotę luksusowych transatlantyków. Powszechna zgoda panuje tylko pod jednym względem: ci, którzy uprawiają którąś z tych sztuk uczciwie, pracowaliby nawet wtedy, gdyby nikt im za to nie płać, nawet gdyby ich krytykowano, gdyby kpięno, grożono więzieniem i śmiercią. Brzmie to dla mnie jak całkiem dobre określenie obsesji, odnoszące się zarówno do zwykłych hobby, jak i do „sztuki”. Kolekcjonerzy broni, nalepają na zderzakach samochodów nalepki z tekstem: „Strzeż się zabierzeć mi po moim trupie”, a na przedmieściach Bostonu niepracujące żony, które odkryły niedawno, czym może być polityczna aktywność, często nalepają na zderzaki swych kombi slogan: „Raczej pójdę do więzienia, niż oddam dziecko do szkoły w srodmieście”. I podobnie: gdyby jutro zakazać prawem kolekcjonowania monet, astronom najprawdopodobniej nie oddałby nikomu swych cennych groźszaków, owanałby je raczej folią, zatopił na dnie spłuczki w toalecie i podzwał tylko w nocy.

Może ci się wydawać, że odeszliśmy daleko od naszego tematu, ale tak naprawdę jesteśmy ciągle blisko niego. Zwiń, który zatrzymuje się w moim filtrze, często zawiera okruciny strachu. Strach jest moją obsesją. Nigdy nie pisałem dla pieniędzy, choć wiele opowiadań publikowałem w magazynach, nim ukazały się w książce. Nigdy też nie odesłałem nie zrealizowanego zeku – może i mam obsesję, ale nie jestem wariatem! Ale, powtarzam, nie piszę dla pieniędzy – piszę, bo przyszło mi do głowy, żeby coś napisać. Moja obsesję łatwo sprzedać. W wygłoszonych celach szpitali całego świata mnóstwo jest szaleńców, którzy nie mają tego szczęścia.

Nie jestem wielkim artystą słowa, ale zawsze coś pchało mnie do pisania. Co dzień przesiewam więc zwiń, w którym znajdują się okruciny obserwacji, pamięci i myśli, co dzień próbuję skieć coś z tych okrucin, które nie przeszły przez sito i nie spłynęły w ściek podświadomości.

Louis L. Amour, autor westernów i ja, może słaniemy kiedys przy małym zbiorniku wody w Colorado. W tej samej chwili wpadnemy może na podobny pomysł. Może obaj postanowimy zmienić go w słowa. On napisze o prawie do wody

obowiązującym w czasie suszy, ja zaś zapewne napiszę o strasznych potworach, wstających spod martwych wód, by porwać owce, konie a w końcu także i ludzi. Obsesją Louisa L. Amour jest historia Dzikiego Zachodu, moją – stworzenie a przemykające się po świecie w blasku gwiazd. On pisze westerny, ja – horrory. Obaj mamy lekiego świra.

Szluka jest obsesją, a obsesje są niebezpieczne. Przypominają intelektualny noz. W niektórych przypadkach – przychodzi mi na myśl Dylan Thomas, Ross Lockridge, Harl Craine, Sylvia Plath – noz ten obraca się gwałtownie przeciw osobie, która trzyma go za rękę. Szluka jest jak miejscowa choroba o objawach dobroczynnych (ludzie tworzą na ogół długo żyją) lub okropnych. Trzeba używać tego noza z wyczuciem, ponieważ, jak wiesz, obojętnie mu, kogo tnie. A, es, i jesteś mądry, przesiewasz zwiń uważnie. To, co pozostaje na sicie, nie musi być jeszcze martwe.

Gdy rozprawie się już z pytaniem o to, dlaczego piszę, jakie rzeczy pada zwykle pytanie o to, dlaczego ludzie je czytają. Dlaczego to się sprzedaje? W tym pytaniu ukryte jest przypuszczenie, że zainteresowanie strachem dowodzi niezdrowych gustów. Ludzie, którzy piszą do mnie, usly zaczynają je zazwyczaj tak: „Może poproszę Pan, że coś ze mnie nie w porządku, ale z przyjemnością przeczytałam „Salem’s Lot”. Być może to chorobliwe, ale podobają mi się każda strona”. „The Shining”.

Być może kluczem do zrozumienia takich stwierdzeń jest zdanie z omówienia pewnego filmu w „Newsweeku”. To był horror, raczej, taki sobie, a zdanie brzmiało jakos tak: „Cudowny film dla ludzi, którzy zwalniają, żeby popatrzeć na olbrzymi wypadek samochodowy”. Fajnie napisane, ale jeśli przyrzec się temu bliżej, stwierdzimy, że odnosi się chyba do wszystkich horrorów filmowych i literackich (...).

Nawet wielka literatura fantastyczna ma coś z motywu „Popatrz! Wypadek!”. Boewulf morduje matkę, Grendel, Hobbit Sam walczy z pajęczycą, Szekolba w ostatniej księdze trylogii Tolkiena (...).

Faktem jest – po cichu wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę – że tylko niewiele z nas potrafi powstrzymać się od spożycia na rozbitym samochodzie odczyniony przez policję radiowozu. Starsi obywateli biorą do ręki poranną gazetę i zaczynają czytać ją od ostatniej strony, chcąc sprawdzić, kogo przeżył. Wszyscy ch nas szokuje wiadomość, że zmarł ktoś sławny: Dan Blocker, Freddy Prinze, Janis Joplin. Czujemy strach i dziwny rodzaj radości, gdy w porannych wiadomościach usłyszymy, że młoda kobieta weszła podczas deszczu pod obracające się śmigło samolotu na małym lotnisku lub że robotnik obsługujący wielką przemysłową wórkę znikł z tego świata, kedy ktoś przypadkowo oparł się o wyłaznik. Nie ma sensu walczyć z oczywistymi faktami: życie pełne jest nieszczęśliwych i małych, a ponieważ potrafimy pojąć jedynie te małe, one właśnie budzą pamięć o morze nocy.

Nie da się zaprzeczyć, że te kieszonkowe nieszczęścia bardzo nas interesują, nie da się również zaprzeczyć, że budzą także uczucie grozy. Te dwa uczucia mieszają się w nierównych proporcjach, a w tej mieszance przeważa wstyd, który wydaje się podobny do wstydu towarzyszącego seksualnemu przebudzeniu.

Nie mam zamiaru tłumaczyć ci, bvs nie czuł się winny tak samo, jak nie mam zamiaru usprawiedliwiać i tłumaczyć moich powieści i opowiadań. Można jednak zauważyć interesujące podobieństwo między popędem płciowym a strachem. Gdy jesteśmy już zdolni do nawiazania stosunków seksualnych, zaczynamy się nimi interesować i to zainteresowanie jest nie przyberze z jakichś powodów form nienaturalnych kończy



się stosunkiem płciowym i przedłużeniem gatunku. W chwili, w której stajemy się świadomi końca życia, poznajemy strach. Myślę, że strach prowadzi do pojęcia nieuniknioności śmierci, tak jak seks prowadzi do przedłużenia trwania gatunku. Istnieje bardzo stara opowieść o siedmiu ślepcach próbujących opisać słonia. Jeden z nich sądził, że złapał węża, inny mówił o wielkim, palmowym liście, jeszcze inny przekonywał, że dotyka kamiennej kolumny. Dopiero kiedy porozumeli się między sobą, stwierdzili, że to był słon.

Strach jest uczuciem, które czyni z nas ślepców. Jak wielu rzeczy się boimy? Boimy się zapalić światło, kiedy mamy mokre ręce. Boimy się wsunąć nóż do toalety i nie wyciągnąć nim przypalonej grzanki, póki nie wyciągnemy wtyczki z sieci. Boimy się tego, co powie nam lekarz zaraz po skończonych badaniach. Boimy się w samo locie, który zniwiera wpada w powietrzną dziurę. Boimy się wyczerpywania zapasów ropy z pasów dobrego powietrza, dobrej wody i dobrej żywności. Córka obiecała wrócić o jedenastej, jest już piętnaście po dwunastej, udać się więc, że oglądasz nocny film w telewizji i tylko popatrujesz od czasu do czasu na milczący telefon, a to co czujesz, oślepia cię i już nie potrafisz myśleć.

Dziecko nie czuje strachu do chwili, w której po raz pierwszy zaczyna płakać, a mama nie pojawia się, żeby podać mu piers. Maluch szybko uczy się kilku twardych i bolesnych prawd: drzwi często się zatrzaśkują, piecyk parzy, wraz z chorobami pojawia się gorączka. Dziecko szybko uczy się strachu, czasami poznaje go z twarzy matki lub ojca, którzy wchodzą do łazienki i widzą, jak bawi się buteleczką z lekarstwami lub ostrzem maszynki do golenia.

Strach nas oślepia, więc dotykamy swego strachu z gwałtowną ciekawością wynikającą z egoistycznego instynktu poznawania, próbujemy złożyć w całość słonia, złożyć go w całość z setek oddzielnych części, tak jak składali go ślepcy ze starej opowieści.

Czujemy kształt. Dzieci poznają ten kształt fałszywie, później zapominają o nim i muszą uczyć się go od nowa, już jako dorośli. Poznajemy kształt poznajemy go wcześniej lub później, jest to kształt ciała przykrytego białym prześcieradłem. Nasze małe strachy sumują się w wielki strach, małe strachy są częścią jednego, wielkiego strachu – jego ręką, palcem, uchem. Boimy się spożywającego pod białym prześcieradłem ciała, ponieważ jest to nasze ciało. Horror przyciąga ludzi przez wieki, tym, że pełni rolę próby generalnej przed naszą własną śmiercią.

Nigdy nie ceniono wysoko tej literatury. Przez długi czas jedynymi przyjaciółmi Poe'go i Lovecrafta byli Francuzi, którzy potrafili jakos tam dogadać się z seksem i ze śmiercią. Braciom Amerykanom zawsze brakowało do tego cierpliwości. Amerykanie byli tak bardzo zajęci budowaniem linii kolejowych, że zarówno Poe jak i Lovecraft umarli w zapomnieniu. Fantazja Tolkienowskiego Śródziemia istniała przez 20 lat, nim odniosła poważniejszy sukces, a Kurt Vonnegut, którego książki tak często dotyczą problemu śmierci jako teatralnej próby, ciągle jest krytykowany, najczęściej przy pomocy historycznego pisku.

Pewnie bywa tak dlatego, że twórcy horrorów przynoszą zawsze złe wieści. Umiesz, mówią. Tłumaczą, byś nie przejmował się optymistycznym „coś dobrego dziś ci się przydarzy”, bo wiem, zdarzy ci się dziś także coś złego, może rak, może zawał, może wypadek samochodowy – coś złego czeka cię za najbliższym rogiem. Biorą twoją dłoń w swoją, prowadzą cię do ciemnego pokoju, każą położyć ręce na przykrytym prześcieradłem kształcie i dotknąć go i jeszcze raz jeszcze raz.

Oczywiście – nie tylko my zajmujemy się śmiercią. Bardzo wielu pisarzy tak zwanego „nurtu głównego” też się nią zajmowało. „Zbrodnia i kara” Fiodora Dostojewskiego, „Kto się boi Wiryginii Woolf?” Edwarda Albee, nawet powieści z Lwem Archerem Rossa McDonalda. Strach to

cos ważne i śmierć jest ważna. Co do tego wszyscy są zgodni. Lecz tylko ktoś, kto pisze horrory i literaturę niesamowitą, daje czytelnikowi okazję do pełnej identyfikacji – i katharsis. Każdy z operujących na tym polu twórców – jeśli ma i tyko odrobinę samoświadomości – wie, że to pole jest rodzajem błony dyfuzyjnej, rozpostartej między świadomością i podświadomością. Horror jest jak siatka przesiadkowa metra ludzkiej psychiki, linia zielona to to, co możemy bezpiecznie przyjąć, linia czerwona to to, co musimy z siebie wyrzucić w taki czy inny sposób.

Czytasz horrory i tak naprawdę wcale nie wierzysz w to, co czytasz. Tak naprawdę nie wierzysz w wampiry, wilkokiłki w ciężarówce, w których silniki włączają się same z siebie, wyjeżdżające na szosę bez kierowcy. Wierzysz tylko w strach, który opisują. Dostojewski, Albee, McDonald w nienawistnym wyrobieniu bezadzielną samotną starość i wrogi świat, w który wkracza się niepewnym krokiem młodości. W naszym codziennym świecie przypominamy często maski, Komedii i Tragedii, na zewnątrz uśmiechając się wewnątrz skrzywione grymasem gorczy. Gdzieś wewnątrz jest jakiś przetłacznik lub transformator, w którym stykają się przewody prowadzące do obu masiek. W ten punkt powinien trafić horror. ( )

W latach pięćdziesiątych pojawiło się narażenie filmów o potworach. One? The Beginning of the End?, „The Deadly Mantis” i tak dalej. W miarę jak robiło się ich coraz więcej, odkrywaliśmy z całą pewnością, że te wielkie, wstrętne mutanty pojawiały się jako skutek prób z bronią jądrową w Nowym Meksyku lub na jakimś atolu na Pacyfiku. W bardziej współczesnym „Horror of the Party Beach” przyczyną ich pojawienia była awaria reaktora atomowego. Te filmy, zebrane razem, formowały niewątpliwie wzór, świadczyły o ogarniającym cały naród strachu przed nową epoką, którą zapoczątkował Projekt Manhattan. Trochę później pojawiła się seria horrorów „z naśladowcami” począwszy od „Teen-Agers from Outer Space” po „Blob”, w którym Steve McQueen, jeszcze bez zarostu, walczył z galaretowałymi mutantami przy pomocy swych nastoletnich przyjaciół. W czasach, w których każdy tygodnik zawierał przynajmniej jeden artykuł o zbierającej fali przestępczości wśród nieletnich, takie filmy ujawniały budzący się w całym kraju strach przed kułującą młodzieżową rewolucją i kiedy wdziałeś, jak Michael Landon zmienia się w wilkokiłkę mając na sobie marynarkę od szkolnego mundurka, pojawiało się połączenie między ekranową fantazją a tobą, z tym, że w szybkim samochodzie, który próbuje umówić się z twoją córką. Dla samych nastolatków (byłem wtedy jednym z nich) i mówię z własnego doświadczenia, potwory wylęgające się w studiach dźwiękowych przez American-International były szansą użycia czegoś okropniejszego niż oni sami, coś znaczącego, przyszczy w porównaniu ze straszliwym, tym dzieckiem ze szkoły w „I was a Teen-Age Frankensteen”?. Ten sam cykl wyrażał także powszechny u nastolatków żal, że rodzice kontrolują ich i popychają, że oni po prostu „nie rozumieją”. Filmy są wzorotwórcze (tak jak horror, literacki i kinowy), a przyjęły przez nie wzorcowy wyraz jasno ogarniający całe pokolenie paranoje bez wątpienia przynajmniej częściowo spowodowaną artykułami, które czytały rodzice. W tych filmach, jak i straszny, pokrzyty brodawkami stwór zagroził Elmsville. Dzieciaki o tym wiedziały, bo wdziały latający spodek lądujący przy ulicy, na której spotykają się zakochani. W pierwszej scenie potwór zabijał starego człowieka w ciężarówce (grał go wspaniały Elisha Cook, Jr.). W następnych trzech scenach próbowały więc przekonać rodziców, że gdzieś w okolicy czai się potwór. „Zjeżdżajcie, nim was zamkną za uchylanie się od poboru” – ostrzegał ich szef policyjny Elmsville. Chwilę przed tym, nim potwór rzeczywiście pojawiał się na Ulicy Głównej, szerząc zniszczenie. W końcu

to właśnie jakiś cwany dzieciak wykańczał tego potwora, siedzi do jednego w mieście lokalu, zamawiał koktajl czekoladowy, wrzucał monety do grającej szafy i kawał się w rytm jakiejś zapomnianej już dziś melodii, a na ekranie leciały ostatnie napisy.

Trzy zupełnie różne okazje do katharsis w jednym cyklu filmów – całkiem niezłe jak na grupę tanich dzieł, produkowanych na ogół w jakichś 10 dni. Nie stało się tak dlatego, że chcieli tego producenci i reżyserzy – zdecydował o tym sam horror, czujący się na, e, e, tam, gdzie świadomość styka się z podświadomością, a jest to miejsce, w którym obraz i alegoria pojawiają się w najbardziej naturalny sposób z najbardziej niszczącym skutkiem. Można wyznaczyć prostą linię ewolucji pomiędzy „I was a Teen-Age Werewolf” i „Mechaniczna pomarańcza” Kubricka oraz między „Teen-Age Monster” i „Carrie” Briana de Palmę.

Dobry horror jest prawie zawsze alegoryczny. Czasami ta alegoria jest zamierzona, jak w „Folkwaru zwierzęcym” lub „1984”, czasami po prostu jest – J.R.R. Tolkien przyszedł na wszystko ze Ciemnym Władcą Mordorem, nie jest Hitlerem w fantastycznym przebraniu, a prace magisterskie i doktorskie powtarzają to raz za razem. Może dzieje się tak na zasadzie powiedzenia Boba Dylana, że jeśli masz w ręku noz i widelec, musisz w końcu coś przekroić.

Dzieła Edwarda Albee, Stenbecka, Camusa, Faulknera dotyczą strachu i śmierci. Ocierają się czasami o horror, lecz na ogół twórcy „głównego nurtu” radzą sobie z tym w sposób bardziej żywiołowy, normalny. Ich książki ujęte są w ramy rzeczywistego świata – to opowieści o tym, co „mogło się” zdarzyć. Jadą tą linią metra, która prowadzi w zewnętrzny świat. Są też inni pisarze: James Joyce, znów Faulkner i poeci, lacy jak Eliot i Sylvia Plath, i Anne Sexton, których dzieła umieszczone są w krańcu symbolicznej nieświadomości. Ich pociąg jedzie w świat wnętrza. Twórcy horrorów, jeśli tylko jest coś wart, żyje tam, gdzie przecinają się te linie. Jeżeli coś mu się uda, mamy dziwne wrażenie, nie śpiemy i nie jesteśmy do końca obudzeni, czas wydłuża się i skracą słyszymy głosy, lecz nie rozumiemy słów, sen jest rzeczywistością, a rzeczywistość snem.

Oto kilka moich sądów o tym, czym jest horror, lecz jestem całkiem pewien, że musi być w nim coś jeszcze, coś najważniejszego. Musi opowiadać historię, która rzuca czar na czytelnika lub słuchacza zagubionego w świecie, którego nigdy nie było i nie mogło być. Przez całą moją pisarską karierę przekonany byłem o tym, że w pisarstwie walory fabuły są ważniejsze od każdej innej warstwowości umiejętności, charakterystyka postaci, styl, nastroj nie mają żadnej wartości, jeśli fabuła usypia. A jeśli jest dobra, usprawiedliwia każdy grzech. Ulubione przeze mnie zdanie na ten temat wypowiedział Edgar Rice Burroughs. Nikt nie twierdzi, że był on Naprawdę Wielkim Pisarzem, ale walory szybkiej akcji rozumiał jak mało kto. Na pierwszej stronie „The Land That Time Forgot” narrator znajduje w butelce rękopis, reszta powieści to właśnie treść tego rękopisu. Narrator mówi: „Przeczytaj tylko stronę, a zapomnisz o mnie”. Tej obelgi Burroughs potrafił dotrzymać. Nie udało się to pisarzom większym niż on.

( ) I tu cię opuszczam. Przedstawienie już się zaczyna. Wejdzmy do ciemnego pokoju i dokonamy przykrytego prześcieradłem kształtu ( ) Czekam tu, gdzie ciągle jest ciemno, gdzie ciągle pada deszcz. Mamy przed sobą noc. Chcę wam coś pokazać, pozwólcie mi na dotknięcie czegoś. Niedaleko stąd, na następnej stronie, jest pokój.

Proszę wejść.

Przełożył i opracował  
Krzysztof Sokołowski



Ja miałem oryginał i trzy fotokopie, które wylądowały w Jackson River razem z samochodem. Zapakowane w kartonowe pudło. No, tak. Gdybym je włożył do bagażnika, pewnie by ocalały – tył samochodu w ogóle nie zanurzył się w wodzie, a nawet gdyby, kartki przecież można suszyć. Ale ja chciałem je mieć blisko siebie, więc jechały na siedzeniu. Kiedy wpadłem do rzeki, okna były otwarte. Przypuszczam, że po prostu popłynęły. Do morza. Wole wierzyć, że to było właśnie tak, że nie zgnęły w leżącym na dnie wraku, że nie pożarły ich ryby, że nie zdarzyło im się coś...nieestetycznego. Wierzyć, że popłynęły do morza jest znacznie przyjemniej, choć to trochę mniej prawdopodobne, ale w kwestiach tego, w co chcę wierzyć, a w co nie, jestem jeszcze ciągle wystarczająco elastyczny. No, tak.

Redaktor wsiadł do swojego samochodziku i odjechał. Pisarz stał i patrzył za nim, póki czerwone światelka nie mrugnęły i nie rozplynęły się w mroku. Później odwrócił się i zobaczył żonę, stojącą w ciemności na szczycie schodów, uśmiechającą się do niego trochę nieśmiało. Rece spletała mocno na piersiach, choć noc była raczej ciepła.

– Zostaliśmy tylko my – powiedziała. – Wejdziemy?

– Oczywiście.

A kiedy wchodzili po schodach zatrzymała się nagle i zapytała:

– Paul, w twojej maszynie nie ma fornitów? Prawda?

Zas pisarz, który czasem – często – zastanawiał się nad tym, skąd właściwie biorą się słowa, odpowiedział bohatercko: „Nie”.

Weszli do domu trzymając się za ręce i zamknęli drzwi przed otaczającą ich nocą.

**KONIEC**

# STEPHEN KING

## BALLADA O CELNYM STRZALE

*(The Ballad of the Flexible Bullet)*

przełożył Krzysztof Sokołowski

Stephen King urodził się 21 września 1947 r. w Portland w stanie Maine. Swoje pierwsze „dzieła” pisał mając siedem lat – powstawały one głównie pod wpływem powieści fantastyczno-naukowych, które namłotnie czytał od dzieciństwa. W 1965 r. opublikował w fanzinie pierwsze opowiadanie „I was a Teenage Grave Robber” (Byłem nastoletnią hieną cmentarną), umiejętność znajdowania dobrych tytułów towarzyszyła mu od tej pory przez całą pisarską karierę. W 1967 r. zadebiutował jako profesjonalista opowiadaniem „The Glass Floor” (Szkłana podłoga) opublikowanym przez „Startling Mystery Stories”, w tym samym roku ukończył też pierwszą powieść „The Long Walk” (Długi spacer), której nie odważył się postać do wydawnictwa. Za to druga powieść „Sword in the Darkness” (1968, Miecz w ciemności) została odrzucona aż przez dwunastu wydawców, ciagle jeszcze nie wiedzących, że może to być żyła złota. Od czasu do czasu publikując opowiadania, pisze dwie powieści (również nie przyjęte do druku). W 1969 r. zeni się, pracuje przez pewien czas jako robotnik, uzyskuje posadę nauczyciela na uniwersytecie stanowym w Maine i wreszcie w 1973 r. publikuje swą pierwszą powieść „Carrie”.

Zyski z niezwykłego powodzenia „Carrie” umożliwiły mu rzucenie pracy i utrzymanie rodziny z pisania. Obok niezliczonych opowiadań, do 1976 r. (przełomowego w tak błyskawicznej karierze) King publikuje jeszcze jedną powieść – „Salem’s Lot” (1975).

W 1976 r. wchodził na ekrany film Briana de Palmy „Carrie”, będący ekranizacją jego pierwszej powieści i od tej pory gwiazda Kinga świeci coraz jasnzej. W tym samym roku „Salem’s Lot” otrzymuje „World Fantasy Award”. W 1977 r. ukazuje się „The Shining” (Lśnienie). W 1979 r. „Salem’s Lot” zostaje przerobiony na serial telewizyjny. W 1980 r. na ekranach kin pojawia się ekranizacja „Lśnienia” w reżyserii Stanleya Kubricka. W 1981 r. nowela „The Mist” (Mgła) otrzymuje „World Fantasy Award” i nominację do nagrody Nebula. Data ta jest ważna i z tego powodu, że w tym samym roku debiutuje zona Kinga, Tabitha, powieścią „Small World”, która cieszy się jednak uznaniem znacznie mniejszym niż dzieła jej męża. W 1982 r. kolejną „World Fantasy Award” otrzymuje opowiadanie „Do the Dead Sings” (Czy martwi śpiewają), książka „Danse Macabre” (rozważania nad horrorem literackim i filmowym) otrzymuje nagrodę Hugo, zaś powieść „Cujo” staje się laureatką „British Fantasy Award”, choć powszechnie uważa się ją za najgorszą w dorobku Kinga.

Rok 1983 – brak wprawdzie nagród, ale (w ciągu roku!) na ekrany wchodzi trzy filmy zrealizowane na podstawie utworów Kinga: „Cujo” (reż. Lewis Teague), „The Dead Zone” (reż. David Cronenberg) i „Christine” (reż. John Carpenter).

W 1984 r. na ekranach pojawiają się dwa kolejne filmy („Children of the Corn”, reż. Fritz Kiersch, i „Firestarter”, reż. Mark Lester), opublikowany zostaje „Talisman” (wspólnie z Peterem Straubem), którym natychmiast interesuje się Steven Spielberg.

Kolejne lata przynoszą kolejne książki, opowiadania i filmy. Kariera Kinga wydaje się nie znać granic. Debiutuje jako aktor i reżyser (1986, „Maximum Overdrive”). Jest wykładowca uniwersyteckim, a na jego wykładach sale są pełne.

Az strach pomyśleć...

K. Sok.

mikrofalowej. Wiem, że to brzmi jak zwierzenia wariatki, ale widziałam krew – prysnęła na szkło i zaczęła po nim ściekać.

– Trafitem! – powiedział bardzo szczęśliwy Jimmy. – Dosła...

Reg złapał go i przerzucił przez cały pokój. Plastikowy miotacz upadł na podłogę i przelamał się na pół. Tak, to był tylko plastik i baterie.

Reg spojrzał na maszynę i krzyknął. To nie był krzyk bólu lub gniewu, choć brzmiał w nim gniew – to był krzyk dojmującego żalu. Obrócił się tam, gdzie leżał chłopiec. Jimmy upadł na podłogę i kimkolwiek mogłoby być przedtem, jeśli w ogóle był kimkolwiek innym niż dość przewrotnym i bardzo nieposłusznym chłopcem – na podłodze leżał już tylko śmiertelnie przerażony sześciolatek. Reg podniósł rękę z rewolwerem i to już wszystko, co pamiętam.”

Redaktor wypił resztę wody mineralnej i ostrożnie odstawił puszkę.

– Gertruda Rulin i Jimmie Rulin opowiedzieli resztę. Jane krzyknęła: „REG! NIE!”, a kiedy się obejrzał, skoczyła i złapała go za rękę.

Strzelił i zgruchotał jej łokieć, ale go nie pociła. Szarpali się i Gertruda zdążyła zawołać syna, który pozbierał się już z podłogi.

Reg oddepchnął żonę i strzelił jeszcze raz. Porisk otarł się o jej skron, parę milimetrów w prawo i byłoby po wszystkim. Nie ma co do tego wątpliwości i nie ma wątpliwości, że gdyby nie interwencja Jane Thorpe, Reg z pewnością zabiłby Jima, a najprawdopodobniej także jego matkę.

W końcu i tak postrzelił chłopca, akurat zdążył, nim Jim w objęciach matki znikł za drzwiami. Lecąca z góry na dół kula trafiła go w pośladek, wyszła udem omijając kość. Utkwiła w łydce Gertrudy. Polalo się sporo krwi, ale nikt nie został poważnie poszkodowany.

Gertruda zatrzasnęła drzwi pracowni i uciekła na dwór niosąc krzyczącego i płaczącego syna.

Albo Jane już była nieprzytomna, albo rozmyślnie wolała zapomnieć o tym, co nastąpiło później. Reg usiadł przy maszynie i przyłożył lufę do czoła. Pociągnął za spust. Kula nie przeleciała obok czaszki, żeby utkwieć w ścianie i nie trafiła w mózg tak, by zrobić z niego żywą roślinę. Fantazja może być, no tak, elastyczna, ten ostatni pocisk był jednak tak twardy, jak powieści. Na maszynę upadła głowa martwego pisarza.

Kiedy na miejscu pojawiła się policja, zobaczyła taką scenę. Jane siedziała w kacie półprzytomna.

Maszyna pokryta była krwią i najprawdopodobniej również pełna krwi. Rany głowy nie należały do najczystszych.

Cała krew była grupy 0.

Grupy Rega.

Panie i Panowie – to wszystko. Nie ma nic więcej do powiedzenia – głos redaktora zamarł w ochrypłym szepcie.

Nie było zwykłych po przyjęciu rozmówek. Nie było trochę może niezręcznej, lecz zawsze błyskawicznej wymiany zdań, służącej zagadaniu popelnionej w czasie zabawy niedyskrecji lub przynajmniej zamaskowaniu tego, że rozmowa zeszła na zbyt poważne tory. Lecz pisarz, odprowadzający redaktora do samochodu, nie mógł powstrzymać się od zadania ostatniego, najważniejszego pytania.

Opowiadanie – powiedział. – Co się stało z opowiadaniem.

Mylisz o...?

„Ballada o celnym strzale”. Tak. To przecież od niego się zaczęło. To ono przecież oddało ten celny strzał, jeśli nie w niego, to przynajmniej w ciebie. Co stało się z tym cholernym opowiadaniem, które było aż tak dobre?

Redaktor otworzył drzwi malej, niebieskiej Chevette. Na zderzaku błysnęła nalepka. Przyjaciele nie pozwalają przyjaciółom prowadzić po pijaku.

Nikt go nigdy nie opublikował. Jeśli Reg miał kopie, zniszczył ją pewnie zaraz po tym, jak dowiedział się, że je opublikuje. Biorąc pod uwagę jego paranoiczne fantazje na ICH temat, wydaje mi się to całkiem prawdopodobne.



bywał tam już przedtem? Myśle, że tak. Jane mówiła, że trzy lub cztery dni wcześniej dała chłopcu pomarańcze, a nazajutrz podczas sprzątanía znalazła skorki pod kanapą w pracowni. Reg nie jadł pomarańczy, twierdził, że jest na nie uczulony.

Jane rzuciła powłóczkę, którą właśnie prała, z powrotem do zlewu i pobięła do pracowni. Słyszała głosne: „pah! pah! pah!” miotacza i krzyk chłopca: „Mam cię! Nie uciekniesz! Widzę cię!” I twierdziła, że słyszała... słyszała... krzyk. Wysoki, jęśliwy krzyk tak pełen bólu, że niemal nie do zniesienia.

„Kiedy to usłyszałam – powiedziała mi – wiedziałam już, że będę musiała odejść od Rega niezależnie od tego, co się stało, że opowieści starych bab są prawdziwe, że szalenstwem można się zarazić. Słyszałam Rackne – mówiła – ten wstrętny chłopak mordował Rackne, mordował go plastikowym miotaczem za dwa dolary.

Drzwi do pracowni były otwarte, a klucz tkwił w zamku. Dopiero później zauważyłam krzesło przysunięte do kominka i ślady butów Jimmy'ego na śledzeniu. Stał przy stoliku pod maszyną. To był stary, biurowy model z zakładanym na wałek szklanym ochraniaczem. Jimmy przycisnął lufę do szkła i strzelał – pah! pah! pah!, błyskało czerwone światło i nagle zrozumiałam wszystko, co Reg mówił mi o elektryczności, ta zabawka działała przecież na zwykłe baterie, a ja czułam fale bólu, wypływające z niej i przepalające mi mózg.

– Widzę cię! – krzyczał Jimmy z pięknym, a zarazem obrzydliwym wyrazem błogości na twarzy. – Nie uciekniesz przed Kapitanem Future!

I ten krzyk...wrzask...jęk...coraz słabszy...cichszy.

– Jimmy, dość! – krzyknęłam

Aż podskoczył. Zaskoczyłam go. Spojrzał na mnie, przygryzł wysunięty z napiecia język... i znów przycisnął lufę miotacza do szkła, znów zaczął strzelać pah!pah!pah! i to straszne, purpurowe światło...

Gertruda biegła przez korytarz wrzeszcząc, że ma natychmiast przestać i obiecując mu lanie, jakiego nie dostał w życiu...i wtedy frontowe drzwi otworzyły się nagle i w progu stanął wrzeszczący Reg. Wystarczyło na niego spojrzeć... od razu wiedziałam, że jest szalony. W ręku trzymał rewolwer.

– Nie zastrzelisz go! – pisnęła Gertruda i próbowała złapać Rega za rękę. Prawie nie zwrócił na nią uwagi, tylko uderzył ją kolbą i odepchnął.

Jimmy chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje... po prostu dalej strzelał w maszynę. Widziałam purpurowe światło migające w jej ciemnym wnętrzu, wyglądało jak taki elektryczny łuk, na który nie wolno patrzeć bez specjalnych okularów, bo można uszkodzić zrenice i oslepnąć na całe życie.

Reg przepchnął się do pokoju odpychając mnie siłą i krzyząc: RACKNE! RACKNE! ZABIJASZ RACKNE!

A kiedy Reg biegł przez pokój najwyraźniej mając zamiar zabić tego dzieciaka – mówiła mi Jane – miałam jeszcze czas, żeby się zastanowić, ile razy wlaźł wcześniej do tego pokoju, ile razy mógł już strzelać do maszyny pah!pah!pah!, kiedy ja z Gertrudą ślaliśmy łóżka, albo wieszaliśmy pranie za domem i nic nie słyszałyśmy...ani strzałów, ani krzyków tej...tego...fornita, który mieszkał w maszynie

Jimmy nie przestał nawet wtedy, kiedy wrzeszczący coś Reg prawie już sięgał go ręką, po prostu strzelał dalej tak, jakby wiedział, że ma ostatnią szansę i do tej pory nie może przestać myśleć o tym, że być może miał rację, być może ONI istnieją naprawdę, może po prostu unoszą się wokół nas, a od czasu do czasu nurkują w głębi czyjejs głowy jak skoczek robiący podwójne salto z wieży, zmuszając kogoś do zrobienia za nich brudnej roboty i uciekają, a ten ktoś mówi: „Co? Ja? Że co zrobiłem?”

Sekunde przedtem, nim Reg zdążył interweniować, wydobywający się z maszyny do pisania skrzek zmienił się w krótki, straszliwy wrzask i zobaczyłam krew rozbrzgującą się na szklanej osłonie jakby to coś ze środka po prostu eksplodowało. Jak, często o tym mówią, zwierze zamknięte w kuchence

Przyjście właściwie już się skończyło. Było to udane przyjęcie – każdy mógł wypić, ile chciał, krwiste steki doskonale upiekły się na gorących węglach, a przyrządzona przez Meg sałatka ze specjalnie dobranymi przyprawami smakowała wszystkim. Zaczeli o piątej, a teraz było już w poł do dziewiątej i szybko zapadał zmierzch. O tej porze wielkie przyjęcia dopiero się rozkręcają, ale to nie było wielkie przyjęcie. Bawiło się tylko pięć osób: agent z żoną, młody pisarz i jego żona oraz redaktor pewnego magazynu, który miał niewiele ponad szeszedziesiątkę, ale wyglądał starszej. Redaktor pił tylko wodę mineralną. Jeszcze nim przyjechał, agent wyjaśnił pisarzowi, że redaktor pił kiedyś zbyt wiele. Już nie ma tego problemu, podobnie jak żony redaktora. Dlatego spotkali się w piątkę, a nie w szóstkę.

Przyjście nie rozkręciło się więc tak naprawdę, a kiedy zaczęło się ściemniać, wszystkich siedzących w ogrodzie przy domu młodego pisarza, ogrodzie, który ciągnął się aż do brzegu jeziora, ogarnął nastrój wspomnień. Pierwsza powieść młodego pisarza zyskała uznanie krytyki i sprzedawała się doskonale. Był więc szczęściarzem i – to mu trzeba przyznać – wiedział o tym.

Wszyscy nieźle się bawili, więc z tego rozbawienia od omawiania sukcesu młodego pisarza przeszli do rozmowy na temat innych twórców, którzy młodo odnieśli sukces, a później popełnili samobójstwo. Wspomniano Rossa Lockridge'a i Toma Hagen'a. Żona agenta wymieniła Sylvie Plath i Anne Sexton, a pisarz odpowiedział jej, że trudno uznać Sylvie Plath za autorkę, która odniosła sukces. W każdym razie nie popełniła samobójstwa, dlatego bo się jej powiodło, raczej powiodło się jej dlatego, że popełniła samobójstwo. Agent uśmiechał się i milczał.

– Bardzo was proszę, zmienmy lepiej temat – z lekkim zaniepokojeniem poprosiła żona młodego pisarza.

Nie zwracając uwagi na jej prośbę, agent dodał:

– Również szaleństwo. Byli i tacy, którzy zwariowali z powodu sukcesu.

Powiedział to spokojnym, ale dźwięcznym głosem, jak aktor występujący na scenie.

Żona pisarza znów próbowała protestować. Zbyt dobrze wiedziała, jak bardzo jej mąż lubi takie rozmowy. Dawały mu okazję do żartów, a żartował, gdyż sam zbyt wiele na ten temat myślał. Spróbowała więc protestować, ale akurat odezwał się redaktor, to zaś, co powiedział, było tak niezwykle, że słowa zamarty jej na ustach.

– Szaleństwo jest jak elastyczny pocisk.

Żona agenta wyglądała na zaskoczoną. Zaciekawiony pisarz pochylił się w stronę redaktora.

– To brzmi znajomo – powiedział.

DNESDAY, OCTOBER 28, 1987

B17

**Investment Property**  
**BRONX, NY** Excellent investment  
 opportunity. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**CHICAGO**  
**EAST OF THE DRAKE HOTEL**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**CHICAGO**  
**NEWER OFF**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**GREENWOOD**  
**MAI FOR SALE**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**HOUSTON**  
**FORECLOSURE**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**MANHATTAN**  
**1st floor apartment**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**MASSACHUSETTS**  
**OFFICE**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**NEW JERSEY**  
**CASH**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**ROCKLAND, MA**  
**CASH IN**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**WATERBURY, CT**  
**REALESTATE**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**CARROLL, MD**  
**REALESTATE**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**SOUTH WEST**  
**REALESTATE**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**WATERBURY, CT**  
**REALESTATE**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**WATERBURY, CT**  
**REALESTATE**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**WATERBURY, CT**  
**REALESTATE**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**WATERBURY, CT**  
**REALESTATE**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**WATERBURY, CT**  
**REALESTATE**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**APARTMENT HOUSES**  
**7001**

**APARTMENT HOUSES**  
**701**

**APARTMENT HOUSES**  
**711**

**BUILDINGS & FACTORIES**  
**707**



**EDGEWOOD**  
**100% cash flow**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**EDGEWOOD**  
**100% cash flow**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**EDGEWOOD**  
**100% cash flow**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

**EDGEWOOD**  
**100% cash flow**  
 100% cash flow. 100% cash flow.  
 100% cash flow. 100% cash flow.

dzieje. ONI, znów ONI, mimo wszystko ONI. I, najwyraźniej, nawet jego żona była jednym z nich! Przecież to ona zostawała w domu, kiedy przychodziła tam Gertruda z Jimmym i przecież nie wspomniała ani słowem o chłopcu. Co mi wcześniej napisał? Czasami myślę też o mojej żonie.

Kiedy tego dnia wróciła do domu, zastała kartkę na stole w kuchni. Kochanie, poszedłem do księgarni, wróce na kolację. Dla niej brzmiało to zupełnie niewinnie, nie wiedziała przecież nic o telegramie. Gdyby o nim wiedziała, pewnie strasznie by się przeraziła. Zrozumiałaby, że Reg myśli, że gra w przeciwną drużynę.

Reg tymczasem w ogóle nie zbliżył się do księgarni. Poszedł do sklepu i kupił czterdziestkę piątkę oraz 2000 sztuk amunicji. Pewnie kupiłby karabin maszynowy, gdyby ktoś chciał mu coś takiego sprzedać. Bronił swojego fornita. Przed Gertrudą. Przed dzieckiem. Przed żoną. Przed NIMI.

Następny dzień zaczął się całkiem normalnie. Jane pamięta, że zastanawiała się, czemu Reg w taki piękny dzień ubrał się w ciepły sweter, ale to wszystko. Sweter był, oczywiście, konieczny ze względu na broń. Reg poszedł na spacer z psem i rewolwerem zatknętym za pasek.

Wyjątkowo szybko dotarł do kawiarni, nie przysłał, z nikim nie rozmawiał. Poszedł z psem na parking z tyłu, przywiązał go tam i bocznymi uliczkami wrócił do domu.

Wiedział, co o tej porze dzieje się z sąsiadami, wiedział, że nie będzie ich w domu. Wiedział też, gdzie chowają zapasowe klucze. Wszedł do nich i obserwował własny dom.

O osmej czterdziestki zobaczył wchodzącą Gertrudę Rulin. Gertruda Rulin nie była sama. Przyszedł z nią chłopiec.

Zachowanie Jimmiego w pierwszej klasie upewniło zarówno nauczycieli, jak i szkolnego psychologa o tym, że będzie lepiej dla wszystkich (może z wyjątkiem matki, która miałaby ochotę trochę odpocząć), jeśli chłopiec poczeka jeszcze rok. Jimmiego wrócił więc do zerówki, a w pierwszej połowie roku miał tam chodzić po południu. Dwa punkty opieki nad dziećmi w sąsiedztwie nie miały wolnych miejsc, a Gertruda nie mogła chodzić do Thorpe'ów po południu, ponieważ codziennie od drugiej do czwartej sprzątała na drugim końcu miasta.

Całą sprawę zakończyło ostatecznie to, że Jane zgodziła się, by Gertruda przyprowadzała ze sobą syna, dopóki jej sprawy jakos się nie ułożą lub poki Reg nie odkryje, co się dzieje, a w końcu musiał to odkryć.

Jane myślała, że może jednak Reg się tym nie przejmie, w końcu ostatnio był bardzo miły i całkiem rozsądny. Z drugiej strony mógł protestować i wtedy trzeba byłoby wszystko układać inaczej. Gertruda stwierdziła, że doskonale to rozumie. I - prosiła Jane - na miłość Boską - niech chłopiec nie dotyka żadnej z rzeczy Rega. Gertruda zapewniła, że nawet się do nich nie zbliży, a drzwi do pracowni pana są i pozostaną zamknięte.

Thorpe musiał przekradać się przez dwa podwórka jak zwiadowca przez ziemie niczyje. Zobaczył, że Jane i Gertruda piorą w kuchni białe pościelowe. Chłopca z nimi nie było. Więc przekradał się dalej pod ścianami. Sypialnia - pusta. Jadalnia - pusta. Pracownia - tak, Reg, chory, tam właśnie spodziewał się znaleźć Jimmiego i tam go odnalazł. Twarz chłopca płonęła wręcz z ciekawości i Reg z pewnością uwierzył, że trafił w koncu na ICH zdeklarowanego agenta.

Chłopiec trzymał w ręku coś w rodzaju miotacza promieni śmierci, celował nim w biurko, a z maszyn - i Reg to słyszał - krzyczał Rackne.

Możecie sobie pomyśleć, że opisuje subiektywne uczucia człowieka, który już nie żyje lub - żeby określić to bardziej beczceremonialnie - po prostu zmyślam. Nie Jane i Gertruda słyszały aż w kuchni warkot plastikowego „kosmicznego miotacza”, z którego Jim strzelał od czasu, kiedy w ogóle zaczął przychodzić do tego domu. Jane żyła z dnia na dzień wyłącznie nadzieją, że baterie w koncu się wyczerpią. Nikt nie mógł pomylić źródła, z którego dochodził terkot - to musiała być pracownia Rega.

Ten chłopak był chyba rzeczywiście materiałem na niezłego rzezimieszka. W całym domu zabroniono mu nu wchodzenia do jednego pokoju, więc oczywiście musiał tam wleźć, albo umrzeć z ciekawości. Szybko odkrył, że Jane trzyma klucz do pracowni na półeczce nad kominkiem w dużym pokoju. Czy

- Dziękuję, Meg.

Wypił, zakaszał i machnięciem ręki odmówił kolejnego papierosa

- Dosc na dziś. I tak mam zamiar rzucić palenie. W następnym wcieleniu. No, tak. Reszty właściwie nie trzeba opowiadać. Obarczona jest najgorszym grzechem, jaki można popełnić w opowieści - łatwo przewidzieć koniec. Z samochodu wylowili coś z czterdziestu butelek whisky, większość pustych. Opowiadałem o elfach, elektryczności, fornitach, plutonie i fornusie, wydałem im się kompletnie szalony i rzeczywiście - byłem kompletnie szalony.

A co zdarzyło się w Omaha, kiedy sądząc z kwitków ze stacji benzynowych, które znaleźli w skrytce, przejechałem przez piec północno-wschodnich stanów? O tym dowiedziałem się od Jane Thorpe, przede wszystkim z listów pisanych w ciągu długiego i bardzo bolesnego okresu, który skończył się spotkaniem twarzą w twarz w New Heaven, w którym zresztą mieszka do dziś, zaraz po tym, kiedy odwołałem, co miałem odwołać i wypuścili mnie z wariatkowa. Na zakończenie tego spotkania wypłakaliśmy się sobie w ramionach i wtedy dopiero uwierzyłem, że mogę znów żyć i - nawet - może znów być szczęśliwy?

Tego dnia, około trzeciej po południu, ktoś zapukał do drzwi domu Thorpe'ów. To był posłaniec z telegramem. Telegramem ode mnie. To on zakończył naszą poronioną korespondencję. **REG PEWNA INFORMACJA RACKNE UMIERA TO MAŁY CHŁOPIEC TAK TWIERDZI BELLIS MOWI IMIĘ JIMMY FORNIT I FORNUS HENRY.**

Na wypadek, gdyby znów przyszło wam do głowy wspaniałe pytanie Howarda Bakera: „Co wiedział i skąd”, mogę od razu wyjaśnić, że wiedziałem, że Jane wynajęła sprzątaczkę, ale nie wiedziałem - chyba że od Bellis - że sprzątaczką ma synka z piekła rodem imieniem Jimmy. Myśle, że będziecie musieli uwierzyć mi na słowo, chociaż muszę powiedzieć, że ci szaralanci, którzy pracowali nade mną przez dwa i pół roku nigdy mi jednak nie uwierzyli.

Kiedy ten telegram przyszedł, Jane akurat robiła sprawunki. Znalazła go dopiero po śmierci Rega, w rękawie kieszeni jego spodni. Na blankiecie zanotowano zarówno czas odbioru, jak doreczenia oraz notatkę: *doreczyć osobiście, nie przez telefon*. Jane mówiła, że chociaż ten telegram nadany był dzień wcześniej, przeszedł przez tyle rąk, że wyglądał, jakby miał rok.

W pewien sposób to właśnie ten telegram był celnym strzałem, który trafił Rega wprost w mózg, choć strzelałem aż z Paterson w New Jersey, tak pijany, że nawet nic nie pamiętałem.

Przez dwa tygodnie życia Reg postępował według schematu, który sam w sobie wydawał się całkiem normalny. Wstawał o szóstej, robił śniadanie dla siebie oraz żony i pisał przez jakąś godzinę. Około osmej zamykał pracownię i brał psa na długi spacer. Na spacerze spotykał różnych ludzi i był dla nich bardzo miły, rozmawiał z każdym, kto miał ochotę z nim pogadać. Przed południem pił kawę zawsze w tej samej kawiarni, a potem wracał do domu. Najczęściej przychodził już po dwunastej, czasami nawet bliżej pierwszej. Pewnie robił tak cześciowo po to, żeby uciec przed Gertrudą Rulin, tak przynajmniej twierdziła Jane. W każdym razie te spacery zaczęły się w pare dni po tym, gdy pierwszy raz pojawiła się u nich w domu.

Jadł lekki lunch, kładł się na godzinke, a później przez dwie lub trzy godziny pracował dalej. Wieczorem często odwiedzał studentów, sam albo z Jane, czasami szli do kina, a czasami Reg siedział po prostu w dużym pokoju i czytał. Chodzili spać wcześniej, on najczęściej przed nią. Z tego, co mi pisała, w tych ostatnich dniach mało było seksu, a jeżeli już probowali, zwykle kończyło się niczym. *Ale seks nie jest dla kobiet tak ważny, jak przypuszcza większość mężczyzn* - pisała mi. - *Reg znów pracował na pełnych obrotach i to było dla niego najważniejsze. Powiedziałabym, że - biorąc pod uwagę okoliczności - te dwa tygodnie były od pięciu lat najszczęśliwszymi.* Cholera, kiedy to czytałem, chciało mi się płakać.

Nie wiedziałem nic o Jimmym, ale Reg wiedział. Wiedział wszystko z wyjątkiem jednego, najważniejszego faktu, z wyjątkiem tego, że Jimmy zaczął przychodzić do nich z matką.

Musiał strasznie się zdenerwować, kiedy dostał już mój telegram i zrozumiał, co się wokół niego

- Jasne - odparł redaktor. - Samo określenie, obraz, wymyśliła Marianne Moore. Użyła go chyba po to, żeby opisać jakiś samochód czy coś. Zawsze myślałem, że to także dobrze opisuje stan szalenstwa. Szalenstwo jest rodzajem umysłowego samobójstwa. Czy lekarze nie zaczęli teraz twierdzić, że prawdziwa śmierć, to śmierć mózgu? Szalenstwo jest jak elastyczny pocisk, który ugodził w mózg.

Żona pisarza skoczyła na równe nogi.

- Czy ktoś ma ochotę się napić? - zapytała.

Nikt nie miał ochoty.

- Więc napije się sama, jeśli mamy dalej rozmawiać na ten temat - stwierdziła i poszła przygotować sobie drinka.

Redaktor mówił dalej:

- Dostałem raz opowiadanie. To było wtedy, kiedy jeszcze pracowałem w „Logan's”... teraz już go nie ma, poszedł w ślady „Collier's” i „Saturday Evening Post”, ale wtedy byliśmy lepsi - w jego głosie słychać było cien dumy. - Drukowaliśmy trzydziści sześć opowiadań rocznie, czasem więcej, i każdego roku cztery czy pięć z nich znajdowało miejsce w jakiejś antologii „najlepszych opowiadań roku”. I ludzie je czytali. Nieważne. To opowiadanie nazywało się „Ballada o celnym strzale”, a napisał je Reg Thorpe. Był wtedy równie młody jak ten tu młody człowiek i prawie tak samo ceniony.

- To on napisał „Postacie z podziemia”, prawda? - zapytała żona agenta.

- Tak. Niesamowite powodzenie jak na pierwszą powieść. Wspaniałe recenzje, sprzedaż jak marzenie, wszystko! Nawet film był dobry, nie tak dobry jak książka, ale dobry.

- Uwielbiałam tę książkę - powiedziała żona pisarza, włączając się w rozmowę wbrew swemu najgłębszemu przekonaniu.

- Czy on coś jeszcze napisał? „Postacie z podziemia” czytałam w szkole, to było... no, zbyt dawno, żeby o tym myśleć.

- Nic się nie zmieniła, kochanie - powiedziała serdecznie żona agenta, choć myślała o tym, że żona pisarza nosi zbyt mały biustonosz i zbyt obcisłe szorty.

- Nie - odpowiedział redaktor. - Nic więcej, oprócz tego opowiadania, o którym wspominałem. Popęłił samobójstwo. Oszał i popełnił samobójstwo.

- Och! - krzyknęła słabo żona pisarza. Temat wrócił.

- Czy ktoś opublikował to opowiadanie? - zapytał pisarz.

- Nie, ale nie dlatego, że pisarz oszał i popełnił samobójstwo. Nikt go nie opublikował, ponieważ czytający je redaktor oszał i niemal popełnił samobójstwo.

Agent wstał nagle i wzmocnił sobie drinka, chociaż jego drink z pewnością tego nie potrzebował. Wiedział, że redaktor przeżył załamanie nerwowe w 1969 roku, a niedługo później skończyła się epoka „Logan's”.

- To ja nim byłem - poinformował redaktor resztę towarzystwa. - W pewnym sensie wariowaliśmy razem, Reg Thorpe i ja, chociaż ja mieszkalem w Nowym Jorku, a on w Omaha i nigdy się nawet nie spotkalismy. Jego książka była na rynku już jakieś pół roku, kiedy przeniósł się do Omaha. Żeby „pozbierać myśli” - tak wtedy mówił. Akurat tak się złożyło, że znam te części historii, bo czasami spotykałem jego żonę, kiedy przyjeżdżała do Nowego Jorku. Małuje teraz i to całkiem niezle. Miała szczęście dziewczyna. Niemal zabrał ją ze sobą.

Agent wrócił ze szklaneczką w ręku.

- Zaczynam sobie przypominać - powiedział. - Tam była nie tylko żona, prawda? Postrzelili kilka osób, także dziecko.

- Tak. To właśnie dzieciak go załatwił.

- Dzieciak? - zdumiała się żona agenta. - Jak to, dzieciak?

Twarz redaktora pozostała nieruchoma. Najwyraźniej chciał mówić, nie zaś odpowiadać na pytania.

- I te części historii też znam. Sam ją przeżyłem. Też miałem szczęście. Cholerne szczęście. Różne dziwne rzeczy dzieją się z tymi, którzy próbują popełnić samobójstwo przykładając sobie łufę do czoła i pociągając za spust. Myślicie może, że ta metoda jest pewniejsza niż pigułki czy podcięcie żył, ale mylicie się. Kiedy strzelacie sobie w łeb, nie wiecie, co się może zdarzyć. Pocisk może się na przykład odbić od





chciałem się stojąc nad przepaścią. Gdybym zobaczył całego elfa, to bym chyba oszalał... no, tak. O ucieczce w ogóle nie było mowy. Zapomniałem nawet, że mam nogi. Pewnie i stanąć bym nie mógł.

„Klak, klak, klak” – trzaski, słaby, zdyszany oddech, po każdym słowie biała, ubrudzona tuszem i zakurzona piastka z całej siły waląca w klawisz między literami B i N, żeby zrobić odstęp. Nie wiem, jak długo to trwało. Może siedem minut. Może dziesięć. A może wieczność.

W końcu trzaski ustały i zdałem sobie sprawę z tego, że już nie słyszę ciężkiego oddechu. Może zemdliał... może dał sobie spokój... może umarł? Naatak serca czy coś takiego. Na pewno wiedziałem tylko, że nie dokonał wiadomości. To, co zdążył napisać, brzmiało tak:

*rackne umiera chłopiec jimmy thorpe nie wie  
powiedz thorpe rackne umiera chłopiec jimmy zabija  
rackne bel*

To było wszystko.

Poczułem, że mam nogi, więc wstałem i wyszedłem z pokoju. Szedłem na palcach, wielkimi krokami, jakbym myślał, że Bellis poszedł spać i jeśli go obudzę, znów zacznie pisać... myślałem, że jeśli znów usłyszę ten trzask, zacznę wyć. I będę tak wył, aż peknie mi serce lub głowa.

Moż Chey stał na parkingu przed domem, zatankowany, opakowany i gotów do drogi. Usiadłem za kierownicą i przypomniałem sobie o butelce w kieszeni. Rece trzęsły mi się do tego stopnia, że upuściłem ją, ale spadła na siedzenie i nie stukła się.

Wiem, że film mi się urywał i przyjaciele, przerwa w życiorysie to było akurat to o czym marzyłem i co dostałem. Pamiętam pierwszy tyk wprost z szyjki, pamiętam drugi, pamiętam obrót kluczyka w stacyjce, szum silnika i Franka Sinatry śpiewającego przez radio „Ta stara, czarna magia”, co jakby pasowało do sytuacji. Do tej specyficznej sytuacji. No, tak. Pamiętam, jak z nim śpiewałem i jeszcze trochę popijałem. Stałem na skrzyżowaniu i widziałem, jak migają światła na autostradzie. Myślałem o klekotaniu stojącej w pustym pokoju maszyny i o niesamowitym świetle zachodzącego słońca, które ten pusty pokój wypełniało. Myślałem o szybkim oddechu, jakby jakiś elf-kulturysta ćwiczył sobie na ramionach czcionek. Widziałem oderwany od ściany i pokryty grudkami zaschniętego kleju kawałek tapety. Próbowałem sobie wyobrazić, co działa się, nim wszedłem do pokoju... chciałem zobaczyć to... jego... Bellisa... wychodzącego z maszyny, chwytającego za oderwany kawałek tapety wiszący przy drzwiach łazienki, gdyż to była jedyna rzecz w pokoju przypominająca papier, czepiającego się, odrywającego nozki od podłogi i oddzierającego wreszcie ten kawałek, i niosącego go na głowie jak wielki palmowy liść. Próbowałem wyobrazić sobie, jak on... to... zdołało w ogóle wkrecić papier w maszynę. Próbowałem wyobrazić sobie jeszcze wiele rzeczy – nie umiałem przestać myśleć, więc piliem, a Frank Sinatra zamilkł i słuchałem reklam, a później Sarah Vaughan zaczęła śpiewać „Powinnaś napisać list” i to także z czymś mi się skojarzyło – to właśnie zrobiłem, albo przynajmniej myślałem, że zrobiłem, aż do dzisiaj, kiedy coś spowodowało, że zacząłem jeszcze raz to sobie przemyśliwać. Więc siedziałem i spuściłem w chórze ze starą, dobrą Sarah i zaraz potem musiałem osiągnąć prędkość ucieczki, ponieważ w środku drugiej zwrotki, bez żadnej przerwy w czasie, wyrzykiwałem już z siebie jaja, a ktoś walił mnie po plecach. To był właśnie ten kierowca. Kiedy walił mnie w plecy czułem, jak coś mi wzbiera w gardle, gotowe cofnąć się w każdej chwili. Tylko się nie cofało, bo mi wyginał ręce, i jak tylko wygiął mi ręce, rzygałem od nowa i wcale nie była to tylko whisky, ale głównie woda. Kiedy już zebrałem się w sobie na tyle, żeby podnieść głowę i zobaczyć, co się wokół dzieje, była szosta po południu trzy dni później. Leżałem na brzegu Jackson River w zachodniej Pensylwanii mniej więcej szeszedziesiąt mil na północ od Pittsburgha. Z rzeki sterczał kufer Chevroleta, a na zderzaku widac było nalepkę...

– Może się jeszcze czegoś napić, kochanie?

Żona pisarza podala mu szklanke pochylając się i impulsywnie całując go w pomarszczony jak u krokodyla policzek. Redaktor uśmiechnął się do niej i oczy rozbiły mu w mroku. Ale ona była dobrą, wiele rozumiejącą kobietą i ten błysk wcale jej nie oszukał. Meskie oczy nie tak błyszczą z zadowolenia.

dała tekst swemu szefowi, a jej szef dał go mnie. Przeczytałem i zakochałem się na śmierć. Było trochę za długie, ale już widziałem, gdzie można je bez większych problemów przyszyć o jakieś pięćset słów i to wystarczało.

– A o czym było? – zainteresował się pisarz.

Nawet nie powinien pytać – uśmiechnął się redaktor. – Cudownie pasowało do naszej dzisiejszej rozmowy.

O tym, jak kogoś ogarnia szalenstwo?

Jasne. Czego ci ucza na pierwszych zajęciach pierwszego semestru na pierwszym kursie pisarstwa w college? Pisz o tym, na czym się znasz. Reg Thorpe znalazł się na tym, jak zaczyna się szalenstwo, bo szalenstwo właśnie go ogarniało. To opowiadanie przemówiło do mnie tak silnie prawdopodobnie dlatego, że ja również byłem w trakcie podobnego procesu. A gdybyś kiedykolwiek pracował w magazynie, to pewnie wiedziałbyś, że jest jeden temat, którego czytającym Amerykanom nie musisz wręcać. „Jak elegancko zwiariować w Ameryce”, podpunkt A: „Nikt nikogo nie rozumie”. Dość to popularne w literaturze XX wieku. Wielcy fruowali jak ptaki wśród gałęzi tego drzewa, mali jak robaki podgryzała jego korzenie. Ale to opowiadanie było akurat fajne. To znaczy wesołe. Czytałem je jak nie przed nim i nie po nim. Najbliższe było chyba niektórym opowiadaniom Scotta Fitzgeralda... i „Gaisby’emu”. Facet z opowiadania Thorpe’a wartował, ale w strasznie wesoły sposób. Cały czas szczerzyłeś zęby, a w niektórych miejscach – najlepsze było to, w którym bohater wywalał galaretkę pomarańczową na łeb starej, grubej babi – śmiałeś się głośno. Ale wiecie – to był raczej nerwowy śmiech. Chichoczesz i naraz musisz się odwrócić, żeby zobaczyć, kto cię może usłyszeć. Wspaniałe było stopniowane napięcie. Im bardziej się śmiałeś, tym bardziej się bałeś. A im bardziej się bałeś, tym głośniejszy był śmiech... i tak aż do momentu, w którym bohater wraca z przyjęcia wydanego na jego cześć i zabija żonę oraz córeczkę.

I to było o tym? – zapytał pisarz.

Nie, ale nie w tym rzecz. To była po prostu opowieść o młodym człowieku, przegrywającym powoli ze swym własnym powodzeniem. Zostawmy tę sprawę. Opowiadanie fabuły jest nudne. Zawsze. Tak czy inaczej, napisałem do niego list. Mniej więcej tak: *Drogi panie Thorpe, właśnie przeczytałem „Balladę o celnym strzale” i uważam ją za wielkie dzieło. Chciałbym ją opublikować na początku przyszłego roku, jeśli ten termin Panu odpowiada. Czy suma osmiuset dolarów wydaje się Panu wystarczająca? Placimy po akceptacji. Nowy akapit.*

Redaktor wydmuchnął kłęb dymu w pachnące, wieczorne powietrze.

*Opowiadanie jest nieco przydługie i chciałbym, żeby Pan je skrócił o mniej więcej pięćset słów, jeśli to możliwe. Zgodzę się ewentualnie na dwieście słów, jeśli się Pan uprze. Zawsze możemy przecież wywalić rysunki. Akapit. Proszę o odpowiedź. Podpis.*

– I tak to pan pamięta, słowo w słowo? – zapytała żona pisarza.

Trzymałem jego listy w osobnej teczce. Oryginały listów do mnie i kopie moich odpowiedzi. Pod koniec teczka ta była już całkiem gruba, zawierała także trzy lub cztery listy od Jane Thorpe, jego żony. Czytywałem to dość często. Chciałem zrozumieć, ale to się nie dało zrobić. Elastyczny pocisk da się zrozumieć równie łatwo jak to, że wstęga Moebiusa ma tylko jedną stronę. Tak to już jest na tym najlepszym ze światów. No tak, znam je słowo w słowo. Niektórzy tak się uczyli deklaracji niepodległości.

– Załóżę się, że zadzwonił następnego dnia – uśmiechnął się agent. – Co, wygrałem?

Nie, nie zadzwonił. Krótko po wydaniu „Postaci z podziemia” Thorpe przestał w ogóle używać telefonu. Jego żona powiedziała mi o tym. W nowym domu, po przeniesieniu się z Nowego Jorku do Omaha, nawet go nie zalozili. Wście, on stwierdził, że telefon wcale nie działa dzięki elektryczności, tylko w oparciu o rad. Myślał, że jest to jeden z dwóch czy trzech najlepiej strzeżonych sekretów we współczesnym świecie. Twierdził – w rozmowach z żoną – że to rad powoduje wzrost zachorowań na raka, a nie papierosy, spaliny i inne zanieczyszczenia. Że k a z d y telefon ma w słuchawce kryształek radu i k a z d a rozmowa zostawia w głowie kupę promieniowania.

– Ach, on naprawdę zwiariował – powiedział pisarz i wszyscy się roześmieli.

– Zamiast tego napisał – redaktor pstryknął niedopałkiem w stronę jeziora. – Brzmiało to mniej więcej tak: *Drogi Panie Wilson (a właściwie Henry, jeśli można). Twój list to wspaniała i przyjemna niespodzianka. Moja żona była nawet bardziej zachwycona, jeśli to tylko możliwe, niż ja. Honorarium całkiem*

mi odpowiada... choć pragnę stwierdzić uczciwie, że sama możliwość publikacji w „Logan's” wydaje mi się wystarczającym wynagrodzeniem (lecz – oczywiście – przyjmę czek!). Przejrzałem skróty, które zaproponowałeś i w pełni je akceptuję. Dzięki nim opowiadanie jest lepsze i będzie miejsce na ilustracje. Z najlepszymi życzeniami, Reg Thorpe.

Pod podpisem był mały, śmieszny rysunek... czy raczej zwykły gryzmoł. Oko w piramidzie – jak na dolarowym banknocie. Lecz zamiast napisu *Novus Ordo Seclorum* na wstępie pod rysunkiem zobaczyłem napis *Fornit i Fornus*.

- Albo to lacina, albo Groucho Marx – wtrąciła żona agenta.
- Po prostu dowód rosnącej... ekscentryczności Rega Thorpe'a. Jego żona powiedziała mi, że Reg uwierzył w „ludziki” – elfy czy coś. Fornity. Miały przynosić szczęście. Wierzył, że jeden nawet zamieszkał w jego maszynie do pisania.
- O mój Boże – westchnęła żona pisarza.
- Według Thorpe'a każdy fornit ma coś takiego jak pistolecik i strzela z niego... przynosząc szczęście pytkiem, tak to chyba trzeba nazwać. A ten pytek...
- Nazywa się fornus – dokończył pisarz szczerząc zęby.
- No tak, jego żona też uważała to za bardzo zabawne. Do czasu. Na początku myślała – bo Thorpe wymyślił fornity dwa lata wcześniej, pracując nad „Postaciami z podziemia” – że mają ją po prostu nabierać. I może tak to się właśnie zaczęło? A później rosło: od kaprysu, przez przesadę, do koszarnej wiary. To była, no... luzna fantazja. Ale w końcu stwardniała. Na stał. Tak, stwardniała.

Nikt się nie odezwał, tylko uśmiechy spęły z twarzy.

- Fornity potrafiły zachowywać się zabawnie – mówił redaktor. – Ni ślad ni zowad maszyna do pisania Thorpe'a zaczęła dziwnie często trafiać do warsztatu. Zdarzyło się to kilka razy już w Nowym Jorku i powtarzało coraz częściej w Omaha. Dostał tam z warsztatu inną maszynę, kiedy jego była pierwszy raz w naprawie. Po zwrocie pożyczonej maszyny przyszedł do nich właściciel warsztatu i powiedział, że ona też będzie naprawiona na ich rachunek.

- O co mu chodziło? – zdziwiła się żona agenta.
- Ja chyba wiem – powiedziała żona pisarza.
- Obie były pełne jedzenia – wyjaśnił im redaktor. – Małych kawałków ciasta i tak dalej. A na czcionkach ktoś rozsmarował masło kakaowe. To Reg żywił fornity z maszyny. Na wszelki wypadek sypał też jedzenie w maszynę zastępczą – kto wie, czy takie fornity nie przeprowadzają się na czas napraw?

- Aż tak? – spytał pisarz.
- Oczywiście ja o tym jeszcze wtedy nie wiedziałem. Moja sekretarka przepisała list, przyniosła mi do gabinetu do podpisu i po coś tam poszła. Podpisałem go, a jej jeszcze nie było. Więc, bez najmniejszego racjonalnego powodu, sam nabazgrałem coś pod moim podpisem. Piramida. Oko. I *Fornit i Fornus*. Obłąd. Sekretarka to zobaczyła i zapytała, czy chce wysłać list tak, jak jest. Tylko wzruszyłem ramionami.

Po dwóch dniach zadzwoniła do mnie Jane Thorpe. Powiedziała, że mój list bardzo podniecił Rega, że Reg myśli, że znalazł pokrewną duszę... kogos, kto coś wie o fornitach. Widzicie, co się zaczęło dziać? Z tego, co wiedziałem, te fornity mogły być wszystkim, począwszy od klucza francuskiego dla mankutów, a skończywszy na samochodzie bez koł. Ditto fornus. Więc wyjaśniłem Jane, że po prostu skopiowałem bazgroły Rega. Oczywiście, chciała wiedzieć czemu. Pominąłem to pytanie. No bo co jej miałem powiedzieć? Że byłem zalany, kiedy podpisywałem list?

Przerwał i nad trawnikiem zapadła krepująca cisza. Goście wpatrywali się w niebo, w jezioro, w wierzchołki drzew, choć przez ostatnie parę chwil nic się tam z pewnością nie zmieniło.

- Popijałem sobie przez całe dorosłe życie i zupełnie nie potrafię określić, kiedy straciłem nad tym kontrolę. W sprawach zawodowych podpiierałem się butelką prawie do samego końca. Zaczynałem od lunchu i wracałem do redakcji *el blotto*. A jednak pracowało mi się doskonale. To picie po pracy, najpierw w metrze, a później i w domu, w końcu mnie wykończyło.

Mieliśmy z żoną inne problemy, nie związane z piciem, ale przez picie stały się one jeszcze poważniejsze. Od dłuższego czasu chciała ode mnie odejść, a tydzień przed tym, nim dostałem opowiadanie Thorpe'a, wreszcie się zdecydowała.

brzmi to trochę jak cud z rozmnożeniem chleba i ryb, ale coś – tak właśnie było. Nie zastanawiałem się nad tym, tylko po prostu cieszyłem. Jasne, miłe światło wypełniało ten pokój; nawet w deszczowy dzień.

Ale tego wieczora światło zachodzącego słońca było zdecydowanie niesamowite. Czerwone jak z marzeń pieca. Pozbawiony mebli pokój wydawał się zbyt wielki. Kiedy przez niego szedłem, echo odbijało się od ścian.

Maszyna stała mniej więcej pośrodku podłogi i właśnie próbowałem ją ominąć, kiedy zobaczyłem na wałku jakiś strzep papieru. To mi dało do myślenia, pamiętałem, że kiedy szedłem po poprzednią butelkę, nie było tam żadnego papieru.

Rozejrzałem się, pewnie myślałem, że jest tu jeszcze ktoś oprócz mnie. Nie myślałem jednak ani o włamywaczach, ani o narkomanach... tylko o duchach.

Zobaczyłem czarną plamę na ścianie, po lewej stronie drzwi do sypialni. Zrozumiałem przynajmniej, skąd wziął się papier. Ktoś po prostu oderwał kawałek starej tapety.

Ciągle patrzyłem w tamtą stronę, kiedy za plecami usłyszałem głośne „klak”. Podskoczyłem i obróciłem się, czując serce w gardle. Byłem przerażony, chociaż doskonale znałem te dźwięki: nie miałem żadnych wątpliwości. Ktoś, kto zarabia na życie przy pomocy słów, nie ma żadnych trudności z rozpoznaniem odgłosu, z jakim czcionka uderza o papier, nawet o zmroku, w ciemnym pokoju, kiedy w pobliżu nie ma nikogo, kto mogłby uderzyć w klawisz.

Patrzyli na niego z ciemności, a ich twarze wyglądały jak białe, okragłe plamy. Siedzieli bliżej siebie niż na początku opowieści, żona pisarza ścisła jego dłoń w obu swoich.

- Czulem się... no, jakbym wyszedł z siebie. Nierealne. Być może tak czuje się każdy, kto dotrze do granic niewytłumaczalnego. Powoli podszedłem do maszyny, serce waliło mi jak oszalałe, ale umysł miałem... spokojny, nawet chłodny.

„Klak” – poruszyła się inna czcionka. Tym razem zobaczyłem nawet, która: trzeci rząd od góry, po lewej.

Chciałem ukleknąć i nawet zgąłem kolana – i nagle wszystkie mięśnie nóg odmówiły mi posłuszeństwa. Prawie zemdląłem, ale tylko prawie, usiadłem przed maszyną, a porwana i brudna, choć niegdyś elegancka marynarka otoczyła mnie jak sukienka głęboko dygająca panienkę. Dwie kolejne czcionki trzasnęły raz po raz, przerwa, i jeszcze jeden trzask. Każde uderzenie budziło echo zupełnie jak moje kroki.

Cos wsunęło kawałek tapety w maszynę w ten sposób, że czcionki uderzały o powierzchnię pokrytą zaschniętym klejem. Litery były przez to trochę niewyraźne i zalane, ale mogłem przeczytać: *rackn*. Maszyna trzasnęła jeszcze raz i słowo to brzmiało już *rackne*.

- Później... – redaktor chrząknął i skrzywił wargi w lekkim uśmiechu.

- Nawet teraz, kiedy minęło już tyle lat, ciężko mi o tym mówić... ciężko mi opowiadać o, tak sobie... W porządku. Fakty, bez żadnych ozdób. Zobaczyłem, jak spod klawiszy wysuwa się ręka. Bardzo cieniutkie ramie. Bardzo drobna dłoń. Pojawiła się między literami B i N w najniższym rzędzie, zwinęła w pięść i uderzyła w długi, najniższy klawisz. Wałek przeskończył o jeden znak – bardzo szybko, jakby miał czkawkę – i rączka zniknęła.

Żona agenta zachichotała przenikliwie.

- Zamknij się, Martha – powiedział agent i Martha zamknęła się.

- Teraz trzaski stały się trochę częstsze – mówił dalej redaktor. – Po chwili zaczęło mi się wydawać, że słyszę, jak to coś, to stworzonko, pociąga za ramiona czcionek i dyszy, sapie tak jak ciężko pracujący i już prawie wykonczony tą robotą człowiek. Liter nie było już prawie widac, klej zalepił czcionki, ale z pomocą potrafiłem je jeszcze odczytać, odbijały się przecież na miękkim papierze. Przeczytałem: *rackne umie* i za chwile klawisz z literą r uderzył o kawałek tapety i zablokował się. Patrzyłem na to przez chwilę, po czym wyciągnąłem palec i odlepiłem czcionkę. Nie wiem czy to... czy Bellis... poradziłby sobie sam. Chyba nie. Ale i tak wolałem nie widzieć tego... jego... jak próbuje. Sam widok tej piastki spowodował, że



# Wilcza Kłatwa-1

Komorowski • Ziemkiewicz



# Wilcza Kłątwa

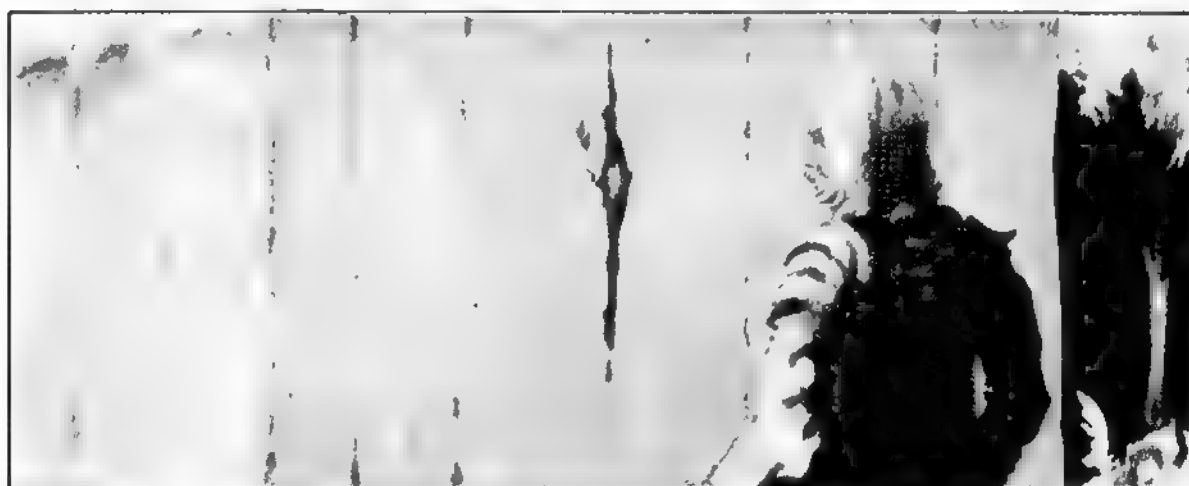


# Wilcza Kłątwa





# Wilcza Kłątwa



jak w 1849 roku poszukiwacze wypłukiwali z piasku złoto. Tylko, że ONI wcale nie chcieli wysadzić miasta, nic z tych rzeczy. ONI je tylko nim posypywali, żeby nikt już nie mógł myśleć. ONI byli złymi fornitorami, a radioaktywny pył był złym furnusem. Najgorszym furnusem w historii.

Wtedy zdecydowałem, że tak naprawdę to wcale nie chce sprzedac „Ballady...”, a już z pewnością nie w Nowym Jorku i że mogę wyjechać natychmiast, jak tylko dostanę zamówione czeki. Kiedy już wyjadę na północ, zacznę ją wysyłać do prowincjonalnych magazynów: „Sewanne Review”, myślałem, będzie całkiem dobre, albo może „Iowa Review”. Wy tłumaczę to Regowi później. Reg na pewno mnie zrozumie. To chyba rozwiązuje wszystkie problemy – myślałem – więc wypilem za dobre rozwiązanie. A później wypilem za swoje zdrowie. A później już alkohol pił się sam... no, tak. Urwał mi się film. Jak się okazało, po raz przedostatni.

Następnego dnia przyszedł czek „Arvin Company”. Wypełniłem jeden z nich na maszynie i poszedłem do przyjaciela, który miał je kontrasygnować. Jeszcze raz przeszedłem przez krzyżowy ogień pytań, ale tym razem trzymałem się w ryzach – potrzebowałem jego podpisu. I w końcu go dostałem. W ciągu pięciu minut zrobiono mi pieczęć. Przystemplowałem nią kopertę, wystukałem na niej adres Rega (maszynę wcześniej wyczyściłem z cukru pudru, ale klawisze ciągle się lepily), włożyłem do niej czek wraz z krótkim, prywatnym listkiem, w którym pisałem, że nigdy nie wysyłałem autorowi czeku z większą przyjemnością... co zresztą było prawdą. I ciągle jest. Przez prawie godzinę przyglądałem się mojemu dziełu i nie mogłem wyjść z podziwu, że tak oficjalnie wygląda. Nigdy byście nie uwierzyli, że śmieszny pijak, który od dziesięciu dni nie zmieniał gaci, zdołał dokonać czegoś takiego.

Przerwał, zdusił papierosa i popatrzył na zegarek. Potem, zupełnie jak konduktor oznajmiający wjazd pociągu na jakąś ważną stację, powiedział: „A teraz zaczyna się niewytłumaczalne”.

– Oto fragment opowieści, który najbardziej zainteresował dwóch psychiatrów i tych wszystkich specjalistów od świrów, z którymi utrzymywałem bliskie kontakty przez następne trzydzieści miesięcy. Tylko to kazali mi odwołać na znak, że mi się poprawiło. Jak powiedział jeden z nich: „To jedyny fragment w pańskiej opowieści, w którym występuje załamanie rozumowania indukcyjnego, to znaczy jedyny, którym nie rządziła wewnętrzna logika”. Wtedy w końcu to odwołałem, wiedziałem przecież, choć oni może jeszcze o tym nie wiedzieli, że rzeczywiście już mi się poprawiło i bardzo chciałem wyrwać się ze szpitala dla wariatów. Wiedziałem też, że jeżeli szybko się z niego nie wydostanę, oszaleję od nowa. No więc odwołałem – Galileusz odwołał tak swoje poglądy, kiedy wsadzono mu stopy w ogień, ale na zawsze zachowałem to w pamięci. Nie twierdzą, że to, co wam teraz opowiem, naprawdę się zdarzyło. Twierdzą, że wierzę, że tak właśnie było. To może mała różnica, ale dla mnie jest ona najważniejsza ze wszystkich.

A więc, przyjaciele, oto niewytłumaczalne:

Następne dwa dni spędziłem przygotowując się do przeprowadzki. Przy okazji: konieczność prowadzenia samochodu nie martwiła mnie w najmniejszym stopniu, jeszcze jako dziecko czytałem, że samochód jest jednym z najbezpieczniejszych na świecie schronień przeciw burzy, bo napompowane opony działają jako prawie stu procentowe izolatory. Czekalem na te chwile, kiedy usiądę za kierownicą mojego starego Chevroleta, zamknę okna i wyjadę z miasta, które wydawało mi się już tylko bagnetem świateł. Ale te przygotowania obejmowały także wyjęcie żarówek z lampek oświetlających kabinę, zaklejenie ich oraz przykrecenie kontrolki świateł na desce rozdzielczej do oporu w lewo, żeby deska była prawie ciemna.

Ostatnią noc zamierzałem spędzić w domu. Mieszkanie było już puste, w kuchni stał tylko stół, w sypialni łóżko, a w pracowni, na podłodze, maszyna do pisania. Nie miałem zamiaru jej zabierać, budziła zbyt wiele złych skojarzeń, a poza tym i tak klawisze zawsze miały się już lepić. Niech się o nią martwi następny lokator – i o Bellis też!

Słońce zachodziło, barwiąc całe mieszkanie w niezwykle wręcz sposób. Byłem już nieźle wstawiony, a inna pełna butelka miała chronić mnie przed nocą. Właśnie przechodziłem przez pracownię, chyba po to, żeby iść do sypialni. Pewnie usiadłbym na łóżku, myślał o kablach i elektryczności i – oczywiście – popijał.

Pokój, który nazywałem pracownią, był w istocie największy w mieszkaniu. Pracowałem w nim, bo miał wielkie, zachodnie okna, z których widać było horyzont. Na piątym piętrze domu na Manhattanie

Próbowałem jakoś się z tym wszystkim uporać i wtedy pojawiło się to opowiadanie. Piłem za wiele. Wszystko się skomplikowało – co, gdybyśmy chcieli to nazwać jakoś modnie, był to z pewnością kryzys wieku średniego. Wszystko, co wtedy wiedziałem, to tylko to, że przynębia mnie życie, zawodowe i prywatne. Walczyłem – albo przynajmniej próbowałem walczyć – z rosnącą pewnością, że redagowanie opowiadań, które w końcu czytać będą zdenerwowani pacjenci w poczekalni u dentysty, niepracujące żony w porze lunchu i od czasu do czasu nudzący się studenci, nie jest szczególnie szlachetnym zajęciem. Walczyłem – albo przynajmniej starałem się walczyć, jak wszyscy w redakcji w owym czasie – z przekonaniem, że w ciągu najbliższych szesciu, może dziesięciu, a może czternastu miesięcy zabawa nazywana „Logan's” skończy się definitywnie.

I w tym melancholijnym krajobrazie wieku średniego pojawiło się nagle słońce bardzo dobrego opowiadania, napisanego przez bardzo dobrego pisarza. Błyskotliwy, przenikliwy rzut oka na mechanizm szalenstwa. Wiem, że te słowa brzmią dziwnie – w końcu bohater zabija żonę i dziecko, ale zapytajcie każdego wydawcę, co mu może sprawić największą przyjemność i z pewnością odpowie wam, że doskonała powieść albo opowiadanie, które niespodziewanie ląduje mu na biurku jak jakiś cholerny gwiazdkowy prezent w lecie. Cóż, chyba znacie opowiadanie Shirley Jackson „Loteria”? Konczy się niewiarygodnie przynębiająco, to znaczy wyprowadzają miłą kobietę i kamienują ją, a jej syn i córka biorą w tym udział. Ale coż to za wspaniała robota! Załóżę się, że redaktor „New Yorkera”, który przeczytał to pierwsze, wrzucił wieczorem do domu wesoło pogwizdując.

Próbuję wam tylko wyjaśnić, że opowiadanie Thorpe'a było najlepszą rzeczą, jaka mi się wtedy wydarzyła. Jedyną dobrą. A z tego, co mi tłumaczyła Jane, jedyną dobrą rzeczą, jaka się ostatnio wydarzyła Regowi, było przyjęcie jego opowiadania do druku. Relacja autor – wydawca zawsze jest relacją pasażerską, ale w przypadku moim i Thorpe'a to pasażerstwo podniesione było do n-tej potęgi!

– Wróćmy do Jane Thorpe – poprosiła żona pisarza.

– Tak. A co, próbuję odstać ją na boczny tor? Była raczej wściekła z powodu tej całej historii z fornitorami. Na początku. Wyjaśniłem jej, że nabazgrałem ten rysunek ot tak sobie, zupełnie nie wiedząc, czego to może dotyczyć i przeprosiłem. Jeżeli zrobiłem coś złego. Przestała się złościć i na odmianę wylała przede mną swe żale. Niepokoiła się coraz bardziej, biedactwo, i po prostu nie miała z kim pogadać. Jej rodzice nie żyli, wszyscy przyjaciele pozostali w Nowym Jorku. Reg nie wpuszczał do domu nikogo. Wszyscy, którzy mieli do nich jakiś interes, byli albo z CIA, albo z FBI, albo mieli coś wspólnego z podatkami. Zaraz po tym, jak przyjechali do Omaha, zadzwoniła do drzwi mała skautka sprzedająca ciasteczka na jakieś tam cele. Reg na nią nawrzeszczał, kazał się jej wynosić, krzyczał, że wie, kim ona jest i tak dalej. Jane próbowała przemówić mu do rozsądku. Powiedziała przy tym, że dziewczynka miała najwyżej dziesięć lat. Reg stwierdził autorytatywnie, że ci od podatków nie mają serca i sumienia. A poza tym – powiedział – ta mała mogła przecież być androidem, a androidy nie podlegają prawom zakazującym zatrudniania dzieci. I że on prywatnie sądzi, że Urząd Podatkowy starł na wysłanie mu do domu skautki – androida napakowanego radem, żeby sprawdzić, czy nie ukrywa jakichś sekretów, a on nie chce dostać raka od promieniowania..

– Dobry Boże – westchnęła żona agenta.

– No więc Jane czekała na jakiś znak od przyjaciela i akurat ja się jej trafiłem. Przeleknąłem opowieść o skautce, dowiedziałem się, jak się troszczyć o fornity i jak je żywić, co to jest fornus i jak Reg odmawia rozmów przez telefon. Rozmawiała ze mną z automatu, pięć przecznic od domu. Powiedziała, że obawia się, że Reg wcale nie boi się CIA, FBI czy Urzędu Podatkowego. Że myśli, że to ONI, wielka, tajemnicza organizacja istot nienawidzących Rega, zadowolonych z niego, gotowych na wszystko, żeby zniszczyć Rega, odkryła prawdę o jego fornicy i chce go zabić! A gdyby zginał fornity, nie byłoby opowiadań. Rozumiecie? Oto istota szalenstwa! To ONI przesładują. W końcu nie było nawet Urzędu Podatkowego, który, nawiasem mówiąc, rzeczywiście przycisnął go trochę w związku z zyskami z „Postaci z podziemia”, żeby posłużył jako chłopiec do bicia. Skończyło się na NICH. Klasyczne urojenie paranoika. To ONI chcą zabić fornity!

– Mój Boże! I co, pan na to? – zainteresował się agent.

– Chciałem jej dodać odwagi. Siedziałem sobie wygodnie za biurkiem, świeżo po przerwie na lunch, zakropiony pięcioma martini i przemawiałem dostojnie do przestraszonej kobiety stojącej przy automa-

cie gdzieś w Omaha. Próbowałem jej tłumaczyć, że wszystko jest w porządku, że nie ma się czego bać, że nie ma nic strasznego w tym, że jej mąż wierzy w telefony pełne kryształków radu i w tajemne sprzyśszenie wysyłające androidy przebrane za skautki z zadaniem przeszukania ich domu. Że nie ma nic złego w zachowaniu człowieka, którego talent oderwał się od sił umysłowych w stopniu umożliwiającym mu wiare w elfa mieszkającego w maszynie do pisania!

- Nie sądzę, żeby był pan zbyt przekonujący  
- Prosiła mnie - nie, błagała - żebym pracował z Regiem nad tym jego opowiadaniem i żebym mu je wydrukował. Robiła wszystko, żeby mnie przekonać, wszystko oprócz przyjazdu do Nowego Jorku i otwartego stwierdzenia, że „Ballada o celnym strzale” jest ostatnią wiezią jej męża z tym, co z usmiechem na ustach nazywamy rzeczywistością. Zapytałem ją, co mam robić, jeśli Reg znowu wspomni o fornitach.

- Niech go pan uspokoi - powiedziała. Te słowa pamiętam bardzo dokładnie. „Niech go pan uspokoi”. I odwiesiła słuchawkę.

Następnego dnia przyszedł list od Rega. Pięć stron maszynopisu, pojedynczy odstęp. Pierwsza część dotyczyła opowiadania. Praca nad poprawkami razno posuwała się do przodu. Sądził, że skróci je nawet o siedemset słów: z oryginalnej długości dziesięciu tysięcy pięciuset do dziewięciu tysięcy osmiuset. Druga w całości poświęcona była fornitom... i fornusowi. Była pełna opisów jego doświadczeń i obserwacji. I pytania... dziesiątki pytań...

- Obserwacje? - głowa pisarza pojawiła się w kręgu światła. To znaczy, że on już je widywał?  
- Nie. Nie to, żeby widywał, ale... Chociaż... Wiesz, astronomowie wiedzieli o Plutonie na długo przedtem, nim mieli teleskopy odpowiednio potężne, żeby go zobaczyć. Dowiedzieli się o nim wszystkiego dzięki obserwacjom orbity Neptuna. W ten właśnie sposób Reg „obserwował” fornity. Lubia jeszcze w nocy - napisał - czy to zauważyłeś? Dawał im jedzenie o różnych porach dnia, ale większość pożywienia znikała po osmej wieczorem.

- Halucynacje? - zainteresował się pisarz.  
- Nie. Jego żona po prostu sama próbowała doczyścić maszynę, kiedy Reg wychodził na spacer. A wychodził zawsze dokładnie o dziewiątej.

- I miała czelność przyczepić się do pana! - burknął agent przesuwając swe wielkie cielsko na ogrodowym fotelu. - Przecież ona sama ożywiała jego fantazje!

- Pan nie rozumie, dlaczego dzwoniła i dlaczego była taka zdenerwowana - odpowiedział spokojnie redaktor i spojrzał na żonę pisarza - Jestem pewien, że ty to pojmujesz, Meg.

Może odpowiedziała i z zakłopotaniem popatrzyła na męża. Ona nie złościła się dlatego, że pan ożywiał jego fantazje. Bała się, że pan je może zniszczyć.

- Brawo! - redaktor zapalił kolejnego papierosa - I z tego samego powodu czyściła mu maszynę. Gdyby jedzenie gromadziło się w niej przez dłuższy czas, Reg mógłby wprost ze swych nielogicznych przesłanek wyciągnąć logiczny wniosek: fornit zmarł lub opuścił go. A więc nicy z fornusu. A więc... nicy z pisania. A więc...

Ostatnie „wiec” uleciało w powietrze wraz z papierosowym dymem. Nikt nie przerwał ciszy.

- Sądził, że fornity są stworzeniami nocnymi. I że nie lubią hałasu - zauważył, że nie potrafił pisac rankiem po szczególnie udanych przyjęciach. Ze nienawidza telewizji, elektryczności i radu. Reg sprzedał swój telewizor za dwadzieścia dolarów i pozbył się zegarka z hmem... radowym wyświetlaczem cyfr. Pytania? O, było ich mnóstwo: skąd się dowiedziałem o fornitach? Czy to możliwe, że też mam jednego? Jeśli tak, to co sądzę o tym, o tamtym i o owym? Nie muszę chyba wchodzić w szczegóły. Jeśli kłopotliwiek z was miał kiedykolwiek psa jakiejś szczególnej rasy i pamięta, jak się dowiadywał, czym go żywić i jak o niego dbać, przypomniał sobie większość pytań, jakie Reg mi wtedy zadał. Jeden gryzmot pod podpisem wystarczył, żeby otworzyć puszkę Pandory.

- Co pan mu odpisał? - zainteresował się agent.

Redaktor odpowiedział spokojnie i cicho.

- Tu dopiero zaczęły się prawdziwe kłopoty. Dla nas obu. Jane powiedziała mi: „Niech go pan uspokoi”. No więc, właśnie to zrobiłem. Niestety, udało mi się chyba zbyt dobrze. Odpisałem na jego list w domu, byłem mocno pijany, a mieszkanie wydało mi się aż za puste. Smierdziało zastarzonym dymem z

zbyt dużo) z pewnością należą do NICH. Krążyłem z maszynopisem i zaczynałem marzyć, żeby spędzić ich wszystkich pod ścianę, ustawić w rzędzie i załatwić jedną kulą.

Niemal pięć lat minęło, nim mogłem patrzeć na to z ich punktu widzenia. Zdenerwowałem szefów, a to byli faceci, którzy spotykali mnie akurat wtedy, kiedy wyłączano ogrzewanie i zbliżał się czas na Bożonarodzeniową szklaneczkę. Inni... coż, ironia polega na tym, że część z nich była naprawdę moimi przyjaciółmi. Jared Baker był wtedy zastępcą w „Esquire”, a przecież w czasie wojny służyliśmy w jednej kompanii strzelców. Nowe i poprawione wydanie Henry’ego Wilsona nie mogło się im podobać, więcej: byli nim przerażeni. Gdybym po prostu wysłał maszynopis ze spokojnym listem wyjaśniającym okoliczności sprawy, prawdopodobnie sprzedałbym to opowiadanie na pniu. Ale nie, to mnie nie satysfakcjonowało. Nie. „Ballada...” wymagała przecież mojej osobistej opieki! Więc laziłem z nią od drzwi do drzwi, cuchnący, postwiarty redaktor z trzesącymi się dłońmi, zaczerwienionymi oczami i wielkim zastarzałym siniakiem w miejscu, w którym uderzył się o drzwi łazienki szukając na czworakach kibelka. Równie dobrze mogłem nosić w kłapie znaczek z wielkim napisem: ALKOHOLIK.

Nie chciałem też gadać z tymi facetami w ich biurach. Tak naprawdę to nawet nie mogłem. Dawno minęły czasy, kiedy po prostu wsiadałem do windy i spokojnie jechałem nią na czterdzieste piętro. Teraz umawiałem się z nimi jak handlarze narkotyków z klientami: w parkach, gdzieś na schodach lub, jak w przypadku Jareda Bakera, w „Burger Heaven” na Czterdziestej Dziewiątej. Przynajmniej Jared z pewnością chciałby mi postawić dobry obiad, ale, rozumiecie, dawno już minął czas, kiedy ceniący swą pracę *maitre d’hotel* wpuszciliby mnie do restauracji, w której spotykają się ludzie interesu.

Agent drgnął.

- No jasne, otrzymywałem mgliste propozycje przeczytania maszynopisu, po których natychmiast szły pełne troski pytania o to, jak się czuję i jak dużo piję. Pamiętam niezbyt dokładnie, że kilku z nich próbowało przekonać o tym, że to elektryczność uniemożliwia im prawidłowe myślenie i że kiedy Andy Rivers z „American Crossing” zaproponował mi pomoc w znalezieniu lekarza, nawrzeszczałem mu, żeby sam do niego poszedł, bo to on potrzebuje pomocy.

Widział tych wszystkich ludzi tam, na ulicy? - tłumaczyłem mu, a staliśmy, pamiętam, w Washington Square Park. Połowa z nich, może nawet trzy czwarte, ma guza mózgu. Nie sprzedałbym ci opowiadania Thorpe’a, Andy. Przecież tu, w tym mieście, nawet byś go nie pojął. Twój mózg siedzi na krześle elektrycznym i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy! Miałem w reku maszynopis opowiadania zwinęty jak gazeta i uderzyłem go tym maszynopisem po nosie jak nieposłusznego psa, sikającego pod murem. Później po prostu odszedłem. Pamiętam, że krzyczał za mną, żebym wrócił, że możemy przecież pojsć na kawę i jeszcze sobie pogadać na ten temat, a później znalazłem się pod sklepem z płytami, pod głośnikami wypływającymi na ulicę heavy metal i falę zimnego, jarzeniowego światła i jego głos znikł w czymś w rodzaju szumu przelewającego mi się w głowie. Pamiętam, że mogłem już myśleć tylko o dwóch sprawach: że muszę szybko, jak najszybciej opuścić miasto, bo sam się nabawię guza mózgu i że zaraz, natychmiast, muszę się napić.

Tego wieczora znalazłem pod drzwiami mieszkania karteczkę: *Wynoś się stąd, głupku!* Wyrzuciłem ją, w ogóle o niej nie myśląc. My, wariaci, mamy większe kłopoty niż anonimowe żale zdenerwowanych sąsiadów.

Myslałem o tym, co powiedziałem Andy’emu Riversowi o opowiadaniu Rega. Im więcej o tym myślałem (i im więcej piłem), tym bardziej sensowne mi się to wydawało. „Ballada...” była zabawna i pozornie łatwa w czytaniu... ale pod tą powierzchnią kryła się bardzo skomplikowana treść. Czy w ogóle można mieć nadzieję, że jakiś wydawca jest zdolny zrozumieć ją w całości? Tak myślałem, ale czy myśleć tak dalej, teraz, kiedy już otworzyły mi się oczy? Czy ciągle mogę mieć nadzieję, że ktoś coś może pojąć i zrozumieć w moście owiniętym kablami jak bomba terrorysty? Boże, przecież wolty przeciekają tu ze wszystkich stron!

Czytałem gazety, poki pozwalało na to dzienne światło, starałem się zapomnieć o tych wszystkich strasznych sprawach i tam, na kartach „Timesa” znalazłem historię o tym, jak to materiały radioaktywne znikają z elektrowni jądrowych. Autor pisał, że znikło już wystarczająco wiele, żeby można było zrobić z tego bombę.

Siedziałem przy kuchennym stole, zachodziło słońce, a ja widziałem ICH, wypływających pluton tak,



odczułem wtedy żadnej ulgi, wręcz przeciwnie, poczułem przelewające się przez mój mózg wielkie, czarne fale bólu – jak fale radiowe. Przez chwilę miałem wrażenie, że to oczy odwróciły mi się w oczodołach i patrzę na mój mózg, na jego palące się, zwęglone i umierające komórki. To był wykrywacz dymu – w 1969 roku urządzenie jeszcze nowsze niż mikrofalowa kuchnia.

Wypadłem z mieszkania jak strzała i pobiegłem po schodach – mieszkalem na piątym piętrze, ale w tym czasie używałem już wyłącznie schodów – i zacząłem walić do mieszkania dozorcy. Krzychałem, że ma to usunąć, że ma to w ogóle usunąć, że ma to usunąć dzisiaj, że ma to usunąć w ciągu godziny. I wrzył na mnie, jakbym był zupełnie – proszę mi wybaczyć to określenie – bonzo seco. Teraz już łatwo mu go zrozumieć. Wykrywacz dymu miał przecież sprawić, żebym się czuł bezpieczniej i lepiej. Teraz już oczywiście są wszędzie, ale wtedy był to wielki Skok w Przyszłość i płacił za to związek właścicieli do now.

Dozorcy go oczywiście usunął. Nie zabrało mu to wiele czasu, ale nawet na chwilę nie spuszczał ze mnie oka i teraz – do pewnego stopnia, pojmuję jego uczucia. Nie goliłem się od Bog wie kiedy i śmierdziałem whisky, brudne włosy lepiły mi się do głowy, marynarkę też miałem brudną. Oczywiście wiedział, że już nie chodzę do pracy i widział, jak wynoszą telewizor. Wiedział też, że kazałem odłączyć telefon. Po prostu myślał, że oszalałem.

Może i byłem szalencem, ale tak jak i Thorpe, niekoniecznie zaraz idiotą. Włączyłem dla niego cały mój wdzięk, ile go zostało – no, tak, wiecie, redaktorzy pism literackich muszą go trochę mieć. Pozbyłem się go spokojnie dzięki dziesięci dolarówce i w końcu jakos naprosiłem go o sprawę, ale z tego, jak przez następne parę tygodni patrzyli na mnie sąsiedzi (a były to ostatnie tygodnie, jakie miałem tam spędzić) mogłem się domyśleć, że opowieść poszła w świat. Zwłaszcza wiele mówiący był fakt, że nie odwiedził mnie nikt ze związku właścicieli, żeby poskromić nad moją czarną niewdzięcznością. Pewnie bali się, że ich zaatakują nożem do mięsa.

O tym wszystkim jednak prawie wtedy nie myślałem. Siedziałem w półmroku, ciągle paliła się latarnia i bijąca przez okna elektryczność Manhattanu też oświetlała trochę moje trzy pokoje. Siedziałem z butelką w jednej i papierosem w drugiej ręce wpatrzony w miejsce, w którym wykrywacz dymu świecił czerwonym okiem tak dyskretnie, że w dzień nie było go widać i myślałem. Myślałem o tym, że chociaż wyłączyłem całą elektryczność, on został. A jeśli go przeoczyłem, to mogłem przeoczyć także co innego.

A jeśli nawet nie, to przecież cały dom i tak naszpikowany był przewodami, był tak ich pełen, jak umierający na raka człowiek pełen jest chorych komórek i gnijących organów. Zamykałem oczy i widziałem kable biegnące w ścianach, świecące niesamowicie zielonkawym światłem. Jeden, niemal nieszkodliwy, cieniutki przewód biegł od kontaktu... wychodzący z kontaktu kabel był już nieco grubszy i biegł do piwnicy, w której łączył się z jeszcze grubszym, łączącym się w podziemnym kanale z całą wiązką bardzo już grubych... No, tak.

Kiedy Jane Thorpe napisała mi, że Reg zakleił kontakty, jedna część mego umysłu wiedziała, że ona uznaje to za dowód szalenstwa meza i ta część podpowiadała mi, żeby jej odpisać tak, jakby była całoscia. Druga część, teraz już znacznie większa, krzychała coś zupełnie innego: „Przecież to wspaniały pomysł!” – no i zaraz następnego dnia zrobiłem oczywiście to samo. Pamiętajcie, to ja byłem człowiekiem, który miał pomóc Regowi. W jakiś straszny sposób to wszystko było nawet śmieszne.

Tę noc zdecydowałem się opuścić Manhattan. W Adirondacs był kawałek należącej do rodziny ziemi – moglibyśmy tam trochę pomieszkować i ten pomysł bardzo mi się spodobał. W mieście trzymała mnie już tylko „Ballada o celnym strzale”. Jeśli była ona kołem ratunkowym, pomagającym Regowi pływać po oceanie szalenstwa, to ze mną było podobnie. Chciałem już tylko umieścić ją w dobrym magazynie i gdyby mi się to udało, moglibyśmy zniknąć z miasta.

Tak właśnie wyglądały niezbyt znane w świecie relacje Wilson-Thorpe tuż przed tym, nim sliwka wpadła w gówno. Byliśmy jak dwóch umierających narkomanów, jeden udawał drugiemu wyższość heroiny nad morfiną. No, tak. Reg miał fornita w maszynie, ja miałem fornita w ścianie, a obaj mieliśmy fornity w głowach.

No i byli ONI. Nie należy zapominać o NICH. Niewiele czasu zabrało mi przekonanie się, że wszyscy redaktorzy działów literatury we wszystkich nowojorskich magazynach (nie, żeby w 1969 roku było ich

papierosów. Z odejściem Sandry wszystko zaczęło powoli podupadać, zmięta narzuca na łapczanie, brudne naczynia w zlewie... tego rodzaju rzeczy. Mezczyzna w średnim wieku całkowicie nie przygotowany do samodzielności.

Siedziałem w tym mieszkaniu nad kartką papieru, wkreconą w maszynę i myślałem: potrzebuje fornita. Potrzebuje z luzin forniliw, żeby posypały fornusem całe to mieszkanie od drzwi do okna. Byłem wystarczająco pijany, żeby zazdrościć Regowi Thorpe jego złudzeń.

No i odpisałem mu, że rzeczywiście mam fornita. Napisałem, że charaktery mają zupełnie podobne Aktywne w nocy. Nienawidzi hałasu, ale moją najwyraźniej lubi Bacha i Brahmsa – często dobrze mi się pracuje wieczorem, kiedy słucham ich muzyki. Że mój zdecydowanie lubi kielbasę bolonską... może warto spróbować poczęstować nią i twojego, co, Reg? Zostawiam po prostu kawałki koło mojego redaktorskiego ołówka, a rano prawie zawsze nie ma po niej śladu. Chyba że – jak sam wspominales, Reg – poprzednia noc była rozrywkowa. Podziękowałem mu za informację o radzie i napisałem, że sam używam normalnego, nakrecanego zegarka. Napisałem, że mój fornit towarzyszy mi już od czasu szkolnych wypracowań. Wyobraźnia tak mnie poniosła, że wyszło tego chyba z sześć stron. Na końcu dodałem notkę o opowiadaniu, raczej pobieżną. Podpisałem.

A pod podpisem...? – odezwała się żona agenta.

Oczywiście. Fornit i Fornus... – przerwał i zamilkł na chwilę.

Nie zobaczcie tego w ciemności, ale się rumienie. Byłem taki pijany, taki cholernie zadowolony... Może w świetle poranka przemyslałbym tę sprawę raz jeszcze, ale rano już było za późno.

– Wysłałeś list jeszcze w nocy – mruknął pisarz.

– Wysłałem. Przez półtora tygodnia wstrzymywałem oddech i czekałem. Pewnego dnia do redakcji przyszedł adresowany do mnie maszynopis, bez listu. Skroty były takie, jak uzgodniliśmy i opowiadanie wyszło świetnie w każdym szczególe, ale maszynopis... co, wpakowałem go do teczki, zabrałem do domu i sam przepisałem jeszcze raz. Był pokryty żółtymi plamami, myślałem, że to...

– Uryna? – zapytała żona agenta.

– Tak, to właśnie sobie pomyślałem. Myliłem się. A kiedy przyjechałem do domu, w skrzynce czekał już na mnie list od Rega. Tym razem dziesięciostrońnicowy. Z tymi samymi żółtymi plamami. Oczywiście. Nie mogł dostać kielbasy bolonskiej, więc kupił inną. Napisał, że jego fornit po prostu ją uwielbia, szczególnie z musztardą. Tego dnia byłem zupełnie trzeźwy. Ale ten list... i ślady musztardy, rozsmarowanej po kartkach pchnęły mnie prosto do barku. Nic nie było mnie w stanie zatrzymać. Wypilem.

– Co jeszcze było w liście? – dopytywała się żona agenta. Najwyraźniej ta opowieść zaczynała ją coraz bardziej fascynować i teraz pochylała się w stronę redaktora nad swym wcale pokazywanym brzuszkiem w pozie, która znie pisarza przypominała Snoopy'ego, siedzącego na swej budzie i udającego sepa.

Tym razem tylko ze dwa wiersze poświęcił opowiadaniu. Reszta dotyczyła fornita... i mnie. Kielbasa to był rzeczywiście znakomity pomysł. Rackne musiał ją naprawdę polubić i...

– Rackne? – spytał pisarz.

– Tak miał na imię ten fornit. Rackne. Dzięki kielbasie Rackne na serio wziął się do roboty przy skrótach. Reszta to był już prawdziwy bełkot szalenca. Czegoś takiego nie wdzieliscie w życiu.

– Reg i Rackne... małżeństwo zawiazane w niebie – powiedziała żona pisarza i zachichotała nerwowo.

– Nie, to wcale nie tak. To była przyjaźń oparta na wspólnocie interesów. A Rackne był samcem.

– Co jeszcze pisał?

– Tego akurat dokładnie nie pamiętam. Macie szczęście. Nawet szalenstwo po jakimś czasie może zacząć nudzić. Listonosz był człowiekiem CIA. Gazeciarka – FBI, Reg dostrzegł rewolwer z tłumikiem w jego torbie, wśród gazet. Sąsiedzi byli jakimis tam szpiegami – w ich polciezarówce Reg widział aparaturę podsłuchową. Bał się chodźć nawet do najbliższego sklepu, bo właściciel też był androidem i przez jego łysinę przesiewała siatka przewodów. A promieniowanie radu w domu wyraźnie się zwiększyło i ściany świeciły w nocy zielonkawą poświatą.

Ten list kończył się mniej więcej tak: *Mam nadzieję, że mi odpiszesz i powiadomisz mnie o tym, jak to wygląda u ciebie. Co z fornitem i wrogami, Henry? Sądzę, że nasza znajomość zawiązała się przez coś więcej niż przypadek. Bóg, Opatrzność, Los (nazwij to jak chcesz) w ostatniej chwili rzucił mi koło*

ratunkowe. *Mezyczyna nie może samotnie w nieskończoność opierać się tysiącom nieprzyjaciół. A odkrycie, że nie jest sam... czy powiem zbyt wiele, jeśli stwierdzą, że fakt, że mamy wspólne doświadczenia stał między mną a całkowitym zniszczeniem? Chyba nie. Muszę wiedzieć, czy wrogowie polują na twojego fornita tak jak na Rackne. Jeśli tak, to jak sobie z nimi radzisz? Jeśli nie, to czy możesz się domyślić dlaczego? Powtarzam: muszę to wiedzieć!*

List podpisany był tym samym symbolem, pod którym znajdowało się jeszcze postscriptum. To jedno zdanie uderzyło mnie z siłą śmiertelnego ciosu: *Czasami myślę też o mojej żonie.*

Przeczytałem ten list trzy razy i w tym czasie zdołałem rozprawić się z całą butelką Black Velvet. Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że jakos przecież muszę mu odpisać. Jak? Jasne, to tonący wołał do mnie „na pomoc”. Opowiadanie trzymało go w kupie przez pewien czas, ale teraz było już prawie skończone. To, czy Reg nie rozsypie się na kawałki, zależało już tylko ode mnie. Rozumiałem go, w końcu to ja przecież zacząłem tę całą historię. Chodziłem tam i z powrotem po ciemnych pokojach i nagle zacząłem wyciągać wtyczki z kontaktów. Pamiętacie, byłem kompletnie zalany, a alkohol rozpuszcza bariery sceptycyzmu. To dlatego wydawcy i prawnicy wyskakuja na trzy drinki przed podpisaniem kontraktu i obiadem.

Agent wybuchnął śmiechem ale to nie poprawiło nastroju. Wszyscy byli napięci i zażenowani.

- Proszę, pamiętajcie i o tym, że Reg był pisarzem jak diabeł i do tego całkiem przekonany, że rzeczy wyglądają dokładnie tak, jak mi je opisał. FBI. CIA. Podatki. ONI. WROGOWIE. Niektorzy pisarze posiadają niezwykle dar - im bardziej czują temat, tym chłodniej piszą. Robił tak Hemingway, Steinbeck i Reg Thorpe. Wchodząc w ich świat. Świat zupełnie logiczny. Zaczynacie myśleć jak oni - trzeba tylko przyjąć pewne podstawowe przesłanki, fornita, trzydziestkę osemkę z tumbkiem w torbie listonosza. Dzieciaki z przeciwka mogą przecież rzeczywiście być agentami KGB, mogą mieć kapsułki z trucizną w sztucznych zębach i misję: zginąć albo porwać lub zabić Rackne.

Oczywiście nie uznałem tych przesłanek. Tylko tak trudno szło mi myślenie. Więc wyrywałem kolejne wtyczki. Najpierw te od kolorowego telewizora, bo wszyscy przecież wiedzą, że naprawdę one czymś tam promieniują. W „Logan's” publikowaliśmy nawet artykuły znanego naukowca tłumaczące, że promieniowanie kolorowego telewizora ma wpływ na fale ludzkiego mózgu i zmienia je, nieznacznie wprowadzając, lecz permanentnie. Ten naukowiec udawał, że to właśnie kolorowe telewizory powodują, że dzieci w szkołach mają niższe oceny na testach z umiejętności czytania i pisanie i z matematyki. W końcu to one oglądają najwięcej telewizji.

Wier wylączyłem telewizor i wydało mi się, że mogę już myśleć jasniej. Poczulem się na tyle dobrze, że mogłem wyłączyć radio, maszynkę do grzanek, pralkę i suszarkę. Zupełnie nagle przypomniałem sobie o kuchence mikrofalowej i też ją wylączyłem. Ulżyło mi. Ta kuchenka była stara, wielka jak szafa i prawdopodobnie nie całkiem bezpieczna. Dzisiejsze modele są chyba lepiej zabezpieczone.

Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, ile rzeczy w zwykłym gospodarstwie niezbyt zamożnego człowieka podłącza się do kontaktu. Dostrzegłem potworną, elektryczną osmiornicę z mackami z kabli pełzających w ścianach i łączących się z najbliższą, oczywiście rządową, elektrownią.

Cierpiełem na coś w rodzaju rozdwojenia myśli. - Redaktor popił wody mineralnej ze szklanceczki i mówił dalej. W zasadzie wiedziałem, że to wszystko przesąd. Jest przecież wielu ludzi, którzy nie otworzą parasolki pod dachem i nie przejdą pod drabiną. Koszykarze zegnają się przed rzutami osobistymi i zmieniają skarpetki, kiedy nie trafia. Racjonalna świadomość i irracjonalna podświadomość grają sobie fałszywy choć stereofoniczny podkład. Gdybym musiał wam zdefiniować nieracjonalną podświadomość, to powiedziałbym, że jest ona małym pokoikiem, znajdującym się we wnętrzu każdego z nas. Jedynym meblem w tym pokoiku jest stolik. Na stoliku leży rewolwer. A rewolwer naładowany jest elastycznymi pociskami.

Schodzisz z chodnika, żeby ominąć drabinę, wychodzisz na deszcz ze zwiniętym parasolem i z twojego racjonalnego ja odpada lupina: wchodzisz do pokoju i bierzesz w reke rewolwer. Myślisz o dwóch rzeczach na raz: „przechodzenie pod drabiną z pewnością nikomu nie szkodzi” i „ominiecie drabiny też nie może zaszkodzić”. Ominąłeś drabinę, otworzyłeś parasol - i znów jesteś sobą.

- To całkiem interesujące - powiedział pisarz. - Czy mogłbyś tu coś jeszcze wyjaśnić? To znaczy, kiedy ta „irracjonalna podświadomość” przestaje bawić się rewolwerem i przykładą go do czoła?

Przebijające przez nie słońce świeciło jakby zza chmur... no, tak: wróciliśmy do tematu. Świeciło tak jak wtedy, kiedy na niebie zbierają się takie pierzaste chmurki i wiesz, że wkrótce będzie już lało jak z cebra.

I te wszystkie dobre wiadomości: studenci, pies, sprzątaczką, nowa powieść - przecież była zbyt inteligentna, żeby uwierzyć, że wszystko może znówu być dobrze. Ja o tym wiedziałem, nawet po pijaku. Reg zdradzał symptomy psychozy, a z psychozą jest jak z rakiem płuc. sama się nie wyleczy, choć od czasu do czasu chorzy mogą się czuć lepiej.

- Mogę ci znów prosić o papierosa, kochanie?

Żona pisarza poczęstowała go jeszcze jednym Salemem.

- W końcu - mówił dalej redaktor, wyciągając zapalniczkę - miała wokół siebie wszystkie symptomy jego idee fixe. Brak telefonu. Żadnej elektryczności. Kontakty zaklejone tasmą. Reg wkładał jedzenie do maszyny równie regularnie jak do miski psa. Studenci z przeciwka mogli go mieć za wspaniałego faceta, ale studenci z przeciwka nie widzieli, jak codziennie rano, ze strachu przed promieniowaniem wkładał na ręce gumowe rękawiczki, żeby podnieść leżącą na progu gazetę. Nie słyszeli, jak jęczy przez sen i nie uspokajali go, kiedy budził się z krzykiem, nie pamiętając koszmaru, który go przeraził.

- Ty, moja droga - powiedział patrząc wprost w oczy żonie pisarza - zastanawiasz się pewnie, dlaczego przy nim została. Myślisz o tym, choć nic nie mówisz. Prawda?

Skinęła głową.

- Tak, a ja nie mam zamiaru przedstawiać wam długiej rozprawy na temat jej motywów. We wszystkich prawdziwych opowieściach bardzo wygodne jest to, że można powiedzieć: tak się właśnie stało i pozostawiać słuchaczom kłopot z odkryciem - dlaczego? A w ogóle to niki na ogół nie wie, dlaczego było właśnie tak a nie inaczej, a już szczególnie głupi są ci najzupełniej pewni, że rozumieją wszystko.

Z subiektywnego punktu widzenia Jane Thorpe działała się jednak znacznie, ale to znacznie lepiej. Znalazła sprzątaczkę - Murzynkę w średnim wieku i zmusiła się do opowiedzenia jej o dziwactwach swego męża. Ta kobieta, Gertruda Rulin, rozesmiała się tylko i powiedziała, że pracowała już dla ludzi, którzy byli o całe niebo dzwaczniejsi. Pierwszy tydzień po jej zaangażowaniu Jane spędziła tak, jak pierwszy wieczór u studentów: czekając na wybuch szalenstwa. Ale Reg podbił serce sprzątaczkę całkowicie, tak jak wcześniej serca tych dzieciaków. Mówił o jej parafialnych pracach, o mężu, o najmłodszym synku, Jimmym, który - według Gertrudy - zapędziłby w kozi róg samego Kube Rozpruwacza. Miała jedenascioro dzieci, ale między tym i najmłodszym było dziewięć lat różnicy i to nikomu nie ułatwiała życia.

Więc z Regiem wszystko wydawało się układać niezle i jeżeli spojrzeć na to z pewnego punktu widzenia, było tak rzeczywiście. Tylko w rzeczywistości był nie mniej szalony niż poprzednio i oczywiście, podobnie było ze mną. Coż, szalenstwo może sobie być jak elastyczny pocisk, ale każdy liczący się ekspert od balistyki powie wam, że nie ma dwóch identycznych pocisków. W jednym z listów Reg napisał coś tam o powiesi tylko po to, żeby zaraz przejść do sprawy fornito. Fornitów w ogólności, a Rackne szczególnie. Zastanawiał się przede wszystkim, czy ONI chcą go tylko zabić, czy też złapać żywcem i przesłuchać - i skłaniał się ku tej drugiej ewentualności. Na końcu stwierdzał: *Mój pogląd na świat, tak jak i apetyt, poprawiły się znacznie od czasu, kiedy zaczęliśmy do siebie pisać, Henry. Bardzo Ci za to dziękuję. Zawsze Twój Reg* A w postscriptum pytał, czy znalazłem już ilustratora do „Ballady o celnym strzale”. To ostatnie spowodowało u mnie oczywiście nasilenie poczucia winy, które skierowało mnie wprost do butelki.

Reg pisał mi o fornitach, a ja jemu o kablach i polach. Coraz bardziej interesowała mnie elektryczność, mikrofały, fale radiowe, interferencje fal, promieniowanie i Bóg jeden wie, co jeszcze. Chodziłem do bibliotek i pożyczam książki, chodziłem do księgarni i kupowałem książki. Było w nich sporo dość przerażających wiadomości na ten temat, a ja przecież w gruncie rzeczy tego właśnie poszukiwałem.

Kazałem wylączyć telefon i elektryczność. Na jakiś czas pomogło, ale kiedyś, gdy leżałem pijany tułając w dłoni butelkę whisky i czując ciężar drugiej w kieszeni marynarki, zobaczyłem małe, czerwone, świecące na mnie z sufitu światelko. Boże, przez chwilę myślałem, że dostane ataku serca. Wyglądało to jak owad... wielki, czarny robał patrzący jednym, błyszczącym, czerwonym okiem.

Miałem lałarnie gazową, zapaliłem ją i od razu zorientowałem się, co to naprawdę jest. Tylko, że nie





- Kiedy nasz delikwent zaczyna pisać listy do gazet, domagając się likwidacji wszystkich drabin w mieście, bo przechodzenie pod nimi jest niebezpieczne.

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

- No, to powiedzieliśmy już tyle, że równie dobrze możemy skończyć. Irracjonalna podświadomość strzela w mózg elastycznymi pociskami wtedy, kiedy zaczynasz biegać po mieście i przewracać drabiny, być może raniąc tych, którzy na nich pracują. Do szpitala nie trafiają faceci, którzy po prostu omijają drabiny i ci, którzy piszą listy do gazet, że w Nowym Jorku źle się dzieje, bo jest on pełen głupków, pozbawionych wrażliwości i leżących pod drabinami. Wariackowa pełne są tych, którzy próbowali je przewracać.

- Ponieważ to akurat widać - powiedział pisarz.

- Wiesz, Paul, w tym coś jest. Nigdy nie chciałem zapalać trzech papierosów jedną zapalką. Nie wiedziałem czemu, ale nie chciałem. Dopiero później przeczytałem gdzieś, że to się zaczęło w okopach I wojny światowej. Że niemieccy strzelcy wyborowi tylko czekali na głupich Anglików, uprzejmie przypalających sobie nawzajem papierosy. Pierwszy - i mieli zamiar. Drugi - poprawka na wiatr. Za trzecim odstrzelili goście. Ba, ale wiesz o tym czy nie, to bez różnicy. Ciągłe, nawet dziś, nie zapalam ludziom trzech papierosów pod rząd. Wiem, że mogę ich zapalić nawet dwadzieścia, tylko z drugiej strony mój wewnętrzny głos mówi z akcentem Borisa Karloffa: „Aaaa, tylko spróbuj, przyjacielu...”.

- Ale przecież nie zawsze szaleństwo to zabobon - powiedziała skromnie żona pisarza.

- Nie? A Joanna d'Arc? Ona przecież słyszała głosy. Z nieba. Niektórzy ludzie są pewni, że opanowały ich demony. Jeszcze inni widzą diabły... albo upiory... albo, coż, formity. Wariactwo, mania, irracjonalność, szaleństwo - te wszystkie słowa sugerują także przesady. Dla szalenca rzeczywistość jest skrzywiona. Rozszczepiona osobowość integruje się w małym pokoiku. W pokoiku stoi stolik. A na stoliku leży rewolwer.

Moje racjonalne ja ciągle jednak trzymało pion. Okrwawione, posiniaczone, wściekłe i trochę przestraszone, trzymało się jednak twardo. Tłumaczyło mi nawet: „No, no - wszystko w porządku. Jutro, jak wytrzymasz wszystko na miejscu. I dzięki Bogu! Baw się, jeśli musisz, ale ani kroku dalej! Tylko ani kroku dalej!”

Ten wspaniały głos rozsądku miał prawo się bać. Jest w nas coś takiego, że szaleństwo nas ciekawi. Każdy, kto chociaż raz wychylił się z balkonu wysokiego domu, na pewno czuł delikatną, lecz morderczą ochotę, żeby skoczyć. A każdy, kto choćby raz przyłożył sobie lufę do czoła...

- Nie! Proszę... - żona pisarza prawie krzyczała

- No dobrze - zgodził się redaktor. - Chciałem tylko wytłumaczyć, że nawet najnormalniejszy człowiek zaledwie wsiadł na śliskim sznurze normalności. W ludzkie zwierze obwody normalności wbudowano bardzo niedbale.

Kiedy już wszystko wyłączyłem, poszedłem do pracowni, napisałem list do Rega, wsadziłem go do koperty, nakleiłem znaczek i wysłałem. Zupełnie nie pamiętam, jak to zrobiłem. Byłem zbyt pijany, żeby pamiętać. Mogłem tylko wszystko sobie wydedukować, bo jak już doszedłem do siebie następnego ranka, przy maszynie leżała kopia, znaczki i paczka kopert. List był prawie taki, jakiego można się spodziewać po zalanym piąku. Było tam mniej więcej tak. *Nieprzyjaciół przyciągają zarówno formity, jak i elektryczność. Pozbądź się elektryczności, a pozbedziesz się nieprzyjaciół. Na dole dopisałem: To elektryczność nie pozwala ci myśleć jasno o tych sprawach, Reg. Interferuje z falami mózgowymi. Czy twoja zona ma elektryczną wirowkę?*

- No, to skończyło się na listach do gazet - powiedział pisarz.

Tak. Napisałem ten list w piątek w nocy. Wstałem w sobotę o jedenastej rano, skacowany i zaledwie świadomy tego, co wyprawiałem poprzedniego dnia. Włączając wszystko z powrotem wstydziłem się jak cholera. Wstydziłem się jeszcze bardziej - i bałem się - kiedy przeczytałem to, co napisałem Regowi. Szukałem oryginału listu i miałem nadzieję, że go znajdę. Nie znalazłem. Przeżyłem cały ten dzień próbując wziąć się w garść jak mężczyzna i obiecując sobie, że nie tknę więcej whisky. Dotrzymałem słowa. Jak cholera.

*Wyciągnij osiemset i coś tam jeszcze dolarów ze swojego konta i każ bankowi założyć dla siebie nowe konto pod hasłem Arvin Publishing Inc. Upewnij się, że zrozumieli, że chcesz mieć bardzo profesjonalnie wyglądające czeki, żadnych ślicznych piesków i malowniczych kanionów. Poproś przyjaciela, kogoś, komu możesz zaufać i zarejestruj go jako współnika, to ci będzie te czeki kontrasygnował. Kiedy już dostaniesz, wypisz jeden na 800 dolarów i daj współnikowi do podpisu. Później wyślij go Regowi i Thorpe'owi. Na jakiś czas będziesz miał spokój.*

Koniec. Bez odbioru.

Podpisano - Bellis. Nie znaczkiem. Na maszynie.

- Phi! - mruknął pisarz.

- Kiedy wstałem, w oczy rzuciła mi się najpierw maszyna, wyglądała, jakby ją ktoś ucharakteryzował na ducha maszyny do taniego horroru. Wczoraj to był jeszcze stary, czarny i bardzo biurowy Underwood. Ale kiedy wstałem - z łbem wielkim jak północna Dakota - zobaczyłem, że jest jakiś taki szarawy. Wystarczyło tylko jedno spojrzenie, by pomyśleć, że chyba się już wykończył. Przejechałem po nim palcem, polizałem go i poszedłem prosto do kuchni. Na barku stała torba z cukrem pudrem, a w niej lizaczka. Cukier rozsypany był wszędzie między kuchnią a moją pracownią.

- Żyłeś forna - stwierdził pisarz. Bellis to prawdziwy pies na słodczyce, albo tak ci się przynajmniej wydawało.

- Aha. Ale nawet chory i do tego jeszcze skacowany, wiedziałem doskonale, kto tu jest forniem.

Wylizywał im na palcach:

- Po pierwsze: Bellis to panienskie nazwisko mojej matki. Po drugie: słowa „el bonzo seco” - mówiliśmy tak z bratem o kimś, kogo uważaliśmy za stukniętego. Jak byliśmy dziećmi. Po trzecie i najbardziej deenerwujące: pisownia „gupi”. Nigdy nie udało mi się dobrze napisać tego słowa. Znałem jednego nieprzyjaciela wykształconego pisarza, który zawsze pisał „wogole” i wszyscy musieli to po nim poprawiać. A inny facet, z doktoratem z Princeton zawsze pisał „na prawdę”.

Żona pisarza roześmiała się nagle równie rozbawiona co zażenowana.

- Ja też tak piszę - powiedziała

- Chciałem tylko powiedzieć, że błędy ortograficzne to takie literackie odciski palców człowieka. Zapytajcie o to kogoś, kto poprawiał kilka tekstów jednego autora.

Cóż, Bellis był mną, a ja - to Bellis. Udzielał jednak dobrych, więcej, doskonałych rad. Jest jeszcze coś innego - podświadomość zostawia czasami dziwne ślady. Jest taką cholerną istotą, która cholernie dużo wie. Nigdy w życiu nie widziałem „kontrasygnatury” i - przynajmniej świadomie - nie miałem pojęcia, co to jest. Ale coś takiego rzeczywiście istnieje. Bankowcy używają nawet dokładnie tego słowa! Dziwnie.

Znalazłem telefon i zadzwoniłem do przyjaciela. Kiedy przykładałem do ucha słuchawkę, poczułem znajomy ból, ból nie do wytrzymania. Pomyślałem o Regu Thorpe, pomyślałem o radzie i szybko odłożyłem słuchawkę. Wziąłem za to prysznic, ogoliłem się, chyba z dziesięć razy sprawdziłem w lustrze czy wyglądam jak człowiek i poszedłem zobaczyć się z przyjacielem osobiscie. Zadawał pytania i przyglądał mi się bardzo uważnie, były więc chyba jakieś ślady, których nie stało mydło, żyletka i spora dawka lekarstwa na kara. Ten przyjaciel nie siedział w biznesie, i - wiecie - to chyba dobrze. Te wiadomości jakos szybko się rozchodzą. W środowisku. No tak. Gdyby siedział w biznesie wiedziałby, że „Arvin Publishing” wydaje „Logan's” i pewnie zacząłby się zastanawiać, jaki to głupi pomysł przyszedł do głowy. Ale nie wiedział, więc zdołałem się wytłumaczyć, że mam zamiar zostać samodzielnym wydawcą, bo „Logan's” zlikwidował dział literatury.

- Zapytał, dlaczego nazwałeś firmę „Arvin Publishing?”

- Tak.

- I co mu powiedziałeś?

- Powiedziałem mu - redaktor nieznacznie się uśmiechnął - że Arvin to panienskie nazwisko mojej matki.

Na chwilę zapadła cisza, po czym redaktor znow zaczął opowiadać i już niemal do końca nikt mu nie przerywał.

- No więc czekałem na czeki, a potrzebowałem dokładnie jednego. W tym czasie byłem raczej zajęty.

Moje biuro było piętro niżej. Zbiegłem po schodach, pogasiłem wszystkie światła i zabrałem teczkę. Na dół zjechałem windą, teczkę postawiłem między nogami i z całej siły zatykałem palcami uszy. Pamiętam też, że trzy czy cztery osoby zjeżdżające tą samą windą patrzyły na mnie raczej dziwnie. Redaktor roześmiał się sucho.

- Były przerażone. I nie ma się czemu dziwić. Każdy zamknięty w klatce z wariatem ma prawo się bac.

- Och, z pewnością nie było aż tak źle - powiedziała żona agenta.

Dokładnie tak. Szalenstwo przecież gdzieś się musi zacząć. A ja, jeśli w ogóle opowiadam o c z y m s jezeli zdarzenia z własnego życia można nazwać c z y m s - to mówię o początkach szalenstwa. Ono musi się gdzieś zacząć i do czegoś doprowadzić. Jak droga. Albo wystrzelona z rewolweru kula...

Gdzieś się musiałem podziak, więc poszedłem do „Four Fathers”, baru na Czerdziestej Dziewiątej. Pamiętam, że specjalnie wybrałem ten bar, bo nie było tam szafy grającej, kolorowego telewizora i jasných swiateł. Pamiętam, że zamawiałem drinka, pierwszego drinka, a później już nic. Obudziłem się w domu, we własnym łóżku. Na podłodze leżały zaschnięte rzygowiny, a w powłoczce wypalona była wielka dziura. Załany w trupa uniknąłem najwyraźniej dość nieprzyjemnej śmierci: spalenia lub uduszenia w dymie. Ale i tak bym tego pewnie nie poczuł.

- O, jak rany! - powiedział agent prawie z szacunkiem.

- Przerwa w życiorysie. Po raz pierwszy miałem autentyczną, pełną przerwę w życiorysie. Nie zdarzają się zbyt często, bo po prostu nie ma na nie czasu. To początek zbliżającego się końca. A taki czy inny, ten koniec następuje szybko. Tylko, że każdy alkoholik powie wam, że przerwa w życiorysie w niczym nie przypomina omdlenia. Dla wszystkich byłoby lepiej, żeby przypominała, ale nie. Kiedy alkoholik ma przerwę w życiorysie - działa! Jest nawet cholernie pracowity! Jak jakiś oszalały fornit. Dzwoni do swojej byłej żony, żeby jej nawymyślać, wjeżdża pod prąd na autostradę i ładuje się na samochód pełen dzieciaków. Może rzucić pracę, obrabować sklep, zastawić obrączkę. Jest pracowity jak cholera.

Ja najwyraźniej zdecydowałem się wrócić do domu i napisać list. Ale nie do Rega. Do siebie. I to nie ja go pisałem - tak przynajmniej wynikało z listu.

- A kto? - zapytała żona pisarza.

- Bellis.

- A to co?

- Jego fornit - odpowiedział pisarz, który najwyraźniej błądził myślami gdzieś daleko i miał nieprzytomne, nieobecne spojrzenie.

- Właśnie - powiedział redaktor, który wcale nie wyglądał na zaskoczonego. Wyrecytował im ten list w słodkim, świeżym powietrzu nocy, podkreślając co ważniejsze fragmenty ruchem palca.

Pozdrowienia od Bellis. Przykro mi, że masz problemy, przyjacielu, lecz chciałbym ci od razu wytłumaczyć, że nie jesteś jedynym gościem z problemami. Mnie też nie jest łatwo. Mogę zasypać te twoją przekletą maszyną do pisania fornusem jak stąd do wieczności, ale przyciskanie KLAWISZY to chyba Twoje zajęcie. PO TO Bóg stworzył takich wielkich ludzi. Więc trochę Ci współczuje, ale nie licz na to, że tego współczucia będzie więcej.

Rozumiem, że martwisz się o Rega Thorpe'a. Ja się nie martwię o Rega Thorpe'a, ja się martwię o mojego brata Rackne. Thorpe martwi się, co z nim będzie, jak Rackne odejdzie, ale to dlatego, że jest samolubem. Przekleństwo słuzenia pisarzem polega na tym, że wszyscy są samolubami. Ja się martwię o to, co będzie z Rackne, jak Thorpe odejdzie. El bonzo seco. Ta myśl najwyraźniej nie raczyła się pojawić w jego jakże wrażliwym umyśle. Nasze szczęście polega na tym, że na krótką metę wszystkie problemy mają proste rozwiązania, więc wyteżam moje wątłe ręce i krótkie ciałko, żeby ci je podać, mój ty drogi Pijaku. Ty możesz szukać rozwiązań długofalowych, ale zapewniam Cię, że coś takiego nie istnieje. Wszystko jest śmiertelne. Bierz, co jest Ci dane. Czasami znajdujesz węzeł na sznurze, ale każdy sznur ma swój koniec. Więc co? Błogosław węzeł i nie trać oddechu, by przeklinać upadek. Wdzięczne serca wiedzą, że i tak wszyscy w końcu spadniemy.

Sam musisz mu zapłacić za to opowiadanie. Tylko nie wysyłaj normalnego czeku! Thorpe ma poważne, być może nawet groźne kłopoty z głową, ale to wcale nie oznacza gupoty.

Redaktor przerwał i przeliterował: g-u-p-o-t-y.

W środę przyszedł list od Rega. Jedna strona, zapisana ręcznie. Znaczką Fornit i Fornus, gdzie się tylko dało. A w środku tylko tyle: *Miałeś rację. Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję. Reg. Fornit w porządku. Reg. Dziękuję. Reg.*

- Boże! - powiedziała żona pisarza.

- Założy się, że jego żona dostała szału - dodała żona agenta.

- Nie dostała. Zadziała.

- Zadziała? - zdziwił się agent.

- Zadziała. Dostał mój list w poniedziałek rano. Po południu kazał sobie wyłączyć prąd. Jane Thorpe dostała oczywiście hysterii. Miała elektryczną kuchenkę. Miała wirówkę, maszyny do szycia, maszyny do zmywania z suszarką... no, rozumiecie. Tego wieczora z pewnością by się ucieszyła, gdyby ktoś jej podał moją głowę na tacy.

To zachowanie Rega sprawiło, że zaczęła mnie uważać za cudotwórcę, a nie szaleńca. Posadził ją na fotelu i mówił całkowicie rozumnie. Twierdził, że wie, że się dziwnie zachowywał. Że wie, że się o niego bała. Że bez elektryczności czuje się znacznie lepiej. Że teraz jej pomoże, żeby się nie męczyła i nie czuła niewygod. A później dodał, że chyba powinni pójść do sąsiadów i powiedzieć im: „Cześć!”

- Chyba nie do tych agentów KGB z półcieżarówką wyladowaną radem? - zdziwił się pisarz.

- Właśnie do nich. Jane nie wierzyła własnym uszom! Zgodziła się w końcu, ale mówiła mi później, że była gotowa na najgorsze. Oskarżenia, groźby, histeria. Zaczęła nawet rozważać możliwość odejścia od Rega, jeśli nie zdecydowałby się na przyjęcie pomocy. Wtedy, w środę rano, mówiła mi, że odciecie elektryczności to była ostatnia kropla. Jeszcze coś, a wróci do Nowego Jorku. Wiecie, po prostu zaczęła się bac. To wszystko pogarszało się stopniowo, prawie niedostrzegalnie, ale ona ciągle go kochała. Tyle że dla niej był to już kres możliwości. Postanowiła, że jeśli Reg chociaż raz powie studentom z sąsiedztwa coś dziwnego, to się wyprowadza. Dużo później odkryłem, że bardzo ostrożnie rozpytywała się, jak załatwić przymusowe leczenie w Nebrasce.

- Biedna kobieta - powiedziała cicho żona pisarza.

- Ten wieczór to był wielki sukces - mówił dalej wydawca. - Reg wypadł wspaniale, a według Jane, miał wiele wdzięku, jeśli chciał. Takim nie widziała go od trzech lat. Posepność i coś w rodzaju skrytości znikły, jakby nigdy nie istniały. Tak samo nerwowy tik i to zerknięcie przez ramię, gdy ktoś otwierał drzwi. Popijał piwo i rozmawiał o wszystkim, o czym mówiło się w tamtych ponurych czasach: o wojnie, o możliwości stworzenia ochotniczej armii, o rozruchach w miastach, o prawie.

Wyszło na jaw, że napisał „Postacie z podziemia” i ci młodzi ludzie byli... „oszołomieni autorem”, jak to powiedziała Jane. Troje czy czworo z nich już to czytało i nie założyłbym się o to, że pozostali nie pobiegli zaraz do biblioteki.

Pisarz roześmiał się i kiwnął głową. O tym już coś wiedział.

- Więc - mówił dalej redaktor - zostawmy na razie Rega Thorpe i jego żonę bez elektryczności, lecz szczęśliwszych niż przez kilka ostatnich lat.

- Dobrze, że nie miał elektrycznej maszyny do pisania - wtrącił się agent.

- ... i powróćmy do Pana Redaktora. Minęły dwa tygodnie. Lato się kończyło. Pan Redaktor, oczywiście, popijał sobie od czasu do czasu, lecz tak w ogóle był całkiem w porządku. Dni mijały tak, jak mijać miały. Na Przylądku Kennedy'ego przygotowywali się do wysłania człowieka na Księżyc. Nowe wydanie „Logan's” leżało na polkach i sprzedawało się tak samo kiepsko jak poprzednie. Złożyłem zamówienie na zakup praw do druku. Odpowiadanie: „Ballada o celnym strzale”. Autor: „Reg Thorpe”. Pierwodruk. Wydanie: styczeń 1970, cena: 800 dolarów, tyle zwykle płaciłmy za opowiadanie wiodące.

Aż tu nagle wezwał mnie mój szef, Jim Dohegan. Czy mógłbym wpaść do niego na minutkę? Pobiegłem truchcikiem i zgłosiłem się przed dziesiątą, wyglądając i czując się wspaniale. Dopiero później dotarło do mnie, że sekretarka Jima, Janey Morrison, wyglądała jak pierwsza sztormowa fala.

Usiadłem i zapytałem Jima, co może dla niego zrobić lub vice versa. Nie twierdzi, że nie myślałem o Regu Thorpe. Mając w garści coś tak znakomitego spodziewałem się czegoś w rodzaju gratulacji. Toteż możecie sobie wyobrazić jak zgłupiałem, kiedy podał mi dwa zamówienia: na opowiadanie Rega Thorpe'a i Johna Updike'a, które planowałem na luty. Na obu przystępowano: Zwrot.

Popatrzyłem na zamówienie. Popatrzyłem na Jima. Nic nie pojmowałem. Nie mogłem zmusić się,

żeby pomyśleć, co to ma do cholery znaczyć! Coś mi się w głowie zablokowało. Rozejrzałem się po gabinecie i zobaczyłem w kącie małą, elektryczną kuchenkę, którą Jane przynosiła codziennie rano i włączała do kontaktu, żeby jej szef miał zawsze świeżą kawę. Tak było w redakcji już od trzech lat, ale tego ranka mogłem myśleć tylko o jednym: „Gdybym mógł to wyłączyć, wiedziałbym, co jest grane. Wiem, że gdyby to wyłączyć, mógłbym myśleć”.

Powiedziałem: „A to co, Jim?”

– Cholernie mi przykro, że to właśnie ja muszę ci o tym powiedzieć, Henry. Od stycznia 1970 „Logan’s” nie będzie już publikował literatury.

Redaktor sięgnął po papierosa, ale jego paczka była pusta.

– Czy ktoś może mnie poczęstować papierosem?

Żona pisarza dała mu Salema.

– Dziękuję, Meg.

Zapalił go, wyrzucił zapalnik i zaciągnął się głęboko. W ciemności rozbłysnął wesoły, czerwony ogień.

Coż, jestem pewien, że Jim pomyślał, że oszalałem. Powiedziałem: „Można?” i wyłączyłem kuchenkę z kontaktu. Pamiętam, jak opadła mu szczeka.

– Co u diabła, Henry? – zapytał.

– Nie umiem myśleć, kiedy coś takiego się tu dzieje, Jim – powiedziałem. Interferencja. – I chyba rzeczywiście w to wierzyłem, bo naraz zacząłem myśleć zupełnie jasno.

– Czy to znaczy, że mnie wywalasz?

– Nie wiem, to zależy od Sama i kolegium. Po prostu nie wiem, Henry.

Ja tam miałem mu wiele do powiedzenia. Myślałem, że Jim spodziewał się, że będę go błagał o pracę. Znać to powiedzenie: „Wystawiony tyłkiem do wiatru”? Jestem pewien, że nie zrozumie go nikt, kto nie stał się nagle szefem nie istniejącego działu.

Ale ja nie błagałem go o pracę i o to, żeby „Logan’s” dalej publikował opowiadania. Błagałem go za to o Rega Thorpe’a. Najpierw powiedziałem, że mogę go przesunąć na grudzień.

– Numer grudniowy jest zamknięty. Przecież o tym wiesz. A my tu mamy dziesięć tysięcy słów.

– Dziesięć tysięcy osiemset.

– I ilustrację na całą kolumnę. Daj spokój.

– To wywalimy artystę – prosiłem. – Słuchaj, Jimmy, to świetne opowiadanie, może najlepsze, jakie się nam trafiło przez pięć lat.

– Czytałem je i wiem, że jest dobre. Ale tego nie możemy zrobić. Nie w grudniu. To przecież Boże Narodzenie. Do cholery, Henry, chcesz dać czytelnikom pod choinkę opowiadanie o facczie, który zabija żonę i dziecko? Chyba... Tu właśnie przerwał i widziałem, jak zerknął na kuchenkę. Wiecie, równie dobrze mógł skończyć głosno.

Pisarz wolno skinął głową nie spuszczać wzroku z cieni na twarzy redaktora.

– Zaczęła mnie boleć głowa. Na początku słabutko, tyle, że znowu nie mogłem myśleć. Przypominałem sobie, że Janey Morrison ma na biurku elektryczną temperówkę. I te lampy w gabinecie Jima. Piecyki. Automaty w korytarzu. Jakby tak się nad tym zastanowić, cały budynek trzymał się tylko dzięki elektryczności. Dziwne, że ktokolwiek może tu cokolwiek zrobić. To wtedy pojawiła się ta myśl, myśl o tym, że nie dziwnego, że „Logan’s” pada, bo przecież nikt nie może tu trzeźwo myśleć. A nie może trzeźwo myśleć, bo go wpakowano do wielkiego budynku naładowanego kablami, kompletnie zakłócającymi przebieg fal mózgowych. Pamiętam, że myślałem, że gdyby pojawił się tu doktor z maszyną do EEG, to wykresy byłyby, no tak, wstętne. Pełne tych spiczastych linii alfa oznaczających złośliwego raka mózgu.

Już samo zastanawianie się nad tym spowodowało, że głowa zaczęła mnie boleć jeszcze bardziej. Ale próbowałem dalej. Zapytałem, czy nie mogłbym pogadać z Samem Vaderem, naszym naczelnym, żeby puścił Rega Thorpe’a do numeru styczniowego, jako pożegnanie z literaturą, jeżeli inaczej się nie da. Jako ostatnie opowiadanie w „Logan’s”.

Jim bawił się ołówkiem i kiwał głową. Powiedział: „Powiem mu o tym, ale wiesz, że to nie zadziała. Mamy tu opowiadanie pisarza z jednym hitem na koncie i mamy opowiadanie Johna Updike’a, które jest

równie dobre, a może nawet i lepsze”.

– Opowiadanie Updike’a nie jest lepsze!

– No, dobrze. Jezus, Henry, nie musisz przecież krzyczeć...

– Nie krzycz! – wrzasnąłem.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, a głowa bolała mnie coraz bardziej. Słyszałem jarzeniówki brzęczące jak muchy złapane w butelkę obrzydliwy dźwięk. Wydało mi się, że słyszę, jak Jane włącza temperówkę. „Oni to robią specjalnie” – pomyślałem. „Chcą mnie ogłupić. Oni wiedzą, że nie wiem, co powiedzieć, kiedy ta... kiedy to wszystko...”

Jim mówił coś jeszcze o poruszeniu tych spraw na kolegium, że będzie sugerował, żeby nie przerywać drukowania opowiadań nagle, tylko wykorzystać te, które już zaplanowałem, chociaż...

Wstałem, przeszedłem przez pokój i wyłączyłem światło.

– Po co to robisz? – zapytał Jim.

– Już ty dobrze wiesz, po co – odpowiedziałem. – Powinieneś wynieść się stąd, Jimmy, inaczej nic z ciebie nie zostanie.

Wstał i podszedł do mnie.

– A ty powinieneś chyba wziąć sobie wolny dzień i odpocząć, Henry. Idź do domu, wypocznij. Wiem, że ostatnio żyłeś w napięciu. Chce, żebyś wiedział, że zrobię z tym, co tylko będę mógł. Czuję tak samo jak ty... no, może prawie tak samo. A ty powinieneś pojsć do domu, położyć się, pooglądać telewizję.

– Telewizję – powiedziałem i roześmiałem się. To był najlepszy dowcip, jaki kiedykolwiek słyszałem. Jimmy, powiedz coś ode mnie Samowi Vaderowi, dobra?

– Co takiego, Henry?

– Powiedz mu, że potrzebuje fornity. Całą drużynę. Fornity? Dwunastu fornityłów.

– Fornity – powtórzył Jim. – W porządku, Henry. Powiem mu. Z całą pewnością mu powiem.

Ból głowy był już aż nie do zniesienia. Prawie nic nie widziałem. Gdzieś tam, w kaciku, rodziła się myśl: „Co ja powiem Regowi? Jak on to przyjmie?”

Sam złożył zamówienie, tylko jeszcze nie wiem, do kogo. Może Reg będzie miał jakiś pomysł? Dwanaście fornityłów. Niech zasypią furnusem całą tę pieprzoną redakcję! Każdy kąt!

Chodziłem naokoło gabinetu, a Jim gapił się na mnie z otwartymi ustami.

– Wyłącz wszystko, Jimmy. Powiedz mu to. Wszystko wyłączyć! Nikt nie może myśleć przy tych wszystkich elektrycznych interferencjach, prawda?

– Prawda, Henry. Na sto procent. Po prostu idź do domu i odpocznij. Przespij się, albo coś.

– I fornity też. One nie lubią tych interferencji. Rad, elektryczność. Wszystko jedno. Daj im kiełbasy. Masła orzechowego. Czy możemy zgłosić na to zapotrzebowanie?

Straszny ból głowy, jak czarna kula, siedział mi w głębi czaszki, za oczyma. Widziałem wszystko podwójnie i nagle poczułem, że jeśli się nie napiję. Że po prostu muszę się napić. Jeżeli na świecie nie ma fornusa, a jakas racjonalna część mnie samego tłumaczyła mi, że z pewnością nie ma, to szklanczka była jedyną na świecie rzeczą zdolną postawić mnie na nogi.

– Oczywiście, złożymy zamówienie – powtarzał Jimmy.

– Ty w to nie wierzysz, prawda?

– Oczywiście. Wierze. Wszystko jest w porządku. Tylko musisz pojsć do domu, Henry. Po prostu trochę odpocząć.

– Nie wierzysz mi teraz, ale uwierzysz, kiedy ta szmata zbankrutuje. Na Boga, jak możesz podjąć jakąkolwiek trafną decyzję, jeśli siedzisz dziesięć metrów od tych cholernych maszyn! Z Colą, słodyczkami i kanapkami!

Tu nagle naszła mnie straszna myśl.

– I kuchenka mikrofalowa! – wrzasnąłem. – Przecież oni podgrzewają sandwicze kuchenką mikrofalową!

Zaczął coś mówić, ale nie zwracałem na niego uwagi. Uciekłem. Kuchenka mikrofalowa wszystko mi wyjaśniła. Musiałem uciec. Właśnie przez nią miałem ten straszny ból głowy. Pamiętam, że widziałem Janey, Kate Younger z reklamy i Mert Strong od łączności z czytelnikami, jak stały i gapiły się na mnie. Musiały usłyszeć wrzaski.



# STEPHEN KING

Wstęga zostaje przecięta bez przemówień, bez reklamy i rozgłosu. Wchodzimy do galerii Stephena Kinga. Jest to galeria duża, bogata i malownicza, można w niej spotkać wampiry i wszystkie niemal potwory, których bałismsy się w dzieciństwie. Dziś poznamy pierwszą z kolekcji bestii, których istnienie fascynuje tego niezwykłego pod wieloma względami pisarza. Na imię jej: szalenieć.

## Luksusowy wehikuł strachu

Krzysztof Sokółowski

King jest bez wątpienia krolewem horroru. I to tego horroru, który często pisze się przez duże H. W jego popkulturze mierzonej liczbą kupionych egzemplarzy książek (a nie zmiennymi gustami krytyków) jest coś z fenomenu i coś ze swojej perwersji. Fenomenu bowiem okazało się, że możliwa jest literacka penetracja uczucia, które dla profesorów i smectarzy, studentów i emerytów niepracujące żony (kategoria społeczna powszechna) wpływała w Ameryce, a prawie nieznaną w Polsce, i ich bardzo zajęci zarabianiem na życie mężowie. Perwersji bowiem tym uczuciem jest STRACH.

Zas strach pozostaje emocją prawie nieznaną – to znaczy nieopisaną. Jest uczuciem wstydliwym. Każdy z nas zna strach i każdy się przed nim broni, nikt jednak nie lubi i nie chce o nim mówić. Podobno to właśnie zdolność uswiadomienia sobie nieuchronności odczuwania strachu i bezradne próby bronięcia się przed nim odróżniają człowieka od zwierzęcia. Podobno to człowiek, jest par excellence zwierzęciem odczuwającym strach – jest tak – horror Kinga, zupełnie niezależnie od tego czy nam się podobają, mają pewne odległe od literatury walory poznawcze. Mogą nam (tak!) pomóc uswiadomić sobie, dlaczego strach jest ludzki.

To ostatnie twierdzenie wymaga daleko idących wyjaśnień. Przecież zwierzęta (wydaje się że nawet przed wszystkim zwierzęta) boją się i strach (oraz sen) wypełnia całe ich życie. Strach (i ból) są czynnikami wspomagającymi i umożliwiającymi przetrwanie każdego gatunku. Każdy, kto kiedykolwiek uważnie obserwował zachowanie swego wiernego kundla mógł jednak zauważyć, że strach zwierzęcy jest instynktowną reakcją na pojedynczy bodziec lub fakt. Pies rzuci się na pijaka, bo jego niepewny chód uważa za sygnał zagrożenia, na innego psa, bo tak nakazuje mu instynkt przewodnictwa w nie istniejącym stadzie, nawet na pędzący samochód, bo coś, co przed nim ucieka, na wyraznie ma do tego jakiś powód. Każdy kolejny piasek, kundel i mały fiat przeraża, więc budzi agresję. We własnym interesie psiaaka próbujemy go tego odczuć, budząc w nim inny, większy, bardziej, bezpośredni strach – przed biciem. Budujemy hierarchię strachu ucząc najlepszego z przyjaciół człowieka zasad wzajemnego współżycia.

Człowiek jest myślącym zwierzęciem, a więc zna instynktowny strach przed nieznanym (i strach przed bólem). To że myśli, sprawia jednak, że boi się naczci. Myślenie jest nieoddzielne od zdolności, przewidywania i od wyobraźni, a jedno i drugie budzi w człowieku strach, który jest właściwy tylko temu strachowi zwanemu z procesem myślenia, a więc niejako „racjonalny”. On właśnie jest bohaterem twórczości Kinga.

Zacznijmy od wyobraźni, ponieważ jest ona właściwa człowiekowi jako jednostce, a więc stosunkowo łatwa do opisu. Wydaje się, że można obciążyć ją winą za pewną część typowo ludzkiego strachu. To wyobraźnia przecież każe nam domyslać się, że kiedy nas nie ma (najprościej kiedy śpimy) świat porusza się dalej, a więc, że na świecie istnieje także coś niezależnego od nas. Zgodnie z własnym wyznaniem, w którego szczerość nie ma powodu powątpiewać, sam King nie potrafił zasnąć z odkrytymi nogami ze strachu, że w ciemnym pokoju COŚ wypetnie spod łóżka i chwyci go za kostkę. „Gdy rozum śpi budzą się upiory”. Duchy i wampiry żyją nocą, właśnie wtedy, gdy rozum śpi, a gdy nas „nie ma”, świat może się zmienić, może być inny – a więc groźny. Źródło strachu zawdzięczamy temu, że potrafimy myśleć, jego mechanizm jest jednak biologiczny i zwierzęcy, upiory są groźne, bo nieznane. Mitologie, ludowe legendy baśnie próbowały racjonalizować ten strach siwarzając zaludniające niesamowity krajobraz nocy stworzenia przyjazne, nieszkodliwe lub przynajmniej obojętne. Odnosiły tylko nieznaczny sukces. Gdybyśmy o północy spotkali krasnalę, który przyszedł tylko po to, żeby nam posprzątać dom, tak moglibyśmy umrzeć na alak serca. Z pewnością nie potrafilibyśmy powiedzieć mu: „Cześć, może ci potrzymać śmietniczkę”.

Wyobraźnia jest jednocześnie darem i przekleństwem. Większości ludzi umożliwia spokojne oczekiwanie następnego dnia tłumacząc im, że tym razem wszystko już będzie dobrze, nie spóźnisz się do pracy, nie pokłóciś z żoną, mężem lub dorastającym synem, skądś znajdą się jakieś pieniądze. „Nowy dzień, nowy dolar” – mówią Amerykanie. Świat może przecież w końcu stać się lepszy, a większość z nas lubi sobie wyobrazić, że wie, co to znaczy „lepszy”. Wyobraźnia jest też przekleństwem – bowiem stawia i ponawia nieustannie jedno pytanie, na które nigdy nie potrafimy udzielić odpowiedzi: co się ze mną stanie, kiedy mnie nie będzie? Nie jest to tylko proste pytanie o sen. Jest to także pytanie o śmierć.

Zdolność przewidywania przyszłości ma u dwudziestowiecznego człowieka charakter społeczny. Pies czy chętnie opisywany pawian są również stworzeniami żyjącymi w hierarchicznie ukształtowanej grupie, zachowania człowieka nie reguluje jednak instynktowny egoizm psa czy pawiana. Zwierzę pragnie przewodzić i jest to pragnienie instynktowne – przewoźenie w stadzie nie „łatwia życia”, lecz umożliwia pełniejsze zaspokojenie instynktów (choćby przez bezpośredni dostęp do samicy gatunku). Człowiek pragnie po prostu przeżyć i próbuje działać racjonalnie po to, by zwiększyć szanse przeżycia. Ruchy pokojowe, partie zielonych i obrońców środowiska kształtowane są przez ludzi, którzy „boją się za każdego z nas”. I ze strachu próbują zrobić coś konstruktywnego, choć najczęściej nie wiedzą, co.

Życie w strachu jest więc kondycją ludzką. Strach towarzyszy nam od narodzin do śmierci. Racjonalizujemy swój strach jednostkowy (astrologia podpowiada nam, że to, że się w ogóle urodziliśmy, nie jest żadnym tam przypadkiem) i społeczny (likwidacja broni i AIDS może być zapewne tymczasowym, ale na krótką metę skutecznym panaceum na strach). Tam, gdzie krzykuje się strach świadomy i nieświadomy, jednostkowy i społeczny, racjonalny i biologiczny (zwierzęcy) wchodzi HORROR. Opisuje część naszych strachów, wyolbrzymionych i przypisanych fikcyjnym postaciom. Daje nam chwilę wytchnienia, jest ucieczką i katharsis. King nie robi z tego tajemnicy. Wie, że jego pisarstwo jest eskapistyczne (zapominamy o własnym strachu poznając strach innych) i katastroficzne w tym przynajmniej sensie, że chociaż nie przestajemy się bać, możemy uswiadomić sobie, czego najbardziej się boimy.

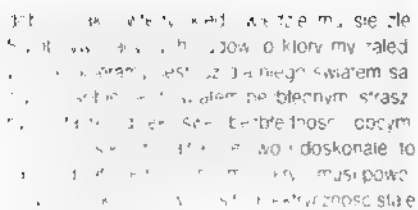
Szalenieć Kinga to właśnie człowiek, w którym strach zabija wszystkie inne uczucia. Ballada o celnym strzale, przyczyna wszystkich poprzednich rozważań, może być oceniana różnie jako dzieło literackie (do tego zagadnienia przyjdzie nam jeszcze wrócić), jako swego rodzaju „esej” o formach odczuwania strachu jest bliska doskonałości.

Skąd ta nieoczekiwana pochwała? Być może ślad, że jedną z podziwu godnych cech mężczyzny imieniem Stephen King jest umiejętność niejako instynktownego zrozumienia strachu, który odczuwa człowiek jako istota społeczna. Jeżeli mam pewne wątpliwości co do tego, czy popularność Kinga dałaby się przeszedzić na polski grunt, to wynikają one przede wszystkim z tego, że społeczeństwo, w którym dostają obłędu jego bohaterowie różni się w pewnych nieznacznych szczegółach od społeczeństwa, do którego jesteśmy przyzwyczajeni.

By móc to lepiej wyjaśnić, przyjrzyjmy się poznanemu niedawno wariatowi imieniem Henry Wilson. Zawód – redaktor. Miejsce zamieszkania – Nowy Jork. O tych dwóch faktach nie wolno nam zapomnieć.

Redaktor Henry Wilson mieszka w Nowym Jorku wcale nie przypadkowo. Środowisko, w którym się porusza jest środowiskiem całkowicie szluzowym, to mury, samochody, neony, biurowce powodują, że dostaje obłędu. Początki alkoholizmu i „genialne” opowiadanie, którego nie może opublikować, są tylko katalizatorami przyspieszającymi reakcję. Henry Wilson żyje w środowisku, które jest jednocześnie nieludzkie i doskonałe. Funkcjonuje ono praktycznie rzecz biorąc bezbłędnie. Światła zawsze świecą, windy nigdy się nie psują, w kuchniach stoją mikrofalowe kuchenki, z sufitów patrzą niesamowitym, purpurowym oknem wykrywacze dymu. Ramą ludzkiej egzystencji wydaje się jakieś inne istnienie, celowe i nieludzkie. Co sprawia że palika zawsze pierze, że magnetofon gra, światło świeci, z kranu leci ciepła woda? SKĄD się wzięła i jaka jest ta tajemnicza siła, która sprawia, że wszystko wygląda właśnie tak, jak wygląda, że z niej się właśnie tak, jak ma się dziać?

Henry Wilson znajduje na to odpowiedź. Wina jest elektryczność. I to swego rodzaju PRAWDA, większość cudów, które istnieją wokół niego i które mają mu ułatwić życie działa dzięki elektryczności. Elektryczność istnieje wokół pana Wilsona zarówno wtedy, kiedy wędruje, jak i

[illegible]

Nikt z nas nie mogłby zwanować tak jak Henry Wilson. Nas psują się praktycznie kucharki od czasu do czasu napęca w siebie spada tak że leje. Wzor przesłanie dla nas sam z siebie brak ciepłej wody benzyny. Nikt nie ogadzał kucharek mikrofalowych chyba że na dalekich wakacjach) Otrzymujemy nas świat techniki nie jest straszny ponieważ jest zawodowy. Znamy inne bardziej bezpośrednie" leki strach cywilizacyjny jest nam jednak całkowicie obcy.

Thorpe nie jest tak konsekwent-  
ny jak narrator Henry Wilsona. Thorpe prze-  
grywa i nie nadąża za swym sukcesem a  
raczej i tak, że za nim nie nadąża. Ten strach  
lęku, który, jakajacy z konieczności natchmnia-  
stwo, wykrzyśla własnego sukcesu. Jest dla  
nas obcy. Jeżeli interesujemy się Thorpem to  
czestość z wyrażnie podane, przez autora su-  
gestie, że o zachowanie jest wzorcowe i ka-  
dy tworzą który odnosi sukces rynkowy przede-  
mnie, zle skńczy. Słuchamy opowieści a

Thorpe pozostaje jednak postacią nieukształtowaną. King prosi nas o to, byśmy uwierzyli, że jest kolejnym wcieleniem miłu szalonego artysty. Można uwierzyć, można nie – tylko on sam mógłby nam w tym pomóc.

Dobrych rad potrafi udzielić każdy. „Ballada o celnym strzale” taka jaka jest wywiera spore wrażenie. Odbija także i nasze lęki, choć nie wszystkie. Jest wehikułem strachu, zbyt luksusowym, byśmy mieli go brać najzupełniej poważnie. Jako czytelnicy jesteśmy z góry postawieni w niekorzystnej sytuacji, niczym Philip Marlowe, który patrząc na Rolfs Royce’a pomyślał: *Chyba ktoś dla kawału zmontował taką gablotę*. No ale przynajmniej wiemy, że Rolfs Royce’y istnieją i jak (mniej więcej) wyglądają. Jako typowy przykład *paperbackwniera* King nie stara się także być zbyt eleganckim, wolno nie mieć nadzieje, że i my znajdziemy w jego opowiadaniu coś najzupełniej, zrozumiałego. Być może nie wszyscy wezmąmy je poważnie, może nie u wszystkich czytelników zwykły horror wzbudzi ochotę do egzystencjalnych przemyśleń, ale wszyscy będziemy umieli w każdym razie ocenić narracyjne zdolności tego pisarza. To one są przecież odpowiedzialne za miliony egzemplarzy jego książek krążących wśród czytelników z całego świata. Te zdolności on sam także ceni najwyżej.

To prawda, pisząc o sobie lubi wspomnieć Faulknera i Dostojewskiego, ale te odrobiny jak ze złoźumafiej próżności możemy mu wybaczyć, że to za nas straszył i bawił. Jako twórca na masowy rynek osiągnął wszystko, co mógł osiągnąć. I jeśli teraz zdecyduje się na stworzenie arcydzieła nie grozi mu już poddasze i głód zimą. Inna rzecz, czy talent dopisze. Kto wie? Pod pseudonimem Richard Bachman zdołał King wydać te książki, których mu kiedyś nie przyjęło do druku. W jednej z recenzji napisano o nich: *Tak mogłby pisać Stephen King, gdyby w ogóle umiał pisać.* Może więc ma on rzeczywiście do zaferowania coś więcej niż tylko walory fabuły?

## Shorty!!!

Fragment portretu nie istniejącego świata, żart słowny bądź sytuacyjny, opowiadanie skondensowane do jednej sceny, do puenty, leniwy, leczyniczny pomysł, który tylko by stracił gdyby rozwozić się nad nim dłużej, paradoks, gra słów, poetycka scenka... oto żywioł short story. Jest to forma-ćwiczenie, forma-eksperyment, coś w rodzaju literackiego słow-rzemu.

Co dostajemy w zamian? Szybki efekt, krótką przyjemność podobną do ośnienia. Ale nie tylko. Smakowanie short story polega także na podglądaniu JAK, a nie tylko CO zostało w opowiadaniu pokazane, zrobione. Short story dając krótką satysfakcję intelektualną, kupia także uwagę na formie. Jest jak pięknie i wymyślnie ozdobiony – nie diament, nie szafir, lecz kryształ górski.

Short story nie jest formą łatwą. Wymaga autentycznej pomysłowości, bowiem sprowadza się właściwie do zrelekcjonowania pomysłu i wymaga zrecznego pióra. Niezbędny jest tu także dar kondensacji i oryginalne, szalone, nawet wariackie, spojrzenie na świat.

Short story mogłaby być zabawą, ćwiczeniem dla mistrzów pióra. W Polsce bawią się nią często debiutanci. Do „Fantastyki” w ciągu tygodnia przychodził kilka miniatur. Wybieram z tego najwyżej dwa tekściki na miesiąc i po roku, po dwu proponuję kolejny zestaw, wiedząc z góry, że nie wszystko się Państwu spodoba.

Mnie też nie wszystkie rzeczy podobają się tak samo.

**Nie short story jest formą niewinną. Nie zajmuje wiele miejsca. Nie rujnuje redakcji, nie przynosi autorom majątku. Nie męczy czytelników... Publikując shorty mogę przedstawić kilkunastu autorów w jednym numerze. I w ten sposób skracam trochę kolejkę czekających na druk w „Fantastyce”.**

Dotychczas w numerach 9/24/84; 12/39/85; 9/48/86 prezentowałem zestawy kilkunastu opowiadań kilku autorów i raz, w numerze 4/55/87 szalone opowiadanka Hotyssa-Hottlanda (pseudonim młodego autora z Katowic).

W bieżącym numerze obok kilku nazwisk już prezentowanych w naszym piśmie, jak Bożena Ryzko, Kraskowski (obaj laureaci Pierwszego Konkursu „Fantastyki”), a także Beszczyńska, Taborska, znajdziecie Państwo autorów debiutujących, bądź znanych z innych tamów, lecz w „Fantastyce” publikujących po raz pierwszy.



## Historia pouczająca

Barbara M neyko

Weszły do ogrodka przez dziurę w płocie i powiedziały:

- My jesteśmy Skunwiszony, mamy tu pozostać

No trudno mówię - ale dlaczego was aż trzech?

- Bo my musimy kolegielnie - mówią - na jeden ogródek ma być po trzech

No trudno. Tylko mi nie przeszkadzajcie

A one mówią

- My mamy właśnie pomagać

Co się stało dalej opowiem, żeby w razie czego nie przeceniać kłopotów wynikłych z konieczności istnienia Skunwiszonów

Pewnego razu wysłałam do Zarządu Ogrodów plan grządki z pietruszką. Plan wypisany wyraźnie przewidywał 10 rzędów pietruszki na mojej grządce. Słonko grzeje, zabieram się właśnie do siania pietruszki, aż tu telefon z Zarządu!

Dziękujemy obywatelce za wspamiętały plan siania pietruszki w 100 rzędkach na jednej grządce

- Matko święta! mówię. - To pomyłka

Nie pomyłka. To wasz plan, obywatelko. Znakomity plan. Musimy dokonać korekty innych planów, bo rozumiecie mówią - jeżeli jedna obywatelka może na jednej grządce siać 100 rzędów pietruszki, to dlaczego inne sięją po 10?

I położyli słuchawkę!

- Matko święta! - mówię, a żeby nie mam do kogo otworzyć

Wolam więc Skunwiszony, żeby chociaż towarzyską mieć z nimi okoliczność. No i wydało się! Plan siania pietruszki oczywiście „uzupełniły” one. Dodały jedno zero na końcu, żeby „nasz”, z tego wynika i ich, ogródek wykazał się. Mówię więc do nich - Skunwiszony jedne, pokażcie jak można na mojej grządce zasadzić 100 rzędów pietruszki

A sięjąć w poprzek rzędkami

- A gdzie na 100 rzędów wyjdzie, to wszystko!

Zasiej pietruszkę na ścieżce - mówią najwyższy, bo były trochę różne.

Ale nie będę mogła dojść do grządki, ani opieścić, ani podlać

- To nic, mówią, ale plan wykonamy. - Znaczą się razem.

No i tak zostało.

Pietruszka wiedla, zarastała, dwa razy wynajęłam za ogromną opłatą helikopter do podlania i jakoś faktycznie wykonaliśmy plan, uh

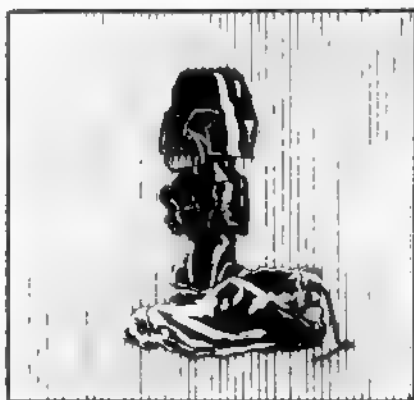
Pewnego dnia Zarząd w ramach reorganizacji koncepcji przysłał chwastobójczy środek, z poleceniem „odchwścić, oczyścić, dokładnie posypać wszystkie grządki”. Przychodzę na drugi dzień po zabiegu i patrzę... A tu trzy Skunwiszony leżą na ścieżce, jeden obok drugiego. Znaczą się, myślę, wydechli. Przyznaję, że odczuwałam szczery żal. Nożki wyciągnęły, brodki sterczą sztywno, oczka zapadnięte

Realnie patrząc na sprawę, myślę sobie, będzie po nowemu, bez Skunwiszonów. Rozglądam się gdzie by tu je pochować, a tu... matko święta, aż mnie zatkało. Każdemu z nich po kolei otwierają się oczka. Nie tak żeby nagle, ale powoli, z niedowierzaniem na światło dzienne patrzą.

- To wy żyjecie!?

- Żyjemy, my tylko przechodziliśmy adaptację. Znaczą się uodparnianie na herbicydy.

No trudno, myślę, może lepiej mieć swoje bądź co bądź Skunwiszony, niż jakie inne niedogadane towarzystwo.



## Zemsta Hewadźry

Andrzej B Boryczko

Po raz pierwszy samotnie przekroczył prog jaskini. Słabe światło recznego luzem wydobyło z mroku makabryczne twarze starożytnych bóstw. Oczy ich lśniły, złowrogo spoglądając na intruza, skierował więc światło w dół, pod nogi. Zreniście posążków zniknęły w ciemności

# SHORT STORIES po polsku

Ze strachem posuwał się wolno na przód. Jeszcze kulkanascie kroków i jego drżące dionie objęły statuetkę. Potworny Hewadźra nie zareagował na dotyk i nadal nieruchomo spoczywał w kamiennej wnecie.

Przez chwilę wahał się, po czym zdecydowanym ruchem podniósł beczenną rzeźbę. W następnym momencie Hewadźra zniknął we wnętrzu worka, a jego miejsce zajął sobowtór - wierna kopia wykonana z bezwartościowego surjalutu.

- Myślę, że nie sprawi ci to różnicy - szepnął i zawrócił do wyjścia

Wybiegł na zalaną księżycowym blaskiem skalną polkę. Oddychając głęboko ostrym i mroźnym powietrzem błyskawicznie przebył kilkadziesiąt stopni kończących się na dnie doliny. Z przerażeniem stwierdził, że jego wierzchołek zniknął.

Na pewno nie odbiegł daleko - pomyślał, kierując się w stronę wylotu doliny. Stopy ślizgały się po twardej, złodowarzałej skorupie. Przyspieszył kroku. Za kilka godzin świt, a przecież ciemnoskorzy przewodnicy w obozie nie mogą się dowiedzieć, że obrabował ich bóstwo. Zabili by go natychmiast. Musi ukryć zdobycz zanim się obudzą

Mijał najtrudniejszy odcinek drogi, gdzie gruba lodowa pokrywa poprzecinana była głębokimi szczelinami. Wystarczył jeden fałszywy krok... Właśnie wykonał fałszywy krok.

Na próżno starał się utrzymać równowagę. Ciężar worka z lupem przesadził sprawę. Runął w dół

Z omdlenia wyrwał go ból w prawym boku. Z trudem unosił głowę spoglądając w górę. Szczelina była głęboka. Najbliższa krawędź gładkich, lodowych ścian znajdowała się na wysokości trzykrotnego wzrostu człowieka

Nie czuł zimna. Ochronna powłoka termixu, którą pokrył ciało, skutecznie chroniła od przejmującego mrozu. Zapadł zmierzch i znowu nastał ranek. W chwilach przebudzenia pomiędzy kolejnymi omdleniami spoglądał z niepokojem na błyszczącego bózka. Hewadźra leżał dokładnie naprzeciw jego twarzy, a wykończone z diamentów oczy odzwajętniały spojrzenie.

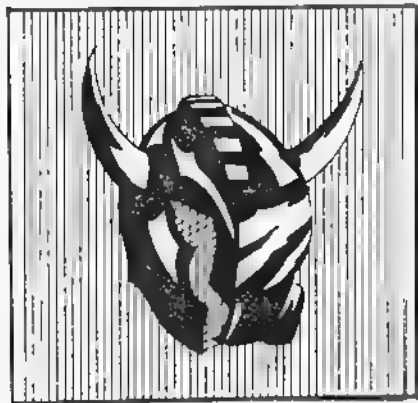
Trawiła go gorączka. Oddechem próbował roztopić lodową skorupę choć na tyle, by zwilżyć wargi. Bezskutecznie. Tracił świadomość. Nie mógł rozpoznać, czy znajduje się w stanie omdlenia, czy już odzyskuje przytomność

- Wody!!! wycharczał ostatkiem sił



Po stromym stoku wznoszącym się ponad szczeliną poza zasięgiem wzroku leżącego zaczął obsuwać się zwał lodowych płyt. Do uszu mężczyzny dobiegał zgrzyt i łoskot lawiny. Dźwięk ten wzmocniony echem odbitym od skał wibrował w powietrzu układając się w wyraźne słowa:

- Myśle, że nie sprawi ci to różnicy



## Tytułowe opowiadanki

Wacław Stec

### Up Side Down

Miliard lat przed końcem świata\* mój stary przyjaciel z piekła, niezmordowany wedrowiec, pokonując non stop dalekie szlaki, wykorzystując wyznaczone na Dzień Tryfidów spotkanie z Ramą, odwiedził słynne Miasto na Górze. W tym czasie jego bliska przyjaciółka, księżniczka Marsa pisała wieczorami kroniki marsjańskie, a w wolnych chwilach wpatrzona w kryształowy sześcian Wenus, oglądała kosmiczny kalejdoskop. Gdy tylko przybył do Miasta, pewien nadziany człowiek z Wysokiego Zamku, mimo że trwała wojna światów, zaprosił go na śniadanie mistrzów dobrej roboty. Opowiedział, jak bron chaosu odparła najazd z przeszłości. Jak zamknięta z przyczyn remontu Aleja Potępienia spowodowała, że jeźdźcy smoków zabłądzili w krainie purpurowych obłoków. Jeźdźcy znikąd nie otrzymali pomocy i pochłonęła ich planeta śmierci.

Tymczasem rycerze na rozdrożach - uznając, że jest im wszystko dozwolone - urządzili piknik na skraju drogi w miejscu, gdzie dawniej śpiewał ptak, żuraw w garści, a teraz stała cieplarnia, w której słoneczna loteria utrzymywała temperaturę 451° Fahrenheita.

Wtedy też wynikła sprawa zabójstwa syreny z Tytana. Nie pomogło jej żadne remedium. Pozytronowy detektyw, komisarz Hard i błękitni ludzie, a byli to zwykli ludzie jak ludzie, odśpiewali pieśń łowców i orzekli, że jej śmierć na żywo jest winą poczwarki. Jednakże ich wróg, czarnoksiężnik z Archipelagu, reprezentujący

wyspa zajęta jest przez ogród czasu, złośliwie zapowiedział, że od dzisiaj poniedziałek zaczyna się w sobotę.

Po tym wszystkim bogowie wojny oświadczyli, że w takich warunkach niezwykle trudno być bogiem. Ostatecznie Miasto i gwiazdy zakryła czarna chmura i nastał koniec wieczności. Zatem zapomnij o Ziemi, bo na dodatek ostatni statek z planety Ziemia obrał kurs na zderzenie.

### In Side Out

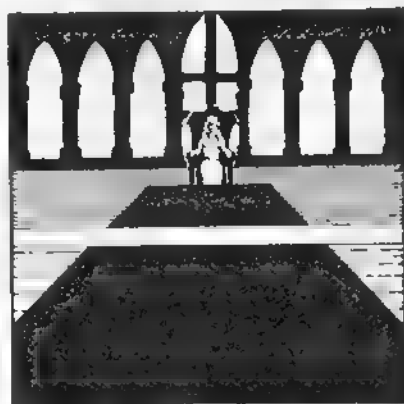
Ponowne stworzenie świata spowodowało, że pierwszy Ziemianin Adam, jeden z nas i już homo divinus, odważył się na wyjście z cienia i przekraczając limes inferior opuścił Eden. Już w połowie drogi stwierdził, że wdepnął w obszar nieciągłości. Nim uzyskał prawo do powrotu, nierzadko objawiała mu się zagubiona przyszłość.

Tymczasem na Srebrnym Globie ludzie z gwiazdy Feriego zbudowali kosmodrom i przygotowali arsenał. Operacja wieczność, według lotra, którym był stary robot, nie była jeszcze w pełni gotowa, a oni czuli się jak senni zwycięzcy syci zwycięstwa, bo powrót z gwiazd był dla nich niemożliwy, jak dla wielu przejście przez lustro.

Leżał twarzą ku ziemi, a znoszony cylinder van Troffa przy nim, gdy torpeda czasu trafiła go w nagł cel. Poczuli wir pamięci, który jak paroksyzm numer minus jeden wstrząsnął nim, a potem była tylko cisza. Niech to świnka powacha, to był niezły numer, pomyślał, ale próba inwazji nie powiodła się im. Tylko fenomen kosmosu sprawił, że próg nieśmiertelności był tym razem dla niego za wysoki.

Po wszystkim wkroczył w strefy zerowe i ta enklawa dała mu uczucie, że jest niezwykleszy. Nie wiedział, że w ten sposób przekroczył ósmy krąg piekieł i... wyrósł mu ogon diabła.

\*. Historyjka pierwsza zawiera 52 tytuły książek fantastycznych autorów zagranicznych. Druga, 38 tytułów książek fantastycznych autorów polskich. Kto chce, niech zgadnie które.



## Audycja

Agnieszka Taborska

- Drogi Książę! Księżna odgarnęła spadający na czoło kosmyk włosów, czy

# SHORT STORIES po polsku

wojska nasze gotowe są do zaatakowania wielkiej armii Wiecznego Wroga?

W Sali Najwyższych Audycji panowała cisza przerywana chrapaniem podwładnych. Od czasu do czasu któryś z nich osuwał się na podłogę i pozostawał tam dopóki Gwardia Błękitna nie posadziła go z powrotem na krześle. Trzykrotne spadnięcie oznaczało wykluczenie z gry.

- Czy wojska nasze gotowe są do zaatakowania wielkiej armii Wiecznego Wroga? - powtórzyła Księżna starając się opamiętać nerwowy tik umiejscowiony trochę powyżej lewego kąćka ust.

Rozległ się hałas spadającego z krzesła podwładnego. Gwardia Błękitna ruszyła truchcikiem w jego kierunku. Każdy z podwładnych miał zatknąć za kołnierz tabliczkę, na której gwardziści notowali liczbę upadków. Przy trzecim upadku Naczelnik Gwardii tupnął w podłogę w miejscu, gdzie leżał czerwony dywan położony tam specjalnie, żeby tupanie nie budziło innych podwładnych. Był to sygnał do wyniesienia leżącego. Szczęśliwie podwładni znali na tyle reguły gry, że rozpadali się sami z chwilą, gdy po raz trzeci dotykali podłogi. Ułatwiało to pracę leniwym z natury gwardziście, którzy starali się wybierać sobie co lżejsze członki bowiem podwładni nie umieli rozpaść się na równe części.

- Czy wojska nasze gotowe są do zaatakowania wielkiej armii Wiecznego Wroga? - po raz trzeci zapytała Księżna nadając swemu głosowi bardziej zdecydowany ton.

W sali pozostało już tylko trzech podwładnych rozpaczliwie walczących z sennością. Gwardia Błękitna niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, oczekując chwili, kiedy po wyniesieniu ostatniego uśpionego będzie mogła pójść do domu.

- Czy wojska nasze gotowe są do zaatakowania wielkiej armii Wiecznego Wroga? - rozległo się jeszcze dwukrotnie w Sali Najwyższych Audycji zanim trzej ostatni podwładni osunęli się na podłogę. Gwardia Błękitna szybciej niż zwykle zebrała ich części i przepychając się ruszyła ku drzwiom.

Księżna powróciła do swego pytania na Sześćset Pięćdziesiątej Trzeciej Audycji. Sześćset Pięćdziesiąta Druga Audycja była skończona



## Ośmiornica

W Markiewicz

Zygmunt późną nocą wracał do siebie, sunąc autem po pustych ulicach miasta. Głowa szumiała mu nieco, jako że grzebał swój stan kawalerski na hucznej zabawie z kolegami biurowymi. Jutro, a właściwie już dziś, bierze ślub z Helenką. Jazda przebiegała bez historii, mimo że w głowie czuł nadmiar alkoholu, kierował wóz sprawną ręką. Latarnie uliczne niki oświecały sunącą ku niemu szosę i anonimowe kamienice o zamkniętych oknach przesuwające się monotonicznie, gdy wtajemniczony na wysokości jednego z okien zauważył jakiś poruszający się kształt. Nie zwrócił specjalnie uwagi, aż nie zbliżył się na tyle by móc dojrzeć, że była to sylwetka ludzka zwisająca w pustocie, na wysokości IV piętra. Była to dziewczyna, trzymał ją za nogę mężczyzna, wychylony na wprost przez okno. Zygmunt zahamował gwałtownie, wyskoczył z auta i słyszał jak mężczyzna wołał coś zduszonym głosem. Na pewno wzywał pomocy i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że znajduje się on u kresu sił.

- Trzymaj, już biegnie! - krzyknął Zygmunt. Jednym susem wskoczył do bramy, przebiegł pędem 4 piętra i znalazł się w wąskim korytarzyku naprzeciw jedynych drzwi, które wyważył pchnięciem ramienia. Podbiegł do okna i uchwycił nogę dziewczyny z mdlejących dłoni mężczyzny. Był już najwyższy czas.

Wszystko odbyło się tak nagle, jak gdyby czas zawieszony w bezruchu zaczął dopiero teraz swój bieg na nowo. Wyczerpany organizm Zygmunta żądał tchu, krople potu ukazały mu się na czole i serce waliło jak młotem. Ona była młodzieńka, blondynka, drobna jak laleczka. Drżała, może z zimna, gdyż niewiele miała na sobie odzieży i w pewnej chwili zaniosła się gwałtownym szlochem i rzuciła się na materac leżący w kącie pokoju.

Mężczyzna był młodym zarośniętym typem hipisa. Jakby akt ratunku wycisnął z niego resztki energii, zneruchomiał, wpatrzony przed siebie jak manekin. Zygmunt nie mógł wydobyć od niego jednego słowa. Czyżby narkotyk tłumaczył sytuację?

Zygmunt rozejrzył się po pokoju. Mie-

szkanie złożone z pokoiku, wneki kuchennej... Skrzynka zamiast stołu, poduszki miast krzeseł. Szukał wzrokiem telefonu, którego najwidoczniej nie było. Czuł się bezradny. Sytuacja nie zmieniła się. Dziewczyna lkała wciąż, rozciągnięta na materacu, zaś mężczyzna wpatrzony przed siebie, mamrotał bez związku. Czy można ich zostawić samych? Nie, ryzyko jest za wielkie. Zygmunt był już zdecydowany dość do okna i wzywać pomocy, gdy - popatrzył znowu na dziewczynę i - coś go wstrzymało. Ona drobna, bezbronna, tak dziewczęca... Leżała wstrząsana cichym łkaniem, blond włosy zakrywały jej całkowicie plecy. Zygmunt poczuł, że nozdrza mu się rozwierają i krew zaczyna bić w skroniach. Położył rękę lekko na jej włosach i cofnął ją ku sobie, patrząc na mężczyznę. Lecz ten wciąż nie reagował, wpatrzony przed siebie, jakby oślepiały. Zygmunt był bezwzględnie panem sytuacji.

Trzeba ją ratować - powtarzał machinalnie, lecz te słowa dyktowała mu czysta hipokryzja. Inna myśl kielkowała coraz wyraźniej i natrętniej: „Bedzie to królewskie pogrzebanie stanu kawalerskiego. Ta laleczka z porcelany, ta tajemnicza nieznajoma, wpadła mu dosłownie w ręce jak manna z nieba. Z tym durniem zneruchomiałym i tak nie można jej zostawić samej, on nie potrafi jej zapewnić bezpieczeństwa...”

Zwrócił się do mężczyzny, z nadzieją, że jak dotąd jego słowa nie dotrą do tamtego świadomości: „Nie można jej tak zostawić. Pan może mieć z nią znowu kłopot gdy stąd odejde. Lepiej będzie gdy... ją zabiorę ze sobą. Mam znajomego lekarza w dobrej klinice, ona będzie pod dobrą opieką.” To mówiąc, okrył dziewczynę swym płaszczem i delikatnie uniósł ją w swych ramionach. Nie stawiała żadnego oporu, ani mężczyzna nie reagował, zagubiony w swym śnie na jawie. Zygmunt jak na rozżarzonych węglach, obciążony swym drogocennym ciężarem, skierował się ku wyjściu. Oczekiwał lada chwila ciężkiej reki spadającej mu od tyłu na ramieniu. Z każdą chwilą czuł się pewniejszy. Ale gdy znalazł się na dole i osadził dziewczynę w aucie, nie miał już najmniejszej wątpliwości, piękna zdobycz należała do niego. Czuł się jaskiniowcem, brutalna prymitywna meskość rozsądzała mu duszę poczuciem podniety nie zaznanej chyba od wczesnych lat młodzieńczych.

Dojechał do siebie, uniósł dziewczynę z auta i przeniósł przez próg jak oblubienicę. Ułożył ją na tapczanie, zapalił przyćmione światło i nastawił płytę o delikatnej romantycznej melodii. Pozostawił ją na chwilę samą i powrócił w jedwabnym szlafroku oraz z kieliszkiem w ręce. Pij, szeptał przykładając jej do warg mocny aromatyczny napój, będzie dobrze, już zobaczysz, że będzie dobrze. Dziewczyna piła bez oporu, zaś on szeptał pocieszające słowa, głaszcząc ją po włosach, po twarzy, owiewał ją gorącym oddechem, przybliżając się coraz bardziej, wreszcie, nie panując już nad sobą, cisnął ją w swych

## SHORT STORIES po polsku

ramionach i zaczął całować i całować bez pamięci

Wtem poczuł się unieruchomiony. Nie zwrócił początkowo uwagi, zamroczony namietnością, gdy wkrótce poczuł również straszny ból i coś zaparło mu oddech. Jego przerażonym oczom ukazało się coś czarnego i bezkształtnego, śliska i chłodna masa klebiła się pod nim, a potworne niezliczone macki okrecwały go i dusiły, ssały soki i życie...

Świtało. W niewielkiej kawalerce młoda drobna dziewczyna szykowała się do wyjścia. Ani jednego spojrzenia nie udzieliła trupowi leżącemu na tapczanie. Na jego bezkrwistej, o papierowej białości skórze widniały straszliwe okrągłe i fioletowe ślady. A w jego szeroko rozwartych oczach malował się wyraz terroru, jakby ostatni obraz, który utrwalił się przed śmiercią przerastał swą potwornością wszystko, co ludzka imaginacja zdolna byłaby pojąć. Płyta na pateronie wygrywała bez przerwy tę samą delikatną i romantyczną melodię.

Nieliczni przechodnie o tak wczesnej porze ze zdziwieniem patrzyli na młodą jasnowłosą dziewczynę w męskim płaszczu, zbyt wielkim dla niej, widocznie nic nie noszącą pod nim. Szła, jakby wiedzioną niezawodnym instynktem, do siebie, ku swojemu znarkotyzowanemu.



## Zostałeś wybrany...

Leszek Kraskowski

Wszystko zaczęło się owego fatalnego dnia, gdy otrzymałem kartkę pocztową, na której ktoś nagryzmolił ołówkiem dwa

słowa: „Zostałeś wybrany”. Od tej chwili niezwykle polubiłem chodzenie tyłem. Oczywiście początkowo nie skojarzyłem faktu otrzymania kartki pocztowej z moim nowym upodobaniem, to ośnienie przyszło dużo później. Chodziłem do tyłu i basta. Przechodnie na ulicy przyglądali mi się dość bacznie, jednak nie przejmowałem się tym wcale. Również milczeniem pomijałem uszczypliwe docinki kolegom z biura. Później przestałem chodzić do pracy, gdyż wieźowiec, który stanowił siedzibę biura zniknął w dość tajemniczy sposób. Początkowo dziwił mnie fakt, iż zdecydowano się rozetrzeć tak nowoczesny budynek, wkrótce jednak przestałem się czemukolwiek dziwić. Ludzie zwracali na mnie coraz baczniejszą uwagę, mimo że starałem się chodzić do przodu. Oni sami byli też jacyś dziwni, ubierali się niemodnie, jeździli w starych samochodach, a słuchawki od mojego walkmana oglądali z niezwykle dużym zainteresowaniem. Okupacje i bombardowanie jakos przeżyłem. Polem było jeszcze kilka wiekszych rozrobek, a najbardziej podobało mi się rozbrajanie zaborców. W ogóle stwierdziłem ze zdumieniem, że świat nie rozwija się w tym kierunku, co powinien. W prasie nagle przestali pisać o rozbrojeniu i strefach bezatomowych, a wręcz przeciwnie – pisali o konieczności umierania za Ojczyznę i Jego Cesarską Mość. Hmm. Jego Cesarska Mość, a na audyencji przekonałem się, że prymityw nie odróżnia dyskietki od intertejsu. Życie miałem za co, gdyż opyliłem swój zegarek kwarcowy za 200 złotych rubli, jednak czasy były bardzo niespokojne. Po dwóch powstaniach miałem już dość środowiska Europy i przenieśliśmy się nieco na południe. Decyzji tej o mało nie przypłaciłem życiem, gdyż facci ubrani na czarno chcieli mnie spalić na stosie. Wydarzenia toczyły się w błyskawicznym tempie i w miarę swoich możliwości starałem się do tego tempa dostosować. Pamiętam jeszcze, że usiłowałem odwiedzić Attylę od idiotycznego zamiaru spalenia Rzymu, chyba bezskutecznie, ale co do tego nie jestem najzupełniej pewien, gdyż wkrótce potem namawiałem Cezara, aby siedział w domu w czasie idów marcowych. Później przez pewien czas słuchałem jeszcze jakiegoś nudziarza, który chciał koniecznie zburzyć Kartaginę. Starałem się odwiedzić drania od tak haniebnego pomysłu i jako odstraszący przykład podawałem Hiroszimą, jednak Hiroszima tego bydlaka w ogóle nie ruszała. Facet miał kręcka na punkcie palenia i orania, więc aby jego destrukcyjne zamiłowanie wykorzystać w jakimś pożytecznym celu radziłem mu spalić i zarość stadion klubu sportowego w Europie Środkowej. Następnie były wesołe numery z Sabinkami, ale dziś jest już spokojnie, i co najważniejsze – chodzę do przodu. Mam nowe zamiłowanie – dokarmiam dinozaury. Na ogonie jednego z tych pocztowych stworzeń znalazłem kartkę z nagryzmołonym napisem: „Pilnuj, aby nie wyginęły!”

To się wie, zostałem przecież wybrany



## Łowca

Leszek Kraskowski

Twarz starca, przeorana licznymi bruzdami i pokryta gestą siecią zmarszczek, wyrażała ogromne oburzenie.

- Stworzyłem świat, kiedy byłem chłopcem – krzyczał do kilkunastoletniej dziewczyny. - Miałem wtedy dwanaście lat i nie byłem nawet bogiem.

- Nieprawda – zaperzyła się dziewczyna. - Gdy tworzyłem wszechświat tydzień temu, nie było pana jeszcze na świecie.

Kiedy zbliżyłem się do nich, tłum ludzi przysłuchujący się kłotni zafalował gwałtownie i rozstąpił przede mną niczym se zamowię wrota. „Łowca” usłyszałem trwożny szept. „Łowca” powtórzył głuchym głosem. Dziewczyna nadal kłóciła się ze starcem, nawet mnie nie zauważyła. Starzec również był tak pochłonięty kłotnią, że nie spostrzegł grożącego mu niebezpieczeństwa.

Wyjałem miotacz. Jego stalowy korpus błyszczał w świetle wschodzącego słońca. Tłum zamruczał, cofnął się. Bali się. W porządku. Lubie, gdy się boją.

Z tej odległości nie mogłem spudłować. Dwa strzały załatwiły sprawę. Po staruszkę i dziewczynę pozostała jedynie garszka pyłu.

- Dobra robota, kolego. - Czyjaś reka poklepała mnie przyjaźnie po ramieniu.

Przedem stanął młody, rosyj chłopak. Do koszuli miał przypiętą niedbalą gwiazdę łowcy.

- Kogo rąbałeś? - zapytał.

- Bogów.

- Tak, ci zdarzają się najczęściej – westchnął. - Dawniej mnie bawili, teraz zaczynają mnie nudzić. Stuknąłem już dzisiaj dziesięciu.

- Niezły połow. - Spojrzałem na chłopaka z uznaniem.

- Trzeba pracować – odparł skromnie. - Szkoda tylko, że tak rzadko trafiają się prawdziwe oryginały. Ta monotonia zaczyna mnie denerwować.

- Tak, bogowie są nudni – przyznałem.

- Ale wczoraj trafiła mi się niezła sztuka. - Twarz chłopaka rozjaśniła się na moment. - Szła środkiem ulicy i wrzeszczała

# SHORT STORIES po polsku

że może to robić naraz z dziesięcioma mężczyznami. Była całkiem naga.

No i co?

- Nic. - Chłopak wydał wargi. - To co zwykle. Polem ją stuknąłem. Niezła była.

- A może to normalna? Może naprawdę mogła...

- Cos ty? Zwariowałaś? Może cię rąbać – zażartował.

Nie spodobał mi się ten dowcip. Spojrzałem nań spode łba.

- Jak myślisz, ilu ich jeszcze jest. Ilu jest tych cholernych wariatów?

- Poł miasta – odparł beztrząsco. - Jakież pięćset, może sześćset tysięcy. Bomby psychotrofowe nie na wszystkich podziałały od razu. Czasem choroba rozwija się w ukryciu przez całe lata.

- Tak, tak, wiem – mruknąłem niechętnie.

- Znalesz Jimmy'ego? - zapytał nagle.

- Jakiego Jimmy'ego?

- McGregora. Chodził w takiej białej cyklistowce. Miał złotą gwiazdę łowcy.

- Nie. A bo co?

- Stuknęli go.

- Jak to? Łowcy stuknęli?

- Tak. Rąbał faceta, który twierdził, że jest księciem Yorku. Potem okazało się, że to był prawdziwy książę Yorku. Zrobił się szum i szef kazał zlikwidować Jimmy'ego. Szkoda, równy był z niego gość.

- Długo jesteś łowcą?

Dwa lata. Na początku to nawet liczyłem odstrzelone sztuki, ale koło setki rachunek mi się zupełnie pomarł, więc przestałem. Najgorsi są ci, którzy udają normalnych. Można się pomylić. W końcu ci normalni też często zachowują się jak wariaci. Czasem zdarzają się też samobójcy. Idzie taki środkiem ulicy i wrzeszczy, że jest bogiem. Co mam robić? Rozwalam go. Co mi do tego, czy to wariat czy samobójca. Teraz, żeby dopełnić samobójstwa, nie trzeba skakać z 20 piętra czy podcinać sobie żyły. Wystarczy wyjść na ulicę i krzyknąć: „Jestem bogiem” i po kłopotach. Tych mi nie żal. Sami tego chcą. Dziewczyna mi szkoda. Parę dni temu podeszła do mnie taka cizia i mówi, że właśnie przyleciała z Europy na małe zakupy.

- I co zrobiłeś?

- Nic. To co zwykle. Przecież Europy nie ma już od dwudziestu lat. Zapalisz? - Podsunął mi pod nos paczkę Lexingtonów.

Gdy zobaczyłem papierosa, zrobiło mi się niedobrze. Zaczęłem wchodzić w trans. Nie mogłem się już opanować.

Nieskonczone mroki istnieją w przes-



# MICHELANGELO MIANI





tworząc – szepnąłem. – Iluzję wypełniającą bezzbręzną czarę goryczy.

– Co?

– Nie lubię grać na mokrym korcie. Można się posliznąć i wpadnąć w otchłan nieskonczoności

Chłopak zaniepokoił się

– Cos ty powiedział?

Jestem księżniczką perską! – wykrzyknąłem radośnie

Byłem od niego o ułamek sekundy szybszy. Nie celowałem. Strzeliłem od razu. Teraz spokojnie rozdmuchiwałem kupkę pyłu, która po nim pozostała. Byłem dumny z siebie. Przecież zaledwie od kilku godzin jestem łowcą. Jeszcze wczoraj byłem bogiem, aż do momentu, gdy spotkałem tego gościa, który chciał mnie sprzątnąć. Nasmiewał się ze mnie. Nie wiedział, biedak, że umiem celnie rzucić nożem i że naprawdę jestem bogiem. Zabrałem mu gwiazdę łowcy i miotacz. Teraz jestem łowcą. Zabijam konkurencyjnych bogów. Czasami wydaje mi się, że jestem księżniczką perską, ale nikomu o tym nie mówię. Wolę być łowcą. Tak jest bezpieczniej.



## Zaraza czasowiana

Michał Łukaszewicz

Jestem stary, ale doskonale to pamiętam. Podobno zaczęło się od budynku Kola Miłosników Ubiegłego Wieku, chociaż tak naprawdę nikt nie wie kto tę zarazę do nas przywłókł i skąd się wzięła. W każdym razie nasze spokojne miasto klasy drugiej stało się odtąd miastem klasy Q. Nie wszystkim to odpowiada, spora część społeczeństwa uważa, że życie w takim mieście jest niemożliwe. Zaraza czasowiana, czyli zaraza miejska, atakuje tylko określone rodzaje miast. Jej ofiarami padają te, które w swej przeszłości były wielokrotnie burzone lub przebudowywane, w których nastąpiło tak zwane „zjawisko przyspieszonego przeciągu form”. Jeśli tylko sto-

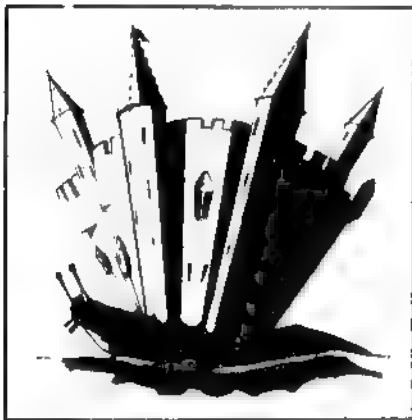
smiu latach przekracza osiemdziesiąt dziesięć koma jeden procent, powstają sprzyjające warunki dla tego niezwykłego zjawiska. Najogólniej rzecz biorąc wygląda to tak, że niektóre miejsca wracają na krotki przeciąg czasu do swej wcześniejszej postaci. Wystarczy jedna cicha i mglista noc, żeby na miejscu współczesnego osiedla wyrosły czynszowe kamienice z końca ubiegłego wieku, albo, przy silniejszym nateżeniu tego zjawiska, sprzed dwóch wieków. W sporadycznych przypadkach pojawia się zabudowa jeszcze z okresu poprzedzającego wojny napoleońskie. Budynki i całe połacie ładu nie płyną wtedy ku przyszłości w zwykły, codzienny i mniej więcej unormowany sposób, ale – jak to określają naukowe raporty „degenerują się ku przyszłości i w osobliwy sposób niedorozwijają”. Rodzi to tyśiąć i jeden problemów, poczynając od konieczności nieustannych interwencji służb specjalnych, które – dajmy na to – zmuszone są nagle wstrzymywać ruch na ważnej magistrali, gdyż w pewnym momencie jeden z jej nowoczesnych węzłów komunikacyjnych okazuje się historycznym skrzyżowaniem regulowanym tylko przemiennością sygnałów świetlnych – poprzez niedogodności wynikłe z natychmiastowego zlotu znajdujących się w stałym pogotowiu historyków, studentów architektury i dziennikarzy działów miejskich lokalnych gazet oraz telewizji – aż po nieuchronne pojawienie się wieloosobowych grup handlarzy staroci i żadnej wręcz młodzieży, która tylko szuka okazji, żeby się zebrać w dużych i trudnych do opanowania zbiorowiskach. Wiesz, że gdzieś w miescie wybuchło nowe ognisko zarazy, syciąga ich błyskawicznie ku wielkiemu utrapieniu obsługujących armatki wodne policjantów. Załedwie minie taka noc, a sączący w biurze poranną herbatkę mieszczuch może sobie przeczytać, że na skrzyżowaniu Spokojnej i Podzwonnej znowu doszło do sprowokowania interwencji sił porządku, w wyniku czego poturbowanych zostało trzystu policjantów. Mimo wszystko nie są to jednak wydarzenia, które zdarzają się często. Bywa, że po prostu umówimy się z kims, na kim nam zależy, na kawę, spożniemy się drobne pięć minut, a tu zamiast kawiarni stoi pralnia chemiczna sprzed lat trzydziestu. Owszem, można wejść, ale nikogo znajomego tam nie spotkamy. Tymczasem narzeczona siedzi jakby nic w umówionym miejscu – tyle że oczywiście nie w pralni, a w znajomej „Cafe Rose”, dziwić się czemu nas nie ma. Zaraza czasowiana miewa jednak niekiedy ogromny urok, bo, jak każda choroba, pobudza do dwumianu Manna! Oczywiście, ludzie interesu nie będą w tym widzieli żadnego sensu, ale dekadenci bardzo to lubią. Bez zarazy życie na pewno toczyłoby się szybciej i sprawniej, a może nawet wydajniej, gdyż tego typu niespodzianki raczej opóźniają jego bieg, tym niemniej dla niektórych nagle czasowe uskoki mają swój cudowny sens. Rząd pragnąłby jednego: Wiedzieć gdzie i kiedy, oraz na jak długo zjawisko to wystąpi! Może wtedy udałoby się jakos

## SHORT STORIES po polsku

przeciwdziałać, może przestaloby występować? Żeby je jednak zbadać trzeba wiedzieć nieporównanie więcej niż wiemy. Bo cóż wiemy? Że teoretycznie możliwość powstawania uskoku czasowych odkryta została już za czasów Einsteina, tyle że miały one trwać nie dłużej niż ułamek nanosekundy, i że później jakoś te nanosekundy zamieniły się w sekundy, a sekundy w kwadransy, te zaś, w końcu, w stulecia. Ale dlaczego, dlaczego? Czy przez atomy? Bardzo możliwe, że pewna część atomów ma w tym swój udział i nie chce podporządkować się ogólnej regule, która każe im siedzieć spokojnie na swych miejscach, o ile nikt nie sprowokuje ich do czynów desperackich – tak to przynajmniej próbują wyjaśnić neoheisenbergiści. Dlaczego jednak już nie atomy, ale całe budowle robią zupełnie coś innego niż powinny, czy trawi je jakas rozprzestrzeniacza się niechęć do współczesności, niemoc trwania, anomalia, zaraza? I co ją w takim razie powoduje, co tę naszą materię tak drażni? Nikt dziś jeszcze na te pytania nie umie odpowiedzieć. Czy zresztą tego rodzaju hipotezy mają jakis sens, skoro atomy mimo całego ich ludzkiego podobieństwa nie są przecież bez względu na okoliczności tożsame, a więc te ze współczesności na pewno nie są tamtymi ze zburzonej nieodwołalnie przed wiekami Resursy Kupieckiej, która pojawiła się nieoczekiwanie w ubiegły wtorek na środku placu Astronautów? Atomy atomami, przestrzeń przestrzenią, czas czasem, a zagadka musi się kryć gdzieś indziej. Może to znamie naszych lat, signum temporis nabrzmiewających problemów współczesności? O, jakże inaczej było jeszcze tak niedawno, gdy naukę trapił tylko problem znikania statków w Trójkacie Bermudzkim, albo wcześniej, gdy skutecznie uporano się z problemem zarazy ziemianczanej. Dziś trzeba się niestety pogodzić z brakiem rozwiązania i opracowując do-razne metody łagodzenia niebezpieczeństw, czekać. Czas na pewno przyniesie rozwiązanie i być może będzie to rozwiązanie kapitalnie proste. Trzeba po prostu czekać. Nic nie pomoże gorączkowe rozpytywanie przypadkowo spotkanych w centrach takich anomalii ludzi z przeszłości. Oni także nic nie wiedzą i jak my bardzo się tym zjawiskiem niepokoją.

Kiedy przechodziłem wczoraj ulicą, przy której mieszkałem długi czas w dzieciństwie, doszło do pięciosekundowego wyładowania wstecznego. Zamarłem ze wzruszenia. Tak, to była ta sama ulica! Któryś z jej chłodnych i wczesnowiosennych poranków, gdy przez warstewkę mgły świeciło młodsze o więcej niż pół

wieku słońce, a z obu stron wznosiły się ogrodzenia i baraki przycupnięte u stóp pozostawionych tu przez wojnę gruzowisk. Przeszedłem kilka kroków po chodniku ułożonym z odłamków płyty i ujrzałem kogoś, kto nadchodził z naprzeciwka, jak ja oddychając białymi kłębami pary. Wpatrzyłem się jak we własny sen w jego obramowaną słońcem sylwetkę i krzyknąłem, gdy noga nagle nie napotkała już tamtego pogruchotanego chodnika, a ja znów omsknąłem się w grudniową teraz niejszość mojej starości



Zofia Beszczyńska

## Drzewa

Gdy obudziliśmy się rano, wokół nie było ani jednego drzewa. Podobno w nocy niektórzy widzieli tysiące, miliony czy nawet miliardy startujących z Ziemi rakiet. A więc tyle czasu byli tu z nami, a my nic o tym nie wiedzieliśmy!

## Ślimak

Zatrzymałem się, gdy przechodził w poprzek mej ścieżki: był dziwny. A właściwie jego muszla, jego - dom. Wysoka krucha konstrukcja przypominająca świątynię gotycką lub superawangardowy wieżowiec. Albo nadreainą wieżę. Potrąciłem go, może niechcący, może na wpol świadomie, chcąc dotknąć, zbadać - wtedy muszla rozprysła się. Lecz z jej ruin zaczęły wypadać one: miniaturowe, wszystkie z podobnymi budowlami na grzbiecie. Pełzły, pełzły, i robiło się ich coraz więcej, więcej, jakby rodziły się z tych drobnych okrucichów... i Boże, jeszcze pełną.

## Komary

Człowiek siedł przez pustynię, nekany pragnieniem. Wokół niego cieżko krążyły muchy i komary, i komary. całe ciało miał obolałe od ich ukąszeń, całą skórę upstrzoną ich trupami.

Zatrzymał się, nim jeszcze ujrzał wodę, najpierw dobiegł go jej świeży zapach, jej cichy śpiew

Potem padł na kolana, na brzuch i pił z nabożeństwem, gdy nagle przyskonił go o-

gromny cien i silne uderzenie zmiażdżyło mu kregosłup.

Po chwili cien znikł, i tylko ciało człowieka leżało nieporuszone na nagiej skorze ziemi

## Zielone miasta

Zielone miasta drżą w powietrzu jak liście, a plan ich ulic przypomina delikatne siatki żyłek. Ludzie tam mieszkający są przejrzyści i lotni, strzec się muszą najłżejszego nawet podmuchu wiatru

Podobno miasta te gnieźdzą się w gałęziach drzew, a jesienią razem z liśćmi odlatują do ciepłych krajów



## W potrzasku

Ewa Lipska

Obudziłem się z bólem głowy. Znowu nie dali mi spać. Chodzili po mieszkaniu, trzaskali drzwiami, przebierali się w moje garnitury, koszule, śpiewali sprośne piosenki. Znowu wypili mleko, gin, sok z czarnej porzeczki. Wypełzali z leżącego na biurku maszynopisu, szeleszcząc przy tym bezwstydnie. Kilka kartek spadło na podłogę. Słyszałem wyraźnie ich szepty i śmiech. Porzucali zdania, do których byli przypisani, sylaby, nawiasy. Wyginali je przy tym i naruszali znaki interpunkcyjne. Kilka wykrzykników poniewierało się w rogu pokoju. Samowolnie odrywali się od czasowników i okoliczników miejsca. Sytuacja wymykała się z moich rąk. Coraz poważniej zaczynałem myśleć o skreśleniach. „Skreśl!” „Wszystkich skreśl!” postanowiłem, polykając dwa proszki od bólu głowy. Do tego wszystkiego musiałem iść na pogrzeb. Ale czyj pogrzeb? Muszę sobie koniecznie przypomnieć. Zacieły się we mnie obrazy, te realne z wymyślnymi. Teraz była to już jedna wielka popielata chmura wisząca nad moim domem. Z tymi niewesołymi myślami udałem się w kierunku cmentarza. Byłem już w tym wieku, że umieranie stało się czymś normalnym. Pojawia się najwyczajniej, koło czwartej po południu jak tramwaj na podmiejskim przystanku. Zajeżdża, otwierają się automatyczne drzwi.

# SHORT STORIES po polsku

Dzwonią dzwonki. Zrywa się wiatr. Wsiadam i kasuję bilet w nieczynnym kasowniku. Temperatura na cmentarzu, którą odczytałem z elektronicznego zegarka, wynosiła - 35 stopni C. Patrzyłem, jak marzną żywi, ruszając rytmicznie nogami, owinięci szalikami, futrami, w czapkach i nausznikach. Do tego wszystkiego trumna nie chciała się zmieścić w grobowcu. Musiano ją wkładać w pozycji pionowej. Słychać było szelest przesuwającego się ciała. Ciało? Zdawało mi się, że to tylko bukiet niesmiertelników. Pogrzeb niesmiertelników? Ktoś mówił, że nieboszczyk nosił zawsze za duże koszule, za długie płaszcze, za szerokie kapelusze.

Trumnę też napisał mu za dużą - powiedział ktoś szeplem.

„Napisał”? W mojej sztuce teatralnej nikt nie umarł. Może to czyjeś opowiadanie? Czyjś inny bohater? Kto napisał? To przecież nasz szkolny kolega. A to jego żona w czarnym kapeluszu. Z czarnymi skrzydłami. W czarnej peruce - powiedziałem do sąsiada. Ale on pokiwał tylko głową. Ściągnął czapkę. Otrząpiał ze śniegu.

- Co ty tu robisz? - zawołałem. - Co tu robisz? Dlaczego opuściłeś ostatnie zdanie? Dlaczego zmieniasz bieg wydarzeń?! Do tego ubrany jesteś w zwoje papieru i moją białą koszulę...

- Powiedziano mi, że to pana pogrzeb, myślałem, że wypada przyjść... Wszyscy jesteśmy...

Rozesmiałem się. Kilka osób spojrzało niechętnie w naszą stronę. Zdało się, że ktoś zaapelował o ciszę. Mój sąsiad zaczął się oddalać. Szedł cmentarną aleją. Miał na sobie za długi płaszcz (ach, gdzie te zwoje papieru...) i za duże buty. Odchodząc powiedział jeszcze „pomyliłem się”. Pobiegłem za nim i chwyciłem go za rękaw.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - krzyknąłem.

Odwrocił się gwałtownie. Omal nie zemdlałem. Patrzyła na mnie młoda, prawie dziecienna twarz

- Przepraszam, pan mnie chyba z kimś pomylił - powiedział uprzejmie.

Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Patrzyłem na jego buty

Podobają się panu? zapytał kupiłem je od kolegi, ale trochę za duże.

- Bardzo mi się podobają. Są po prostu wspaniałe!

Więcej się nic nie zdarzyło. Mogiły pokryły wieniec. Wygłoszono kilka przemówień, ktoś coś zaśpiewał. Ktoś zawołał:

„Bądź zdrów kolego!” Wdowa otworzyła pudełko czekoladek i czesowała obecnych. Czekoladki nadziewane były marcepanem. Ustawiliśmy się w kolejce, niektórzy po dwa razy, niektórzy trzy. Wreszcie pudełko było puste. Wyglądało jak biała trumna. Po powrocie do domu wypilem szklanke kefiru, zamknąłem szczelnie okna i drzwi, aby nie przenikał przez nie mróz. Usiadłem przy biurku i spojrzałem na maszynopis. Kartki były pogniecione i poplamione sokiem z czarnej porzeczki. Zdania poprzekrzywiane. Bohaterowie mojej sztuki tak niegdyś zdyscyplinowani sprawiali mi coraz więcej kłopotu. Zachowywali się jak terroryści. Najpierw zburzyli mi pomysł, a potem wysadzili w powietrze miejsce akcji. I jeszcze ta dzisiejsza noc, ucieczka z maszynopisu... Oczywiście mogłem ich wszystkich skreślić, zlikwidować jednym ruchem pióra, ale nie miałem na to siły. To miało być przecież arcydzieło! Wielki dramat! Już słyszałem wielominutowe oklaski. Kłaniałem się tłumom. Odbierałem bukiety kwiatów, gratulacje, nagrody. Pisano o mnie wszędzie, pozdrawiali mnie życzliwie sąsiedzi, podziwiali kobiety. Zgłosiła się do mnie karlica z miejscowego cyrku, abym z niej zrobił bohaterkę kolejnego dramatu... To byłoby wspaniałe! Wiatr rozwiewałby różnojęzyczne plakaty...

- Arcydzieło! - zawołałem głośno.

W tym momencie za moimi plecami rozległ się śmiech. Straszny śmiech. Odwróciłem się gwałtownie. Zegar patrzył na mnie przerażony, łąka na obrazie połówki. Powoli wstałem i zapaliłem wszystkie światła. Zajrzałem do każdego kąta i kosza na śmieci. Nikogo nie było. Podbiegałem do biurka i zacząłem skreślać. Słowa, zdania, całe stronic. „Zaczę od początku” - myślałem - „zaczę od początku, zrobić sobie plan, dokładną analizę akcji, zmienię bohatera...” Potem każdą kartkę przedzierałem na pół, a nawet kilkakrotnie. Wyrzuciłem wszystko do kosza, przygotowałem nowy papier, pióro, atrament. Kiedy usiadłem przy biurku zagwizdał czajnik. „Przecież nie stawiałem wody” - wyłączyłem gaz i zrobiłem sobie wymuszoną herbatę. Zauważyłem, że w łazience leje się woda. Chcąc nie chcąc, wykapałem się. Zaczęło mnie to bawić. „Nawet wygodne. Taka niewidzialna gospodyni domowa...” Ale już mniej zabawne było to, iż cały nowy papier zapisany był starą wersją sztuki, ale - o dziwo! - moim własnym piśmem! Do tego wszystkiego ktoś zaczął w przedpokoju. „To pewnie płaszcz” - pomyślałem i odwiesiłem go do szafy. To, że zegar stanął, zupełnie mnie już nie zdziwiło. Zażyłem proszek nasenny i położyłem się na tapczanie. Śnił mi się młody człowiek z alei cmentarnej.

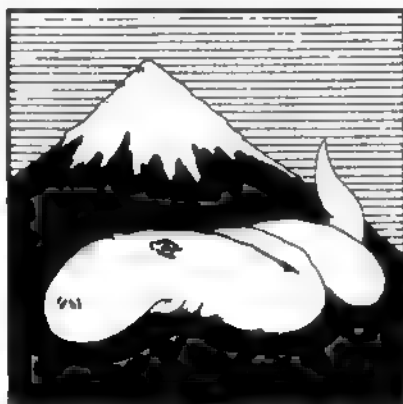
- Podobają się panu te buty?
- Są wspaniałe!

Czy pan już kiedyś umierał? zapytałem go, ale on roześmiał się tylko głośno i serdecznie.

- Podobają się panu te buty? Mam jeszcze butelkę szampana. Hiszpański. „Brut

Zero, Castellblanch”. Wypijemy? Pańskie zdrowie! Jutro wyjeżdżam...

W tym momencie rozległ się wybuch. Obudziłem się. Z trudem znalazłem kontakt. Zaszewiłem światło. Pobiegłem do kuchni. Na stole stała butelka szampana, z której wypływała pniąca się rzeka. Cała kuchnia była zalana. Na stole leżała kartka: „Wyjeżdżam. Buty leżą w szafie. Do zobaczenia”. Pobiegłem do szafy. Kiedy ją otworzyłem, zamarłem. Była pusta. Co stało się z moimi koszulami, ubraniami, bielizną? Nie było też walizek. W rogu szafy leżały buty. Te same buty, o których rozmawialiśmy. Kiedy chciałem je wziąć do ręki, rozpadły się. Były z papieru. Lewy był kopią prawego, a raczej były to dwa lewe buty... Chciałem zatelefonować na policję i zgłosić kradzież, ale telefon był nieczynny. Zresztą, co mogłbym im powiedzieć? Wróciłem do przedpokoju. Na wieszaku wisiał parasol. Spojrzałem na niego z czułością. Zdjąłem go z wieszaka i otworzyłem. Usiadłem przy biurku i przeczytałem swoją sztukę. Może nie jest taka zła - pomyślałem. W lewej ręce trzymając otwarty parasol, prawą sięgnąłem po pióro. Już chciałem napisać: „Drugi akt”, kiedy zauważyłem, że pióro nie ma stalówki. Za oknem słychać było wiejący wiatr. Biała zadymka przyklejała się do okien.



## Trzy fikcje

Andrzej Knapik

I  
Na ośnieżonym szczycie Czatyrdahu żyje olbrzymi, biały robak. Zowie się - nie wiadomo dlaczego - Abizulal.

Tyle tylko o nim wiemy. I oto już zaczyna - podobny do olbrzymiej, białej dżdżownicy - pętać po śliskich zboczach góry. Może również, spłoszony krzykiem orla, wwiercać się błyskawicznie w mięsz, pozostawiając pod nim w parującym błocie półprzezroczyste bryły, wielkie jak strusie jaja. Wydalaniu ich towarzyszy straszliwy grzechot, po którym Abizulal znika w metnej przestrzeni lodu.

Bardzo możliwe, że gdyby ktoś rozciął go, powoli wypłynęłyby z jego wnętrza

sine krople ręki zamiast krwi i tego co zwykle miewają w sobie zwierzęta albo ptaki.

II

Na tejże górze, a zupełnie inaczej i osobno, jest Wielki Poeta. Każdy wie, że jest tam jakoś, najczęściej w postaci płaskiej plamy, z twarzą ujętą z profilu, w narzuconym niedbale futrzanym okryciu.

Jest to twór niemniej dziwny niż Abizulal, ale sztywniejszy w sobie, bardziej uporządkowany. Jego sąsiada nafaszerowaliśmy ręką i - jak widzieliśmy - nabrał od tego nawet specjalnego wigoru. A z Wielkim Poetą nie tak łatwo. Jest stworzeniem bardziej wybrednym i delikatnym. Ale są tam razem na szczycie Czatyrdahu, zamknięci w dwu równoległych fikcjach, niby owady w bryłach bursztynu.

Nawiedzają nas chwilami we śnie, albo na jawie, albowiem obaj mają naturę wampirów: żywią się naszą krwią, z której odcodzą potrzebny im Czas oraz Przestrzeń.

III

Jest równie, chociaż zupełnie inaczej, szalone, upalne lato. Po niebie mkną ku górą białe obłoki o kształcie konia z rozwianą różową grzywą. Studnie powysychały. Kołysze się w nich tylko echo, ciężkie prawie jak woda. W ogrodach umiera zielen, pełna jeszcze cierpkich jabłek.

Po zamkowym dziedzińcu przechadza się Król. Roztrąca butami żółknące łodygi trawy, płoszy szare jaszczurki (ich ucieczki są jak smagnięcia batem).

Król śpiewa bezwiednie Modlitwę:

„Syp popiołem Panie Złoty  
W oczy nasze usta nasze  
Nie będziemy spać ni czuwać  
Ni ogień nas nie przestraszy  
Pobiegniemy tylko szybciej  
Nie tykając stopą ziemi  
Szare oczy szare usta  
Zapomniani - odmienieni!”

Monarcha jest bez korony. Siwe, spocione włosy połyskują na jego głowie niby srebrny hełm

Kiedy zbliża się do muru okalającego dziedziniec, widzi w dole, na łąkach, jeźdźców. Cwatają pojedynczo i grupami w swoich błękitnych i białych zbrojach. Niektórzy zatrzymują się, wskazując wyciągniętymi rękoma na zamkowe wieże i - wie o tym, choć nie słyszy ich głosów - śmieją się. Wydaje mu się nawet, że widzi



ich białe zęby błyskające z daleka, ale to oczywiście złudzenie.

Na wieżach z monotonnym pomrukiem kręca się wielkie czarne skrzydła wiatraków.

Król wzdycha głęboko, odwraca się ku schodom i starczymi, niepewnymi krokami podąża do drzwi. Tu przystaje i jeszcze raz spogląda w dół. Poniżej linii horyzontu widzi ciemne ruchliwe plamy. Jeźdźcy zniknęli spod murów. Kiedy jednak podniósł do oczu lornetkę, widzi ich znowu. Krążą wokół owych plam, w których rozpoznał niewielkie grupy wynędzniałych postaci ludzkich, ciągnących z wysiłkiem olbrzymie armaty na żelaznych, wysokich kołach.

Król wzrusza ramionami, odwraca się i popycha ciężkie skrzydło drzwi. W hallu stol już na stoliku taca z Pożywieniem. Machinalnie wrzuca do ust dwie brunatne kostki i udaje się do Gabinetu.

Tu Król bał się najmniej, mimo że przedmioty zalegające bezładnie każdy kąt pomieszczenia były zniszczone i dziwaczne.

Były to Księgi, w tym pożyczki Atlas Gwiezdny, był Skafander – wyłuszczone, spekany miejscami jak stary pergamin, był Młotek Geologiczny i całe stosy drobniaków.

Król zabawiał się tu kiedyś w Zapominanie.

...Ogląda się dokładnie jakąś Rzecz, a potem niesie do Gabinetu, zamyka oczy i wali w nią Młotkiem. Następnie, nie otwierając oczu, robi się jej Zdjęcie, które zabiera się ze sobą, a rzecz zostawia zakrytą Ręcznikiem. Wszystko to po omacku, z zamkniętymi oczyma... Powtarza się te czynności do czasu, gdy się już nie wie gdzie i jakie robione były zdjęcia. Szuka się ich.

Okazują się puste (nie ma na nich nic prócz bieli) albo jest kryształowy puchar – na przykład – ale cały, bez skazy. Ale gdy nam się przypomni Młotek, to puchar rozpada się wstydliwie, albo nawet całkiem znika.

Niektóre Rzeczy wychodziły na zdjęciach solidnie. I pokiereszowane jak trzeba i wyraźnie widoczne. Szedł potem Król do Gabinetu i zastawał tam zamiast stu Rzeczy tylko kilka – przeważnie starych i w dodatku podziobanych Młotkiem.

Ten to Gabinet nazwał kiedyś Gabinetem Prawdy, a potem już tylko Gabinetem.

Żałowałem teraz. Patrzył na te rupiecie – beużyteczne i niedzne – i żałował siebie i ich. Prawda nie ma w sobie nic wspaniałego. Jest pozbawiona głębi i, jeśli jest całkowita, nudzi.

Po Epoce Rzeczy była zabawa w Terror, czyli Epoka Ludzi. Ach! Cóż za czasy. Koterie i kliki, intrygi i donosy... Cała ta zgraja klebiąca się wokół tronu w krwawej mgie. I Ona, Królowa – coraz bledsza, znekana, płacząca po nocach, kiedy udawał sen...

Zostali wreszcie we trójkę: KRÓL, Królowa i Kapłan. ...Przestraszył się Prawdy i kazał im odejść. Teraz tęsknił za nimi i bał się ich zarazem. Wodził oczyma po Prawdziwych Rzeczach i myślał o tym, czy jest jakies Tam – dokąd odeszli, czy tylko Nic, białe jak niektóre z jego starych fotografii.

Król wszedł do świątyni, rozejrzał się po jej ciemnym wnętrzu i niezdecydowanie zbliżył do Ołtarza, pokrytego mrowiem różnokolorowych szkielek, z których tylko dwa świeciły czerwono.

Położył dłoń na czarnym drążku, obok którego widniał srebrny napis „The End”. Pomyślał, że to imię któregoś z bogów. Może tego, o którym stary Kapłan mawiał: „On jest. I dokąd jest – jesteśmy i my. Albowiem On jest naszym światem, a świat jest Nim”.

Ale kiedy przesunął dźwignię nie stało się nic. Rozczarowany wyszedł na zewnątrz. Zobaczył tym razem naprzeciw zamku wysokie szanice, na których polyskiwały już czarne paszcze armat.

Wydawało mu się, że daleka, nikła na tle płaskich przestrzeni tak sylwetka, to postać Kapłana.

Nie chciał się jednak upewniać. Ścisnął w dłoniach lornetę, ale nie podniósł jej do oczu. Czekał na pierwszą salwę myślał o tym, że jeśli przesunął dźwignię, powinny zgasnąć czerwone lampki. Czyż nie mówiła Modlitwa:

„Świat ten o Panie  
Zgasi któryś z nas  
Czerwone światła zbledną  
A czarny palec śmierci  
Wskaże otchlań  
Być może – nowego snu”?

A potem pomyślał, że dźwignia też jest Rzeczą – i z chytrym uśmieszkiem na zwiedłych wargach potruchtał znów do Gabinetu – po Młotek, Ręcznik i Aparat Foto, zapominając na chwilę o dziwacznej armii naszykowanej do szturmowania murów jego zamku.

# SHORT STORIES po polsku



Ilustrował Tomasz Zakrzewski

## Ekspedycja do krawędzi czasu

Małgorzata Kondas

Ojca Wandy poznałam wiele lat temu. Byliśmy wtedy małymi dziewczynkami, a on młodym przystojnym mężczyzną. Teraz jesteśmy paniami w średnim wieku, a on... On wygląda nadal tak samo, chociaż nie można powiedzieć, żeby się nie zmienił. Z podróży kosmicznej wrócił ciężko chory. Objawy jego choroby są niezwykle. Nie wiem nawet, czy w naszym ziemskim rozumieniu tego słowa, są rzeczywiście objawami choroby. Jego wygląd zewnętrzny nie uległ najmniejszej zmianie. Pozostał młodym, przystojnym mężczyzną, którego zachowanie stało się niestety zupełnie niezrozumiałe.

Pamiętam dzień jego powrotu z najdłuższej w dziejach ludzkości podróży kosmicznej. Byliśmy razem z Wandą na lotnisku, gdzie kosmonautów oczekiwali tłumy reporterów z całego świata oraz niezliczone delegacje naukowców i polityków. Wyglądało to tak, jakby cała ludzkość domagała się uczestnictwa w sukcesie, jakim niewątpliwie była dziesięcioletnia podróż rakieta osiągnąca prędkość zbliżoną do prędkości światła. Pomyślałam, że jeszcze tak niedawno uczeni wypowiadali się autorytatywnie o fizycznej niemożliwości uzyskania takiej szybkości. A oto za chwilę stanie przed nami pięciu bohaterów, którzy przez dziesięć lat podróżowali doganiając niemal światło!

Podano komunikat o pomyslnym lądowaniu rakiety w bazie, skąd samolot przewiezie ich na lotnisko. Względnie bezpieczeństwa, niestety nadal, nie pozwalają na uczestniczenie publiczności przy lądowaniu rakiety. Poza tym w bazie nie było możliwości pomieszczenia takiego tłumy.

# SHORT STORIES po polsku

- Czy sądzisz, że ci ludzie rzeczywiście interesują się wynikami badań naukowych? - spytałam Wandę, pokazując nieprzebraną ciżbę.

- Nie bądź naiwna. Większość z nich nie ma nawet pojęcia, co było celem podróży.

- Za to akurat nie potępiłabym ich „Ekspedycja do krawędzi czasu” - jak nazywał wyprawę znany publicysta nie musi przemawiać do każdej wyobraźni, zwłaszcza że środki masowego przekazu dość niejasno poruszały temat hipotetycznego zagrożenia Ziemi.

- Najważniejsze, że katastrofiści znowu nie mieli racji. Już sam powrót rakiety jest na to dowodem.

- Strasznie ciekawa jestem szczegółów. Wpadnę do was któregoś dnia, jeśli pozwolisz.

Nie usłyszałam odpowiedzi, bo oto właśnie wylądował samolot i kołował na plac z trybuną honorową. Kiedy stanął, wszyscy w napięciu czekaliśmy na ukazanie się pierwszego kosmonauty. W moim odczuciu chwila ta była nieskonczenie długa. Wreszcie zobaczyliśmy kapitana załogi. Schodził bardzo długo wśród owacyjnych oklasków. Na dole, obsypany kwiatami, został zaprowadzony na trybunę.

Drugim był ojciec Wandy. Wysoki, przystojny blondyn - dokładnie taki, jakim zapamiętałam go z dzieciństwa. Lubili żartować, że gdyby miał o dwadzieścia lat mniej, to by się ze mną ożenił, bo z pewnością wyrosnę na śliczną pannę. Te żarty przypisywały mnie o rumieńce. Może nawet dzieciennie podkochiwałam się w ojcu koleżanki. Już wówczas pisały o nim gazety i wszystkie w szkole zazdrościłyśmy Wandzie. Teraz pan Stanisław wyglądał jakby się jego życzenie spełniło i miał rzeczywiście o dwadzieścia lat mniej.

On również schodził bardzo wolno, wolno również podniósł rękę w odpowiedzi na pozdrowienia. Jego ruchy przypominały te, jakie widziałam na starym filmie z pierwszego pobytu ludzi na Księżycu, chociaż nie mogły być przecież spowodowane słabszym przyciąganiem. Grawitacja ziemską jest taka sama dla jej stałych mieszkańców, jak i powracających z najdalszej nawet podróży. Później zauważyłam, że każdy z pięciu kosmonautów zachowuje się podobnie. Ich mowa i ruchy były znacznie powolniejsze od przeciętnych.

Teraz, kiedy o tym piszę mam wątpliwości, czy jednak nie dorabiam faktów do teorii, która zaświtała mi w głowie znacznie później. W każdym razie nikt z witających nie dał po sobie poznać, że zauważa coś niepokojącego w zachowaniu kosmonautów.

W parę dni później wpadłam do Wandy, z nadzieją że zastanę jej ojca.

- Musisz uzbroić się w cierpliwość - powiedziała przyjaciółka. - Badania kontrolne potrwać trzy miesiące.

- Wobec dziesięcioletniej nieobecności, to w końcu nie tak wiele. Miałas może spo-

sobność zamienić z nim kilka słów, zanim zabrano go do kliniki?

Tak. Głos Wandy był zdecydowany i chociaż urwała na moment, byłam przekonana, że chce powiedzieć mi coś ważnego. - Tak powtórzyła. Nie jestem tylko pewna, czy dobrze go zrozumiałam. Cała ta hipoteza katastroficzna jest dla mnie zbyt skomplikowana. Ojciec mówił wolno, ale używał nieznanym mi określen i w sumie zrozumiałam tylko że informacje podawane do publicznej wiadomości nie we wszystkich pokrywają się z faktami.

Łato tego roku było nieznosnie upalne, a jesień nie przyniosła spodziewanego wytchnienia. Obfite deszcze nie chłodziły wystarczająco rozgrzanej ciaglej ziemi. Przyszedł grudzień i na gwiazdkę spadł wreszcie śnieg. Topniał właśnie, kiedy szłam odwiedzić Wandę i jej ojca.

Przyjaciółka przyjęła mnie z zakłopotaną, smutną twarzą

- Co się stało? - spytałam.

- Z ojcem jest niedobrze.

- Wezwałas lekarza?

- Nie. To oni, lekarze przywieźli go w takim stanie do domu

- Dlaczego?

- Choroba ojca jest nie do wyleczenia i będzie się potęgowała. Tak powiedzieli.

- Czym się objawia?

- Apatią. Nic nie mówi. Nie umiem się z nim porozumieć.

- Czy mogę go zobaczyc?

Chodź - Wanda wprowadziła mnie do pokoju, gdzie na fotelu siedział jej ojciec. Z wyglądu nadal przypominał raczej jej brata. Na moje pozdrowienie nie odpowiedział, ale wydało mi się, że wyraz jego twarzy powoli ulega zmianie, aż do momentu, kiedy z całą pewnością można go było nazwać uśmiechem

Jeśli był człowiekiem chorym umysłowo, to z pewnością nie należał ani do furiałów ani osób otepiatych. Jego inteligentne oczy wyrażały zainteresowanie, co więcej robił wrażenie, jakby chciał nam coś powiedzieć.

- Czy pan nie może mówić? - spytałam.

On nie rozumie mowy, chociaż słucha nadal dobry - wyjaśniła Wanda.

- Probowalas porozumieć się z nim w inny sposób?

- W jaki na przykład?

- Chociażby pisemnie.

- Czyta niezwykle wolno, a jeszcze wolniej pisze. Jeśli zapytałam co woli - kawę, czy herbatę, to zanim uzyskam odpowiedź zdąży ugotować obiad i sama go zjeść.

- Je też wolno?

- Niestety. Zanim się zorientowałam, zabierałam mu nieskończone posiłki myśląc, że mu nie smakują.

I lekarze nie robią nadziei na poprawę stanu zdrowia?

- Są beznadzi. Takiego schorzenia medycyna dotychczas nie znała

Jest jedynym pacjentem z tak zwolnionymi reakcjami?

- Jednym z pięciu. Cała załoga statku zapadła na tę dolegliwość. Przy czym stan pogarsza się z każdym miesiącem a lekarze nie umieją powstrzymać tego procesu.

\*

Wiosna rozpoczęła się niezwykle wcześnie, bo już na samym początku marca. Pracowałam właśnie w ogrodzie, kiedy przyszła Wanda.

- Musisz mi poradzić co mam robić. Dzisiaj rano to znalazłam - podała mi kartkę zapisaną starannym charakterem pisma.

- To pismo twojego ojca? - domyślałam się.

- Tak. Pisanie tego listu zajęło mu dwa miesiące pracy. Nie masz pojęcia, jakie to straszne patrzeć na niedołężność kogoś bliskiego, zwłaszcza w jego wieku i z tym młodzieńczym wyglądem.

Wzięłam do ręki papier i zaczęłam czytać:

*Rada Nadzorcza Ekspedycji '35 zataja przed ludzkością fakt, który dotyczy absolutnie wszystkich i powinien zostać niezwłocznie podany do publicznej wiadomości.*

*Zagłada Ziemi, wraz z całym układem słonecznym jest nieuchronna. Tak zwana „czarna dziura”, która znajdowała się w naszej galaktyce, w bezpiecznej, jak przypuszczano odległości, rozszerzyła swój zakres przyciągania w kierunku naszego Układu Słonecznego. W chwili powrotu ekspedycji Układ Słoneczny był już w zasięgu jej oddziaływania. Zageszczona materia spowodowała przyspieszenie ruchu planet naszego układu, który można by przyrównać do leja wirowego ze zwiększającą się stałą prędkością. W powszechnym, ludzkim odczuciu, przyspieszenie to jest niezauważalne. Jedyną zmianą, jaką może odczuć mieszkaniec Ziemi, jest podwyższenie temperatury. Niestety, ciepłszy klimat stał się jedynie tematem rozmów towarzyskich, zamiast poważnych badań naukowych.*

*Nie jestem lekarzem i nie umiem dociec, dlaczego organizmy żywe tak łatwo zaakceptowały i przystosowały się do tego niezwykle przyspieszenia. Nie wiem również, dlaczego nas pięciu, którzy w początkowej fazie procesu byliśmy poza zasięgiem oddziaływania, nadal mu nie ulegamy, zachowując nasz poprzedni zegar biologiczny. Myślę, że te problemy nigdy nie zostaną rozwiązane, bo nie będzie już żadnych następnych pokoleń, które mogłyby zająć się dalszym rozwojem nauki.*

# MICHELANGELO MIANI



## Parnicki Teodor

(ur. 1908)

### Powieściopisarz

Urodził się 5 marca 1908 r. w Berlinie. Dzieciństwo spędził w Rosji, ukończył gimnazjum polskie w Chablinie. Debiutował w roku 1928 artykułem „Henryk Sienkiewicz a Aleksander Dumas (ojciec)”. Do kraju powrócił w 1928 r., studiował polonistykę, orientalistykę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Współpracował z „Kurierem Lwowskim” (1932–1934), „Kurierem Literacko-Naukowym” (1933–1938), „Przeglądem Powszechnym”, tygodnikiem „Droga” (1935–1936). Jako prozaik debiutował w „Lwowskim Kurierze Porannym” powieścią „Trzy minuty po trzeciej” (1929–1930). W 1939 r. był stypendystą Polskiej Akademii Literatury w Bułgarii, Grecji, Konstantynopolu i we Włoszech. Od 1940 r. w Rosji. W latach 1941–1943 attaché kulturalny ambasady polskiej w Kujbyszewie, współredaktor pisma „Polska”. Przebywał w Teheranie, Jerozolimie i w Anglii, w latach 1944–1945 pracował w poselstwie polskim w Meksyku, później poświęcił się pracy pisarskiej. W 1967 r. powrócił do Polski. Laureat nagrody im. W. Pietrzaka (1963, 1971), Nagrody Państwowej I Stopnia

(1972), nagrody Prezesa Rady Ministrów I Stopnia

Autor kilkunastu powieści historycznych, obejmujących około 2 tysięcy lat istnienia cywilizacji, ukazujących wzajemne związki kultur Azji Środkowej i Bliskiego Wschodu, zwłaszcza Bizancjum z kulturą tacińską w epoce przenikania chrześcijaństwa do kultury antycznej. Są to m.in. „Aecjusz ostatni Rzymianin” (1937), „Srebrne orły” (1949), „Koniec Zgody Narodów” (1957), „Słowo i ciało” (1959), „Śmierć Aecjusza” (1966), „Zabij Kleopatry” (1968). Tematem wspomnianych powieści są dyskusje toczące się wokół wielkich przełomów historycznych, sposobów powstawania nowych formacji dziejowych, możliwości dotarcia do autentycznego przebiegu wydarzeń.

Teodor Parnicki określa swoją prozę mianem powieściopisarstwa „historyczno-fantastycznego”, tzn. twórczością zachowującą podstawowe wyróżniki powieści historycznej z równoczesnym wprowadzeniem w obręb świata przedstawionego faktów celowo przeznaczonych, niezgodnych z prawdą historyczną, po to, aby na ich podstawie śledzić mechanizmy rozwoju procesu dziejowego. W książce „Historia w literaturę przekuwana” ujawnia Parnicki metodę swojego warsztatu pisarskiego. Wymusza z gmachu historii jedną cegiełkę opatrzoną wartygodną jej pieczęcią i wkładam inną, rozważając wszystkie skutki takiego zabiegu. W ten sposób powstaje fikcyjny świat – wariant przebiegu wydarzeń historycznych, który nosi znamiona „historii al-

ternatywnej” (lub inaczej „uchroni”) polegający na ukazywaniu innych modeli procesu dziejowego zapoczątkowanych wydarzeniami fikcyjnymi, możliwymi, lecz naprawdę nie zrealizowanymi („Tożsamość”, Czytelnik 1970, „Muza dalekich podróży”, Pax 1970). Jest to zabieg podobny do „eksperymentu myślowego” SF, sprowadza się do odpowiedzi na pytanie, co byłoby gdyby – choć materiałem świata przedstawionego utworów są teraz realia historyczne, a celem „historii alternatywnych” staje się poznanie ukrytych uwarunkowań procesu dziejowego. I tak na przykład fragmentem „Muzy dalekich podróży” staje się powieść „Mogło być tak właśnie” ukazująca konsekwencje zwycięstwa Polski w powstaniu listopadowym. W wyniku takiego układu wydarzeń powstało niepodległe królestwo kierowane przez wybitnych romantyków. Krasinski pełni funkcję ambasadora w Petersburgu (jest równocześnie autorem znakomych powieści historycznych), Mickiewicz – ministrem oświaty i premierem, Słowacki przebywa na emigracji w Meksyku, ale wraca do kraju pisać „Króla Ducha” (po kilkunastu latach Polska ponownie traci niepodległość i historia powraca do swego naturalnego łożyska).

Symboliem niepokojów metafizycznych człowieka i jego tęsknot poznawczych jest w twórczości Parnickiego – Atlantyda (zob. „Twarz Księżyca”, t. 1–2, PAX 1961; „Tylko Beatrycze”, PAX 1962). Trawestuje tu Parnicki mity znane z historii kultury: grecką legendę o zatopionej Atlantydzie, opowieści

## pożółkłe kartki

Teodor Parnicki

## Nowa baśń

### część V

## Wylęgarnie dziwów

– Byłam tam. Przyglądałam się. Przysłuchiwałam się. Wróciłam. Daleka droga i trud wielki, ale to i tamto opłaciło się.

– Wam, pan?

– Także i mnie. Dla matki każdej jest, nie może nie być, ważne, czego dokona syn. Co z ciebie czy poprzez ciebie cisnie w przyszłość. Za co będzie przed przyszłością odpowiedzialny.

Ale bardziej jeszcze chyba wędrowka moja sprzed chwili wam się opłaci, najprzewielebniejszy panie arcybiskupie. Spełnijcie tylko moją prośbę. Jedną jedyną prośbę. A możecie ją spełnić, choć możliwość ta wyda się wam niepodobniestwem. Mnie samej jeszcze chwilę temu wydawała się własnym przeciwniostwem, czyli niemożliwością.

Ale tam, skąd wracam, dowiedziałam się, iż rzekomo nieodwracalne dokonania są w rzeczywistości propozycjami tylko. Propozycjami boskości, kierowanymi do człowieczeństwa. Umieracie, ojcze Aronie. Umrzecie – wedle zegara tu na ścianie – wcześniej niż za cztery godziny. Ale tam, skąd wracam, zdolają rozciągnąć każdą godzinę choćby do wymiarów tysiąclecia. Ale aż tysiąclecia nie potrzebujecie. Wy słuchajcie więc propozycji

Postanowiliście zamieszkać pośmiertnie w synu moim, Stanisławie, i uzyskaliście jego zgodę na takie swoje w nim zamieszkanie. Zechciejcie i to swoje postanowienie, i zgodę mojego syna uczynić niebyłymi.

– Tego nie zdołałbym, choćbym nawet i zechciał. Mógłbym najwyżej – jeśli wydobyłoby mi się to słuszne – cofnąć takie swoje postanowienie i o cofnięciu tym zawiadomić waszego syna. Ale po pierwsze: nie wydaje mi się to być słuszne.

Po drugie: gdyby i wydobyłoby mi się to być słuszne, nie zdążyłbym syna waszego o cofnięciu postanowienia, iż zamieszkam w nim, powiadomić, skoro umrzeć mam wcześniej niż za cztery godziny.

– Powiedziałam: może cztery godziny przetworzyć się nawet w tysiąclecie. Powiedziałam też, że cokolwiek dokonałoby się, albo istotnie byłoby się dokonało, albo stanowiłoby sobą tylko propozycję dokonania się. Od was zależy, czym z dwójką miałoby być – właśnie cokolwiek bądź, więc także i postanowienie wasze, o którym mowa.

– Nie rozumiem. Wszedł Juliusz Cezar w marcowe ldy do senatu i został zabity. Czy to również mogłaby być tylko propozycja?

– Będzie mogła być.

– Czyli inaczej: jakiegokolwiek bądź Boże zamysły, które wedle rozeznania świadomości mojej już się dokonały, mogłyby nie okazać się dokonaniem?

– Nie mówię: mogłyby. Mówię: będą mogły.

– I sprawdziłiscie osobiście, iż będą mogły?

– Sprawdziłam. Miałam zakończyć życie w roku tysiąc trzydziestym piątym, lecz wracam oto z odwiedzin roku tysię-

dziesiętnego i któregoś. Którego dokładnie, nie sprawdziłam. Za wiele było lat, przez które przeszedłam. Znużyły mnie. Przeszłam je liczyć w chwili pewnej.

– Jestże sygnalizowana przez was możliwość zastępowania dokonań propozycjami tylko uzgodnioną z wolą Bożą?

– Tak mnie zapewniano. Ale przyznam się: nie nazbyt w to wierze.

– Nazbyt blisko natomiast ja jestem stanięcia twarzą w twarz z boskością, bym mógł zadowolić się cymkolwiek bądź, co by nie było doskonałą pewnością.

– Rozumiem was. Lecz właśnie i dlatego też – między innymi – upraszam przewielebność waszą, by uczyniła niebyłym postanowienie swe zamieszkania pośmiertnie w synu moim. Postawie zresztą sprawę inaczej jeszcze: czy jest dla was całkowicie obojętne, w kim byście pośmiertnie zamieszkał?

– Nie jest to dla mnie obojętne. Zamieszkanie w synu waszym zostało rozważone przeze mnie wszechstronnie, wyczerpująco i najstaranniej.

– Jest to przecież zawsze wielkie ryzyko zamieszkać gdzieś, gdzie się nie było na świat przyszło. Właściciele mieszkań nie są wieczni; niektórzy zaś pomiedzy nimi okazują się nieraz kapryśni; dzisiaj jest wcale miły im podnajemca, nie dostrzegają w nim skazy żadnej; jutro wyda się im nieporządnym, nieodpowiedzialnym, niesumiennym – tak czy owak nie do znieśnienia.

Zwiedziłam zresztą w drodze tej, jaką właśnie odbyłam, wszystkie wasze mieszkania pośmiertne. Jeśli w ogóle należy im się nazwa mieszkań, czego wcale nie jestem pewna. Klitczki, tak by je raczej nazwać należało. Wszystkie w tym samym domu. Na oko ogromny, ale wewnątrz – z czasy w nim duszno i mroczno



# słownik polskich autorów fantastyki

o Wyspach Szczęśliwych z ksiąg Jambusa, poszukiwanie świętego Graala przez błędnych rycerzy. Motyw ten znika w pisarstwie Parnickiego po ukończeniu drugiego tomu „Nowej baśni”. Atlantyda staje się teraz obiektem poznania empirycznego (epoka wypraw Kolumba). W pierwszej części piątego tomu „Nowej baśni” („Wylęgarnie dziwów”, PIW 1968) pojawia się nowa perspektywa – przerażenie możliwościami nauki, następstwami jej rozwoju, które mogą obrócić się przeciwko człowiekowi. Narratorem powieści jest nieznan autor z XVII wieku, który opisuje wydarzenia dziejące się w 300 lat później. Akcja książki rozgrywa się w II połowie XX stulecia. Zamiast marzenia o raju na Ziemi odkrywamy tu przerażającą wizję społeczeństwa technokratycznego i totalitarnego, w którym jednostka liczy się tylko jako jeden ze szczebli w hierarchii służbowej. Mędrcy, ukryci na wyspie, przez długie lata prowadzili badania naukowe i knowania polityczne. Dzięki niezwykłym wynalazkom technicznym za władzę, światem podporządkowując sobie resztę społeczeństwa.

Nie ulega wątpliwości, że „Nowa baśń”, mimo stylizacji na tekst XVIII-wieczny przypomina bardziej „Nowy wspaniały świat” Aldousa Huxleya, aniżeli optymistyczną utopię Bacona. Odnajdujemy tu zarówno świadectwo wyobcowania humanisty w niezrozumiałej dla siebie, technicyzowanej kulturze, jak i poczucie zagrożenia roli pisarza w społeczeństwie masowym, w którym nie ma miejsca na kult indywidual-

ności artysty. Parnicki przenosi w przeszłość historyczną problemy współczesnej epoki wieku atomu i komputerów, środków masowego przekazu, podróży kosmicznych.

Powieści Teodora Parnickiego nie należą do lektur łatwych w odbiorze. Wymagają ogromnej orientacji w historii kultury i znajomości współczesnych technik narracyjnych. Autor rezygnuje z wątków anegdotycznych jego książki są intelektualną opowieścią o mechanizmach procesu dziejowego, modelowaniu historii i ograniczeniach towarzyszących poznawaniu historii. Istotną funkcję pełni tutaj kategoria czasu, związków przyczynowych pomiędzy przedstawionymi wydarzeniami. Parnicki zrywa z determinizmem czasowym – obok obiektywnego czasu trwania istnieje w jego utworach drugi plan czasowy o subiektywnym charakterze. W czasie rozmów, dialogów, dyskursów przywoływane są wydarzenia z przeszłości w myśleniu bohaterów. Odbija się nieustanna wędrówka w czasie. Człowiek wyobraża sobie cel, ku któremu zmierza, konstruuje wizję czasu przyszłego. Wielu bohaterów „Nowej baśni” można określić jako inżynierów społecznych planujących kształt ustroju, utopia w baśni nad baśniami – jest beletrystycznym programem zmian ustrojowych, które dokonają się w przyszłości. Wiele w powieściach Parnickiego wehikułów czasu i pojazdów czasoprzestrzennych – są to pewnego rodzaju chwytły, które służą prezentacji subiektywności ustaleń czasowych i histo-

rycznych – wszystko leży w jednej płaszczyźnie, dalekie i bliskie – wszystko jest projekcją wyobraźni pisarza.

Historyczno-fantastyczne pisarstwo Teodora Parnickiego znajduje analogię w światowej literaturze fantastyczno-naukowej (zob. np. „Człowiek z Wysokiego Zamku” Philipa Dicka, opisujący sytuację, w której Niemcy wygrały II wojnę światową). Mechanizm „historii alternatywnej” nie jest niczym nowym, zastosował go już L. Geoffroy w utworze „Napoleon Apocryphe” (1836), w której ukazał zwycięską kampanię Napoleona w Rosji. Do powieściopisarstwa historyczno-fantastycznego zbliżają się również utwory, które opisują wymaginowane zdarzenia umieszczone w równie fikcyjnej czasoprzestrzeni (np. opowiadanie Jerzego Grundkowskiego w tomie „Annopolis, miasto moich snów”, „Rekopis z Amalfii” Marka Bateriałowicza). Tego rodzaju utwory w języku polocznym określane są mianem fantastyki historycznej.

## Bibliografia wybrana:

- M. Czerminska, Teodor Parnicki, Warszawa 1974 r.
- A. Chojacki, Parnicki w labiryncie historii, Warszawa 1975.
- W. Jamiozjak, Co to jest powieść historyczno-fantastyczna? (w:) Nihil 1976/8.
- T. Parnicki, Historia w literaturze przekuwana, Warszawa 1980.
- W. Sadkowski, Twórczość 1969/3.
- L. Łukaszewicz, Tygodnik Powszechny 1968/11.
- W. Bilip, Nowe Książki 1968/18.

## pożółkłe kartki

Pomyślany dziwnie, a zbudowany dziwniej jeszcze.

Straszy w nim też, słyszałam. Choc, co prawda, słyszałam też, że strachy to tylko na Lachy. A wyście nie Lach, choc w ziemi laskiej jaśnie oświecony i arcydosłojny, i najprzewielebniejszy arcybiskup. Poznać ten dom powinniście, zanim się tam sprwadzicie. Zowie się nowa baśń. Wchodzi się don, jak się chce, ale wyjść można tylko przez dwie – umieszczone tuż jedna nad drugą bramy. Wewnętrzna zowie się baśń nad baśniami, czyli księga nowa o misce soczewicy. Zewnętrzna zaś – wylęgarnia dziwów. Wejdźcie, zapraszam.

– Toż to kilka grubych tomów. Czytania byłoby chyba na trzy miesiące. A ja mam umrzeć wcześniej niż za czwartą godzinę.

– Wystarczy ćwierć ćwierci. Istnieć będzie pewien szczególny przyrząd. Nazwy mu nie dadzą, tylko liczbę porządkową, mianowicie trzysta trzydzieści pięć. Będzie władny przetwarzać wszelkie możliwe pisma w zestawy błysków świetlnych. Na odczytanie odpowiednika świetlnego wszystkich tomów nowej baśni wraz z obydwoma zakończeniami trzeba tyle czasu, co na wyrecytowanie na głos takiego na przykład wiersza:

*Tourney, masques, theatres better become  
our halcyon days; what though the German drum  
bellow for freedom and revenge, the noise  
concerns not us, nor should divert our  
joys.*

- Nie znam takiego języka.
- To angielski.
- To nie jest angielski.
- Jest. Zmieni się w toku pieciuset z

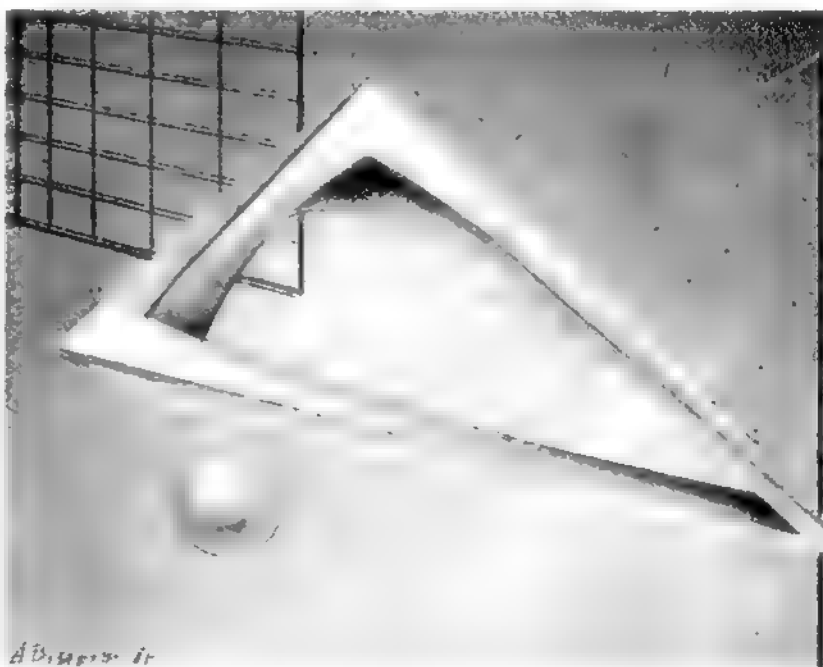
gorą lat, jak w toku tysiąca zmieniają się sposoby utrwalania myśli i wyobrażeń ludzkich.

- Coż ten wiersz głosi?
- O tym dowiecie się, ale nie teraz. Teraz – proszę – patrzcie na scianę. Widzicie błyski świetlne? Tekst to o nowej baśni. Rozumiecie sens błysków?
- Rozumiem. Dziwne to, ale rozumiem.
- Wiele jest rzeczy na niebie i na ziemi,

o których się nie sniło filozofom. Przecież przysni się. Wcześniej czy później. Już przeczytałem. Wnioski? Nie spodobały się wam, pani.

Opracował  
Andrzej Niewiadowski

Teodor Parnicki, „Nowa baśń”, cz. V „Wylęgarnie dziwów”, PIW 1968, wybór ze stron 325-329.



# Wielkolud pod twoim regałem

Czy macie państwo znajomy komputer? I znajome dziecko poci dwojonej przynależne do owego komputera?

Jeżeli tak to popatrzcie proszę, jak dziecko posługuje się klawiaturą lub dżojstikiem, z jaką somnambuliczną pewnością prowadzi pękatego ludzka na planszy komputerowej gry. Przecież nie wiadomo CO trzeba zrobić. CO trzeba odnaleźć. CO trzeba zdobyć, żeby wyprowadzić ludzka z fantastycznie poplątanego układu pułapek. Nie wiadomo nawet, czy jakieś rozwiązanie istnieje, a jeżeli istnieje, to jakie jest.

My, dorośli, posadzeni do takiej gry tracimy dni, ba, tygodnie na rozwiązanie problemu, dziecko dokonuje tego w ciągu kilku godzin. Bo dziecko skupia się na tym fragmencie gry, który w tym momencie trzeba rozwiązać. a my, dorośli, staramy się objąć całość pola albo przeanalizować sytuację co najmniej na kilka ruchów naprzód. Na naszego ludzka wala się głązy, pochłaniają go zapaści, pozera niesympatyczny stwór przypominający trupią czaszkę na pajęcznych nogach zaś ludzka dziecka odnajduje w najbardziej nieoczekiwanym miejscu złoty kluczyczek otwierający za tajone wyjście.

To wcale nie jest reklama komputera „Atari „Commodore” czy „Amstrad”. To jest wstęp do książki Marły Tomaszewskiej „Wielkolud z Jaskini Piratów albo tajemnica czwartej ściany”.

Każdy, kto lubi uporządkowaną fabułę z logicznym ciągiem umotywowanych i wyłumaczalnych zdarzeń, poczuje się przepłoszony już po prze-

czytaniu kilku pierwszych stron. Nad lekturą zawisnie pełne tragizmu pytanie: Co to znaczy? Skąd się to wzięło? Kim jest ta postać?

Bo tej książki nie wolno czytać niezając pracowicie logiczne następstwo faktów, trzeba jej się poddać nie pytając dlaczego tak jest, warunkiem jej percepcji jest podporządkowanie się narracji jak fali morskiego przyływu: dać się niesć bez obaw, zaulać fantazji pisarskiej.

Od pierwszego zdania wiemy, że wchodzimy w tajemnicę: „Na piątym drzewie mieszka sowa” – mówi Owczarz, sztywne łodygi jasnozielonego żarnowca palą się żółtymi kwałami, wielkolud spi zakrywszy twarz kapekuszem.

Jakby punktując światłem reflektora poznajemy fragmentami codzienność Niby-wyspy. To Tomaszewska nie pokazuje nam rozległej panoramy ani działań wynikających z kontekstu, pokazuje cząstkę rzeczywistości, ale na tej cząstce przez moment skupia całą naszą uwagę pozwalając by poza tym jednym jaskrawo oświetlonym punktem zalegała ciemność. Czy liść, który widzimy z delikatnym kulnerem od spodu ze spletem żyłkowania, z jedynym ognikiem niknącym w mroku jest tylko liściem? A może rośnie na gałęzi? Może gałąź wyrasta z pnia drzewa? A może to drzewo jest częścią wielkiego lasu? Najważniejsze: że i liść, i istniejący lub nie istniejący las, są częścią tajemnicy, częścią zagadki.

Kiedy teraz napiszę że „Tajemnica czwartej ściany” rozgrywa się na Niby-wyspie, że bohaterem jest Franek, że Niby-wyspę zamieszkują cio-

łka Weronika, Króliczek, Macpuzsek i Sasanka, pies Nalewka i Krowia Łalka lubiąca bardzo głośno rzyć, że Owczarz ma łorbę, a Wielkolud spi – to nie wyjaśniając niczego wystawę tylko zle świadectwo swojej własnej wrażliwości. Kiedy dodam, że Niby-wyspa jest tylko przejściem do innej rzeczywistości, może do innego wymiaru istnienia, też w żadnym słowniku nie przedstawię Tajemnicy czwartej ściany, ponieważ jak się rzekło, książka ta może być odbierana tylko w zgodzie na niepoznawalność rzeczywistości.

Marla Tomaszewska próbuje oświecić nas ze stwarzaniem meta-rzeczywistości. Dwa śmieszne stworzy, Macpuzsek i Króliczek, rozjaśniają mrok, w który wchodzimy, by nagle w jaskrawym rozbiłku dostrzec coś nieznanego, jeszcze jeden odłamek rozbitego zwierciadła, żeby podchwycić czyjs gest uśmiech, podsłuchać czyjąś myśl. Maleria książki Tomaszewskiej jest zbudowana ze spojrzeń. Widzimy, a więc stwarzamy.

Najpierw spojrzęła ku niebu. Niebo miało kolor tęci. Potem wolno przeniosła wzrok w dół. Ocean rozpościerał się nieprawdopodobnie blisko. Pas widm przekłany kępami żarnowca, bardzo lutą szeroki, jak gdyby się skurczył (...). Sasanka wpatrzona w jasnozielone jakby podświetlone od dna, wody oceanu po raz pierwszy poczuła ten lęk (str. 9).

Spojrze! Przed nimi wisiła ogromna zasłona modroszarego światła, które wypełniało przestrzeń od nieba do ziemi. Ponad górami płynęło pierzaste pasmo (...) zabarwione złotem, roze-

## Gwiazdy, biznes i psychoanaliza

O sobości nie lubię neurasteników, a wszelkie metody psychoanalityczne okropnie mnie drażnią. Uważam, iż człowiek powinien po móc sobie sam, a tylko w wyjątkowych wypadkach należy zwracać się do psychologa czy psychiatry. Inna sprawa, że aż do końca książki, noszącej angielski tytuł „Gateway” (co w przekładzie polskim stało się wręcz nazwą własną), nie jest wiadomo, po co jej bohater Robinette Broadhead – odbywa regularne seanse spytystyczne tj., chciałem napisać, psychoanalityczne. Wyjaśnienie jest rzeczywiście zaskakujące, ale uważam, że można byłoby się obejść bez tej całej psychopatycznej psychoanalizy pełniającej w książce rolę oficera śledczego, prokuratora, sędziego i na dodatek kłosa w specyficznym wydaniu. Nie sposób nie mieć po tym wszystkim kaca psychicznego.

O wiele bardziej odpowiada mi warstwa fabularna rzeczony książki, poprzetykana ogłoszeniami, komunikatami, uwagami i komentarzami. Co prawda początkowo miałem autorowi za złe komercjalizm w tak szczytnym dziele jak otwarcie (odkrycie) drogi do gwiazd. Jednak po namyśle stwierdziłem, że wszystko jest w porządku – to raczej w naszej literaturze pokutuje owo bezironiczne przeświadczenie, iż tak poważne przedsięwzięcia kosmiczne mogą się obejść bez wielkich nakładów finansowych.

Prawo zachowania energii materii (czyli – nic za darmo!) obowiązuje również w ekonomice. Kto tego nie wie bądź nie rozumie, naraża siebie (i całe społeczeństwo) na drastyczne kryzysy i niepowodzenia. A zatem zwycięże opisane w książce (opłaty za dotarcie i pobyt na Gateway) są bliższe rzeczywistości niż utopijno-nawne historyjki, w których nie ma ani słowa o tym, kto toczy na tę całą astronautykę bohaterów wyprawy na inne planety itd.

Pobyt na Gateway również nie jest sielanką. Trudne warunki, obce, nienaturalne środowisko,

niepewność, czy się cokolwiek osiągnie i czy oczekiwanie, a potem wyprawa w Nieznane przyniesie sukces. Na Gateway obowiązuja swoje reguły przetrwania – surowe w sferze materialnej, dość swobodne w sferze obyczajowej. A oprócz tego każdy przybywający na tę szluczną planetoidę musi przejść specjalne przeszkolenie, które umożliwi mu podróż do gwiazd. Daleko w tym wszystkim do romantyzmu wczesnej astronautyki. Zresztą i warunki wypraw są inne. Jedynie gwiazdy pozostały takie same.

Właśnie, gwiazdy – ludzkość nareszcie uzyskała do nich dostęp, ale nie sobie to zawdzięcza, lecz tajemniczym Heechom. Pozostałości po pobycie supercywilizacji Heechów w Układzie Słonecznym zostały po raz pierwszy odkryte na Wenus, o czym powiadania nas wcześniejszy utwór Frederika Pohla „Kupcy wenusjańscy” (zob. „Fantastyka” nr 1/1987). Drugim artefaktem pozostawionym w naszym Układzie przez Heechów okazała się szluczna planetoida obiegająca Słońce w płaszczyźnie prostopadłej do płaszczyzny ekliptyki.

Ludzie nazwali ten twór Heechów Gateway – Brama, ponieważ stanowi urządzenie (bazę) pozwalającą na dotarcie do gwiazd. Co prawda nigdy nie było wiadomo, w okolicy jakiej gwiazdy trali ten czy ów pojazd Heechów, nie znane były też zasady pokonywania przestrzeni przez pojazdy „składowane” w bazie Gateway. Nie do końca został rozszyfrowany sposób sterowania pojazdami, ale ludzie podjęli ryzyko podróży w Nieznane – zarówno dla celów naukowych, jak i komercyjnych. W trakcie tych wypraw odkryto Gateway-2, ale ani o włos nie zbliżono się do rozwikłania zagadki Heechów. Posługiwano się ich pojazdami niewiele wiedząc o ich prawdziwym przeznaczeniu. Komu się szczególnie powiodło podczas eksploracji Nieznanego (odkrycia naukowe wielkiej wagi, artefakty pozostałe po Heechach lub po innych cywilizacjach pozaziemskich na

planetach odległych gwiazd), ten miał zabezpieczony byt aż do końca swoich dni. Takim szczęśliwcem jest bohater książki – Robinette Broadhead. Powiodło mu się jak nikomu przedtem, mimo to wcale nie jest szczęśliwy, coś go dreczy i dlatego ucieka się do psychoanalizy. Równoległe z seansami śledzimy drogę bohatera do gwiazd, by w końcowych rozdziałach dowiedzieć się, iż Broadhead wraz ze współtowarzyszami „niedoli śródgwiazdnej” dotarł w pobliże koplasaru, skąd wydosłał się sam, porzucając współpodróżników na „pastwie czarnej dziury”. Tu dopiero dowiadujemy się prawdy. Optywający w dostatek bohater jest i zarazem nie jest zabójcą! Albowiem ofary jego łchorzostwa (?) nadal żyją, chociaż od ścieczki z koplasaru upłynęło kilkadziesiąt lat! Co więcej – dla porzuconych upłynęło zaledwie kilkanaście minut. Taka jest natura czasu w silnych polach grawitacyjnych. Można więc wrócić do dawnych współtowarzyszów i uratować ich przed zupełnym zesłazgnięciem się pod sferę Schwarzschilda. Bohater, w ciągu całego swego dostatnego życia nie podjął jednak najmniejszej próby, żeby ocalić byłych współpasażerów. Jemu się powiodło. Ale wyrzuty sumienia pozostały i zapoznione, prawdziwe łchorzostwo nie pozwalało korzystać mu w spokoju ze zdobytej pozycji społecznej. Stąd właśnie szanse psychoanalityczne z komputerem, który w ostatnim zdaniu wyjawia bohaterowi, że zazdrości mu życia. Nawet takiego pełnego winy, strachu i bólu. Ale za to prawdziwego życia!

Więc chociaż nie lubię psychoanalizy, a rozdziały wypełnione dyskusją z komputerem uważam za nudne, przynajmniej, że koncówka jest znakomita i w jakimś słowniku (w dodatku przewrotnie) tłumaczy niechęć do psychoanalizy.

**T. Zbigniew Dworak**

Frederik Pohl „Gateway – Brama do gwiazd”. Przekład Małgorzata Iwińska i Piotr Paszkiewicz. Wydawnictwa Alfa. Warszawa 1987. Cena 380 zł.

rwalo się i przez mgnienie były to zgłoski blasku. (str. 91)

Materna książki Tomaszewskiej jest także zbudowana z myśli, ale jest to myślenie intuicyjne odbierające, rejestrujące i całkowicie bezradne wobec tajemnicy, chociaż czasami wizjonerskie lub starające się wnikać w istotę utajonego sensu, przechwycić sygnały od nieznanego.

Tęgo dnia, kiedy przestała czekać, wyładował naprawdę, nie na niby i był naprawdę nie na niby (...). I od jego przybycia właściwie już nic nie pozostało takie samo – Ostatnia chwila – warknął głos – ostatnia chwila! – Wydostaniemy się stąd, ale musimy wiedzieć. – Skąd wiesz, że chcę się wydostać? – Wiem (str. 71)

Te słowa, jego własne słowa eksplodowały, była to doprawdy eksplozja, bo cała dokoła rzeczywistość rozprysła się na kawałki, a kiedy po sekundzie wszystko wróciło na miejsce, Franek wiedział już, że przed nim nie stoi nikt, że w ogromnym, kwadratowym lustrze widać własne odbicie, widać siebie. Krzyknął coś, czego sam nie rozumiał (str. 165)

A więc książka Tomaszewskiej jest tworem zrodzonym z fantazji, odmieniającej znane w niej znane. Takie odroczenie tradycyjnej relacji jest czymś nowym w polskiej literaturze, ale ma czcigodnych i uznanych antenatów: „Romans o Róży” Jana de Meung i „Opowieść o świętym Graalu”.

Owe średniowieczne opowieści prowadzą w rzeczywistość nie istniejącą, przemieniającą rzeczywistość w symbole i alegorie, operują znakami, niczego nie wyjaśniają, świadome od początku, że świat wymyślony nie podlega żadnym osądom. Wypisano całe tomy, by objaśnić, czym był lub czym mógł być święty Graal, armia komentatorów próbowała określić istotę Róży z hortus clausus ogrodu zamkniętego. A przecież i tajemnicza czarna, i mityczny kwiat są tylko tym, czym pragniemy, by były, są w równej części: tworem wyobraźni, swoich autorów, jak i naszym własnym.

Nie inaczej jest z „Tajemnicą czwartej ściany”. Autorka, a my z nią razem, tworzymy własną wersję niepoznawalnego. Autor i my jesteśmy omylni. Autor i my – jesteśmy wszechwiedzący. Wiemy wszystko. Nie wiemy nic.

Trudno mi sobie wyobrazić kogoś, kto przeczytawszy, odłożyłby książkę Tomaszewskiej i zaraz o niej zapomniał. To po prostu niemożliwe. „Tajemnica czwartej ściany” musi pozostawić niepokój, jakoś zburzyć zwykłość nakoła nas. Czy pod ścianą naszego pokoju na ile reguły nie usiadł na podłodze smutny, milczący wielkolud? Czy na parapecie o poranku nie rozśpiewał się purpurowy drożdż?

Oczywiście można przeczytać tę książkę i powiedzieć: „Nie rozumiem”.

A teraz coś w rodzaju puenty.

Radiowa reporterka poszła do kina na seans „Nie kończącej się opowieści”, a ponieważ była w kinie szubowo, po skończonej projekcji zabiegając dzieciom drogę i pyłała:

– Powiedz, czym twoim zdaniem jest ta Ni-cosć?

- Przecież to nieważne
- Ona jest inna dla każdego
- Po co pan pyta? Ona jest i już
- Pan nie wie?
- Nie trzeba o niej mówić

To nie były takie odpowiedzi, jakich reporterka oczekiwała, więc po powrocie do redakcji wygłosiła opinię, że dzieci są dziwne i skasowała ją.

Tak, proszę państwa. Dzieci są dziwne i dlatego dla nich, a nie dla nas, Marta Tomaszewska napisała taką piękną i dziwną książkę.

**Ewa Nowacka**

Marta Tomaszewska. *Wielkolud z Jaskini Piratów albo tajemnica czwartej ściany*. Nasza Księgarnia. Warszawa 1987. Cena 220 zł.

## 1979

### SF dla dorosłych (ASF):

- 1361.** BIALCZYŃSKI Czesław. *Proba młazji*. Warszawa Iskry 16° ss 265, nrb 3 50 000 egz. – Fantastyka – Przygoda.
- BORUN K. *Toccali*. zob 1980 [antydat]
- BOYD J. *Ostatni...* zob 1980 [antydat]
- 1362.** [BULYČEV Kirill]. *Rycerze na rozdrożach*. Powieść fantastyczno-naukowa. Tłum. [z ros.] Tadeusz Gosk. Warszawa Czytelnik 16° ss 183, nrb 1 30 000 egz. – Sena Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą”). – Na k. tyt. aut. Kiryl Bułyczow
- 1363.** CHRUSZCZEWSKI Czesław. *Fenomen Kosmosu*. Powieść. wyd. III. Poznań. Wyd. Poznańskie 16° ss 320, nrb 4 30 000 egz. – SF
- 1364.** CHRUSZCZEWSKI Czesław. *Powtórne stworzenie świata*. Powieść. Poznań. Wyd. Poznańskie 16° ss 219, nrb 4 40 000 egz. – SF
- 1365.** [CJOLKOVSKIJ Konstantin]. *Poza Ziemią*. Tłum. [z ros.] Andrzej Bien. Warszawa Iskry 8° ss 192, nrb 4, tabl 10 30 000 egz. – Na k. tyt. aut. Konstanty Ciołkowski
- COOPER E. *Testament...* zob. 1980 [antydat]
- 1366.** DOLECKI Zbigniew. *Muszia egejska*. Warszawa Kraj. Ag. Wyd. 16° ss 170, nrb 2 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka
- 1367.** DUCH Galaktyki. Zbiór opowiadań fantastyczno-naukowych. Aut. Tadeusz Markowski [i in.]. Red. Andrzej Kudzia i Andrzej Wojcik. Gorzów. Gorzowski Okręgowy Klub Miłośników Fantastyki Naukowej 8° ss 93, nrb 3 1000 egz. – Fantazja – Nauka – Przyszłość. – Wyd. przy współudziale OKMF i SF w Warszawie
- 1368.** FIALKOWSKI Konrad. *Homo divisus*. Warszawa Iskry 16° ss 175, nrb 3 70 000 egz. – Fantastyka-Przygoda
- 1369.** GŁOWACKI Ryszard. *Paroksyzm numer minus jeden*. Warszawa Kraj. Ag. Wyd. 16° ss 101, nrb 3 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka
- 1370.** GOŚCZ z głębin. Opowiadania fantastyczno-naukowe. Aut. Krzysztof Boruń [i in.]. [Red. Lech Jęczyński]. Warszawa Czytelnik 16° ss 190, nrb 2 30 000 egz. – Sena Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą”)
- 1371.** GULAKOVSKIJ Évgénij. *Planeta 412 bis*. Tłum. [z ros.] Tadeusz Gosk. Warszawa Iskry 16° ss 165, nrb 3 50 000 egz. – Fantastyka-Przygoda. – Na k. tyt. aut. Jewgienij Gulakowski
- 1372.** HOLLANEK Adam. *Ukochany z Księżyca*. Warszawa Kraj. Ag. Wyd. 16° ss 135, nrb 5 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka
- 1373.** INSTAR omnium. Aut. Wiktor Zwikiewicz [i in.]. Red. Ewa Truszczyńska. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss 73, nrb 5 60 000 egz. – Stało Się Julio – opowiadań fantastycznych zbiór siedemnasty. – Tył okł. na k. tyt. tytuły wszystkich opowiadań
- 1374.** KLEIN Gérard. *Bogowie wojny*. Powieść fantastyczno-naukowa. Tłum. [z franc.] Andrzej Pruszyński. Warszawa Czytelnik 16° ss 190, nrb 2 30 000 egz. – Sena Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą”)
- 1375.** KOZIELECKI Józef. *Smutek spełnionych baśni*. Przedm. Stanisław Lem. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss 222, nrb 2 20 000 egz.
- 1376.** [KROEGER Alexander]. *Ekspedycja mikro*. Tłum. [z niem.] Mieczysław Dutkiewicz. Warszawa Iskry 16° ss 352, nrb 2 50 000 egz. – Fantastyka – Przygoda. – Na k. tyt. aut. Aleksander Kroger
- 1377.** KRZEPKOWSKI Andrzej, WÓJCIK Andrzej. *Obszar nieciągłości*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss 194, nrb 2 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka
- 1378.** KURPIŚZ Mieczysław. *Bez przerwy wypełniać tę ciszę*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss 179, nrb 5 80 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka
- 1379.** LEM Stanisław. *Powtórka*. Warszawa. Iskry 16° ss 164, nrb 4 50 000 egz. – Fantastyka – Przygoda
- 1380.** PROSTAK Zbigniew. *Kontakty*. Warszawa Kraj. Ag. Wyd. 16° ss 193, nrb 3 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka
- ROUSSEL R. *Locus...* zob. U.
- 1381.** SAWASZKIEWICZ Jacek. *Przybysz Wyznawca Potestas*. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss 70, nrb 2 40 000 egz. – Stało Się Julio. Opowiadań fantastycznych zbiór szesnasty
- 1382.** SAWASZKIEWICZ Jacek. *Sukcesorzy*. Poznań. Wyd. Poznańskie 16° ss 219, nrb 1 30 000 egz. – SF
- 1383.** SHAW Bob. *Człowiek z dwóch czasów*. Tłum. [z ang.] Zofia Uhrynowska-Hanasz. Warszawa. Czytelnik 16° ss 139, nrb 1 40 000 egz. – Sena Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą”)
- 1384.** SHUTE [właśc. NORWAY SHUTE]. *Nevil. Ostatni brzeg*. Tłum. [z ang.] Zofia Kierszys. Wyd. V. Warszawa. Książka i Wiedza 8° ss 286, nrb 2 50 000 egz.
- 1385.** STRUGACKI [J.] Arkadij, STRUGACKI [J.] Borys [właśc. Boris]. *Przyjaciel z piekła*. Powieść fantastyczno-naukowa. Tłum. [z ros.] Irena Lewandowska. Warszawa. Czytelnik 16° ss 102, nrb 2 50 000 egz. – Sena Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą”)
- 1386.** SZABLICKI Janusz. *Trzecie stadium ewolucji*. Opowiadania fantastyczno-naukowe. Katowice. Wyd. „Śląsk”. 16° ss 188, nrb 4 20 000 egz.
- TOMASZEWSKA M. *Podróż* zob. AF
- 1387.** [UR'EV Zinowij]. *Sny szybkie*. Tłum. [z ros.] Henryk Józefowicz. Warszawa. Iskry 16° ss 215, nrb 1 50 000 egz. – Fantastyka – Przygoda. – Na k. tyt. aut. Zinowij Jurjew
- 1388.** WEINFELD Stefan. *Władcy czasu*. Warszawa 1978 [antydat]. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss 194, nrb 2 60 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka
- 1389.** WNUK-LIPIŃSKI Edmund. *Wir pamięci*. Warszawa. Czytelnik 16° ss 209, nrb 2 30 000 egz. – Sena Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą”)
- 1390.** ŻULAWSKI Jerzy. *Na srebrnym globie. Rękopis z Księżyca*. Wyd. VI powoj. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss 325, nrb 3 20 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej. – Stanowi cz. I trylogii
- 1391.** ŻULAWSKI Jerzy. *Stara Ziemia*. Wyd. IV powoj. Postłowne Michał Maszczyk. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss 281, nrb 3 20 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej. – Stanowi cz. III trylogii
- 1392.** ŻULAWSKI Jerzy. *Zwycięzca*. Wyd. IV powoj. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss 329, nrb 3 20 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej. – Stanowi cz. II trylogii

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

O debiutach i debutantach mówi się i pisze u nas sporo. Zrozumiałe jest, że każdy, komu dobro polskiej fantastyki leży na sercu, śledzi te sprawy z uwagą. Ci, którzy w ostatnich latach rozpoczęli żmudną drogę pisarskiej kariery, za lat dziesięć będą siłą rzeczy stanowić o obliczu naszej SF. Od warunków i klimatu, w jakim przyszło im pracować, zależy, czy osiągnie ona trwałą, wysoki poziom, czy też zainteresowanie fantastyką rozejdzie się po kościach, a tworzący ją pisarze długo jeszcze będą wspominać „złoty wiek”, wielki boom z lat osiemdziesiątych.

# Krajobraz po debiucie

Rafał A. Ziembkiewicz

1. Wydawcą by się mogło, że młodym autorom dano ostatnio absolutnie wszystko czego mogli potrzebować. Konkursy nagrody plebiscytu czytelników, promocyjne antologie, otwarte tamy prasy – autorzy starszego pokolenia nigdy nie korzystali z takich udogodnień. Nie można tego nie doceniać. Na pewno wielu utalentowanych, obiecujących autorów długo by jeszcze musiało czekać na druk, gdyby nie szereg rozstrzygniętych w ostatnich latach konkursów. Na pewno doroczne nagrody, wysokie miejsca w czytelnickich plebiscytach pomogły im w dalszym ciągu ze swoimi pozycjami do czytelników. Problem w tym, czy jest to wszystko, co w obecnej sytuacji można było dla młodych autorów zrobić. I zwłaszcza, czy jest to wystarczająco dużo?

2. Spróbujmy przyjrzeć się pobieżnie osiągnięciom młodej fantastyki. Jak na eufonę, która towarzyszyła jej pojawieniu się na rynku, nie są zbyt wielkie. Najwięcej zdziałali autorzy starszego pokolenia, którzy debiutując nieco później od swych rówieśników skorzystali z beneficjów, jakie przyniosły debiutantom lata osiemdziesiąte – myślę tu o Baranieckim, Ziembkiewiczu, w dużym stopniu dotyczy to też Grundkowskiego. Dzięki staraniom „Almapressu” dość szybko trafiały do księgarń ciekawe zbiory Kochańskiego i Drukarczyka. Aż dwie książki wydał Jacek Piekara, zapłacił za to jednak, jak na autora zdobywającego dopiero pisarskie osłogi, cenę wysoką, obie pozycje były wyraźnie niedopracowane, zrobione w pośpiechu, bardziej przypominały szkice niż skończone utwory. Na palcach jednej ręki policzyć można książki innych debutantów, które jednak nie wzbudziły większego zainteresowania fanów ani recenzentów, przeważnie zresztą słusznie. Gdzie jest reszta? Nie wszedł dotąd na rynek księgarski, jeśli nie liczyć pokonkursowej antologii „Trzecia brama” zaden z laureatów pierwszego konkursu „Fantastyki”. Wielu debutantów ostatnich lat w ogóle nie opublikowało drugiego tekstu, dorobek większości pozostałych ogranicza się do dwóch trzech opowiadań zamieszczonych w prasie. Można bez większej przesady powiedzieć, że młodzi autorzy nadal zapowiadają się równie dobrze jak przed kilku laty i wszystko wskazuje na to, że zamierzają się dobrze zapowadać jeszcze długo.

Oczywiście literatura to nie fabryka królików i nie ma na razie co rozdzierać szaty. Warto jednak

zastanowić się, dlaczego „czwarta generacja” jak nazwał najmłodszych autorów SF Maciej Pańkowski wyraźnie straciła rozpęd. Czyżby młoda literatura została po prostu przereklamowana i spodziewaliśmy się po niej znacznie więcej niż była w stanie – przynajmniej na razie – dać? Może doszło w fantastyce do zjawiska odwrotnego niż w przeżywającym chroniczny kryzys nurcie głównym – do „przedwczesnego debiutu”? Aby być pisarzem z prawdziwego zdarzenia nie wystarczy tylko opanować jako tako warsztat, choć jest to warunek niewątpliwie podstawowy (nawiasem mówiąc z tym nasł debiutanci, i nie tylko debiutanci, mieli zawsze najwięcej kłopotu), trzeba jeszcze mieć coś do powiedzenia. Pierwszego można się przy odrobinie dobrej woli nauczyć, do drugiego trzeba po prostu dorosnąć i żadne nagrody nie są tu w stanie kandydatów na pisarza pomóc.

Może zatem w czasach ogólnej debiutomanii, której przyczyną była „czwarta generacja”, wyciągnięto na scenę ludzi, których młodzieńcze dusze mieściły w sobie materiał na jedno tylko opowiadanie i ani literki więcej? Teza taka brzmi dość elektornie i sam przyłożyłem rękę do jej rozgłoszenia (zainteresowanych odsyłam do tekstu „Generacja wczesniaków”, zamieszczonego w almapressowskiej antologii „1984”). Nie tłumaczy jednak wszystkiego. Ponadto opiera się na mniczącym założeniu, że nowych tekstów „czwartej generacji” nie ma, a jeśli są, to tak kiepskie, że nie warto ich drukować. Tymczasem praca w kwartalniku PSMF „Feniks” dała mi możliwość lektury maszynopisów kilkunastu moich rówieśników. Piszą nadal, przeważnie rzeczy znacznie lepsze niż te, którymi debiutowali. I pomimo to nie mogą przebić się z nimi do druku.

3. Jedną z rzeczy, które w trzy lata po napisaniu „generacji wczesniaków” mogę z ręką na sercu powtórzyć, to stwierdzenie, że zadebiutować nie jest u nas jeszcze problemem. Problemem jest na rynku SF pozostać. Opublikować kolejne opowiadanie w prasie, wydać pierwszą i drugą książkę. Wszelka pomoc dla debutantów kończy się z reguły po wydrukowaniu pierwszego tekstu. Dalej trzeba już iść o własnych siłach, nie korzystając z żadnych udogodnień.

Tymczasem sytuacja autora SF uległa w ostatnich latach nagłemu pogorszeniu. Gwałtownie zmniejszyła się liczba miejsc do druku. Jako pier-

wsze wycofały się z publikowania młodej fantastyki „Problemy”, co zresztą było jedną z głównych przyczyn zrezygnowania ze współpracy z tą redakcją Lecha Jeczmyka. Odstąpiły od SF „Przegląd Techniczny” i różne gazety lokalne – jak np. łódzkie „Odgłosy” – zawsze zresztą drukujące fantastykę na odrębnym i mieszającym teksty dobre z absolutnymi knotami. Ostatnim gwóździem do trumny dla młodych autorów stała się niedawna decyzja o zamknięciu pism PSMF „Feniksa” i „SFery”. Powód? Na rynku jest już jedno pismo specjalizujące się w fantastyce, nie ma zatem potrzeby wydawania innych. Nie wiem, jak to się stało, że na przykład ukazują się aż cztery pisma dla mikrokomputerowców. Być może jest to zwykłe niedopatrzenie.

Na placu boju pozostała jedynie „Fantastyka” oraz „Młody Technik”, lansujący jeden tylko, ściśle określony typ SF i przeznaczający nań z numeru na numer coraz mniej miejsca.

Przyjmijmy optymistyczne założenie, że autorzy będą na tyle uprzejmi, aby nie przekraczać objętości 20 stron maszynopisu. Wtedy w każdym numerze „Fantastyki” będzie można zmieścić dwa opowiadania po skrócie, czy 24 opowiadania w roczniku. Tymczasem autorów, którzy chcieliby regularnie publikować, mamy lekko licząc około czterdziestu (!). Przy najlepszej woli, redakcja nie może korzystać z usług jednego częściej niż raz do roku.

Oczywiście ten ścisk dotyczy wszystkich, młodym jednak utrudnia życie znacznie bardziej niż pisarzom już uznanym. Mając do wyboru, dajmy na to, Oramusa i (założmy nawet, że równie dobrego, ale przeważnie po prostu INNY) tekst Pipszyckiego, każda redakcja wybierze Oramusa. Rzecz oczywista – trzeba drukować tych, których czytelnik zna i ceni. A jeśli nie chce się przy tym rezygnować z kolejnych debiutantów, może się Pipszyckiemu zdarzyć, że poleży w redakcyjnej szufladzie rok, dwa, może w ogóle nie doczeka się druku. I naprawdę nie będzie to wina redakcji!

O zaistnieniu na pisarskim rynku nie decydują jednak publikacje prasowe, choćby najlepsze, ale książki. I tu dopiero zaczyna się dla młodego autora prawdziwa gehenna.

O sprawach znanych aż nie chce się już pisać. Kon jak jest, każdy widzi. Papieru nie ma, drukarnie zawałone, skończył się przydział kartonu do okładek na ten rok, a jak karton będzie, to nie będzie farby albo kleju. Niejednemu młody autor zwinął obawy, że swą książkę zobaczy dopiero na łozu śmierci, jak Kopernik. Takiego, któremu tekst szczęśliwie przyjęto, i nawet wreszcie po trzech latach – o cudzie prawdziwy! – przygotowano skład i okładkę do druku, czeka kolejna przykra niespodzianka.

Otoż, po kilkakrotnej podwyżce cen książek, czytelnicy przestali kupować wszystko, jak leci i cieszyć się, że w ogóle coś dostali. Dla rynku księgarskiego, funkcjonującego od lat w sposób iscie wariacki, okazało się to ciosem nie do przetrzymania. Sprzedaż książek załamała się, hurtownie są pełne. Świeże paczki, prosto z drukarni, upycha się na ostatnich metrach półek i w jbraniowych szafkach magazynierów. Księgarze okazali się twardymi ludźmi i nie myślą ustąpić – nie wezmą nowości, dopóki nie wypchną starych cegieł. Czytelnicy z kolei marudzą, grymaszą, przebiegają i szukają takiej książki, za którą będą skłonni wywalić te pięćset, sześćset złotych. Pękające w szwach hurtownie nie chcą przyjmować nowości z drukarni. Wydawnictwa nie mają gdzie magazynować swoich wyrobów. Drukarze drukują dalej – powoli, lecz nieustępliwie. Zobaczymy, kto pierwszy pęknie.







panazy jedynie dlatego, że jest pisarzem, to jedno z wielu związanych z tym łachem nieporozumień.

6. Sytuacja młodego człowieka, który pragnie poświęcić się pisaniu, nie wygląda zatem, jak wiadać, zbyt różowo. Czy uda mu się przeżyć ciernistą drogę zależy nie tyle od jego talentu i umiejętności, ile od uporu i siły przebicia – a wiadomo, że największą siłę przebicia mają barany. Oprócz trudności, o których już pisałem, nazwijmy je „technicznymi”, czy jakkolwiek inaczej, czyhają na niego inne jeszcze pułapki, trudniejsze do wskazania i wymierzenia. Przynajmniej o jednej z nich trzeba tu wspomnieć, w jakiś sposób bowiem wiąże się ona z warunkami materialnymi pisarza, a bywa dla niego znacznie bardziej zgubna niż brak miejsca do druku czy niskie honoraria.

Marnie opłacani, traktowani po macoszemu przez wydawnictwa i redakcje autorzy rekompensują to sobie, jak potrafili. Przede wszystkim przez przyjmowanie zapożyczonych od kolegów z „głównego nurtu” poży „wieszczą”, który tłum ma za nic i gardzi nim całą swą artystyczną duszą. Trudno zresztą przejmować się opiniami czytelników, skoro i tak nie mają one żadnego wpływu na nakłady ani wysokość honorariów. Sprzyja temu też zakorzenienie głęboko w naszej świadomości przekonanie, że pisarz ulepiony jest z lepszej gliny niż zwykły człowiek. Temu przesądowi hołdują niestety także liczni autorzy. Przy czym, co najgorsze, aby być za tego „lepszego” uważanym, wystarczy jedynie zajmować się pisaniem. Nie jest tu ważne, czy autor cokolwiek potrafi i co rzeczywiście warte są jego dokonania. Przeciwny czytelnik pogodził się w głębi ducha z przekonaniem, że „panowie artyści” piszą dla niego zbyt mądrze i nic z tego nie da się „wyrozumieć”. Może i uznaje ich za coś lepszego od siebie, prostego – dajmy na to – robotnika, tyle że ich nie czyta. Nawet nie próbuje, bo i po co?

Nie myślę tu nawracać różnych nawiedzonych poetów i prozaików od tematyki egzystencjalno-moczościowej, na których w ramach studiów polonistycznych napatrzyłem się w życiu sporo. I tak mało kogo ich działalność interesuje (według wspomnianych już sondazy współczesną literaturę głównego nurtu czytuje 0,8% Polaków), została im ich zatem w spokoju. Przeraza mnie natomiast, że ów młodopolski obraz artysty-cygana, tworzącego sztukę dla sztuki, zaczyna się upowszechniać wśród autorów fantastyki, literatury masowej – co już jest idiotyzmem samym w sobie. Trzeba jednak pamiętać, że debiutanci, o których tu mowa, to ludzie młodzi, czasem nawet bardzo młodzi, a takim niejedna brednia potrafi zaimponować.

Nie tak dawno, podczas staszowskiego „Folkconu” jeden z młodszych obiecujących z całą powagą przekonywał mnie w publicznej dyskusji, że prawdziwy pisarz tworzy tylko i wyłącznie dla siebie i że robienie tekstów „pod publiczność” jest sprzeczne z honorem artysty (owo pisanie „pod publiczność” oznaczać miało budowanie nastroju, napięcia oraz atrakcyjnej dla czytelnika fabuły, o czym w trakcie dyskusji mówiłem). Można oczywiście odpowiedzieć krótko, że faceta, który pisze dla siebie, nie ma potrzeby drukować. Oznaczałoby to jednak zgodzenie się w duchu z tkwiącym u podstaw tego sposobu myślenia kardynalnym błędem. Literatura przecież nie funkcjonuje w procesie pisania, ale w odbiorze, istnieje tylko o tyle, o ile jest czytana i przeżywana. Naturalnie, gdzieś na wierzchołku literatury istnieją zawsze dzieła naprawdę wielkie, które nigdy nie będą dostępne dla każdego. Ich wielkość nie wynika jednak z tego, że są trudne i wymagają od czytelnika

sporego przygotowania. Na pewno zaś nie wynika ze zwykłego pozerstwa. Inaczej mówiąc, fakt, że wielu wybitnych uczonych było ludźmi bardzo rozlagniętymi nie oznacza wcale, że każdy, kto ugotuje na miękko zegarek spoglądając na trzymane w ręku jajko, stanie się automatycznie Newtonem.

Wierzę mi, że nie ma dla pisarza, zwłaszcza młodego, nic bardziej zabójczego niż poczucie się wielkim, wspaniałym twórcą, który niczego już nie musi się uczyć, a wszelka praca nad sobą i swoimi tekstami to dla niego strata czasu. Kilku kolegom z „czwartej generacji” chyba już się to niestety przydarzyło, w czym zresztą miały swój udział debiutanckie beneficja, o których pisałem na początku – co, nie ma róży bez kolców. Tylko patrzeć, jak zaczną się oddawać „literackim aktom samokomunikacji – autora z samym sobą” (cytał z poważnej recenzji dzieła przynależącego do „prawdziwej” literatury) lub opisywać wewnętrzne rozdarcie „bohatera, dążącego do samounicestwienia poprzez bolesne odczuwanie gęstniejącej wokół egzystencjalnej pustki” (jak wyżej).

Dopóki autorów takich jest kilku, nie grozi to niczym szczególnym – po prostu czytelnicy po paru próbach przestaną ich czytać. Gdy jednak w ten sposób zaczynają myśleć wszyscy, następuje po prostu atrofia literatury jako takiej. I w tym tkwi odpowiedź na pytanie, dlaczego po współczesną literaturę poważną sięga zaledwie 0,8% Polaków. Wprowadzenie fantastyki na ten sam ślepy tor, na którym ugrzązł od dobrych dziesięciu lat nurt główny, równa się jej zniszczeniu.

Pozostaje pytanie, czy można młodego człowieka uchronić przed wodą sodową, która uderza mu do głowy, i czy warto to robić. Uważam, że w pewnym stopniu można i że warto. Inaczej możemy się doczekać sytuacji, kiedy ani jednej książki nie będzie nie w 40 lecz w 90% polskich domów. A naprawdę smutny jest los narodów, które obywają się bez literatury.

7. Nie uważam, żebym wyczerpał temat czy nawet nasświetlił go dostatecznie mocno. Jest to – jakby powiedział Monteskiusz – kł, który ma bardzo wiele końców. Polska fantastyka, moim zdaniem, stoi obecnie na rozdrożu. Albo w swej masie osiągnie poziom wysoki i zdobędzie sobie trwałe miejsce w naszej kulturze, albo zwiednie i nie przeskoczy siebie samej. Nie sposób na razie powiedzieć, dokąd doprowadzi ją tych kilkunastu, kilkudziesięciu może młodych ludzi, którzy niedawno podjęli decyzję: „będę pisarzem, będę pisał fantastykę”. To, czy pojawi się wśród nich nowy Lem czy nowy Żydel, nie zależy od wyroków opinioznawców. Jest sprawą konkretnych warunków, na które da się wpłynąć. Nagorszym, co możemy zrobić, jest czekanie z założonymi rękami na objawienie się wśród młodych geniusza.

Mozna i trzeba dołożyć starań, aby utalentowany autor mógł u nas naprawdę rozwinąć skrzydła i w pełni wykorzystać swoje możliwości. Można i trzeba postarać się, aby przeciętny czytelnik mógł liczyć na coś lepszego niż „Morderca przychodzi zygakiem”. Można i trzeba za pomocą kilku mądrze pomyślanych zasad funkcjonowania rynku oczyścić księgarnię z cegieł. Inaczej może i będziemy mieli arcydzieła (raczej wątpliwe), ale przeciętnemu obywatelowi pozostanie, jako jedyna dostępna mu forma uczestnictwa w kulturze, oglądanie przygód straszego Leoncia i jeszcze straszniejszej Isaury.

Czego naprawdę nikomu nie życzę.

sierpień 1987

Rafał A. Ziembkiewicz

„K” jak Karakorum, „2” jak drugi co do wysokości szczyt naszego globu – zaledwie o 237 m niższy od Mount Everestu, ale bez wątpienia najtrudniejszy ze wszystkich 14 ośmiotysięczników Ziemi. Pierwszy atak na „Górę Gór” przypuszczono równo 85 lat temu, ale K2 poddał się dopiero w 1954 roku. O zezwolenie na tegoroczną wyprawę ubiegało się wiele państw; wyjątkowa pozycja Polaków oraz 5 lat wspólnych polsko-kanadyjskich starań sprawiły, że tej właśnie ekipie władze Pakistanu przyznały prawo dokonania czegoś niemożliwego – pierwszego w historii wejścia na K2 zimą! Podczas lektury tego wywiadu Czytelnicy sami zorientują się, dlaczego znalazł się on w „Fantastyce”. Być może jesteśmy świadkami pokonania ostatniego już, najwyższego stopnia trudności górskich na naszej planecie, a dla następnych pokoleń zostanie tylko eksploracja wierzchołków księżycowych czy marsjańskich. Fantazja? Zobaczmy.

Rozmawiam dziś z kierownikiem tej bezprecedensowej wyprawy na K2 – jednym z najwybitniejszych alpinistów świata, inicjatorem i organizatorem zimowych wspinaczek na wierzchołki Himalajów, człowiekiem-legendą, który jako pierwszy z ludzi przekroczył zimą w górach granicę 7000 m i 8000 m – Andrzejem Zawadą.

**Stanisław Remuszko:** – Opis każdej góry w fachowym przewodniku podaje zawsze nazwiska pierwszych zdobywców wierzchołka latem oraz autorów pierwszego wejścia zimą. Do 17 lutego 1980 roku kroniki himalajskie notowały jedynie wejścia letnie, bo zimą nikt nie ośmielał się atakować najwyższych szczytów świata. Tego jednak dnia uczestnicy kierowanej przez pana wyprawy Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki stanęli na Everestze (8848 m), otwierając tym samym epokę himalaizmu zimowego. Co działo się przez następne osiem lat?

**Andrzej Zawada:** – Umocnił się nasz światowy prymat w tej dziedzinie, wchodząc zimą na dalszych pięć gigantów o wysokości ponad 8000 m: Manaslu, Dhaulagiri, Cho Oyu, Kangchendzongę i Annapurnę. Począwszy od sezonu 1979/80, w Himalajach i Karakorum odbyły się dotąd ogółem 44 zimowe wyprawy na ośmiotysięczniki, z czego powiodło się tylko siedem: sześć polskich i jedna japońska.

– Kiedy czyta się barwne relacje z takich eskapad, trudno oprzeć się wrażeniu, że sukcesy w nich odnoszą najsilniejsi z silnych, najsміeli z śmiałych i najtwardsi z twardych ludzi na świecie. Czy zgadza się pan z tą opinią?

– Przy ocenie czyjejś wytrzymałości psychofizycznej zawsze trzeba być bardzo ostrożnym, gdyż są to sprawy często niewymierne i przez to nieporównywalne. Przypuszczam na przykład, że podobną odporność na zmęczenie i stres muszą wykazywać piloci wysokościowcy i kosmonauci, żeglarze samotnie przemierzający oceany, głębinowi nurkowie...

– **Pozostaniemy przy najwyższych górach Ziemi, przy ośmiotysięcznikach. Co broni do nich dostępu?**

– Jeśli nie liczyć obciążeń psychicznych, na drodze stoją trzy główne bariery. Przede wszystkim trudności skalne, śnieżne i lodowe, podobne nawet „jakościowo” do alpejskich, tyle że odległości i rozmiary lodowców, soian i przepaści są tu przynajmniej 2–3 razy większe. Ta skala jest pierwszym czynnikiem różniącym wspinaczy podług ich indywidualnej predyspozycji. Po drugie – warunki zimowe. W porównaniu z latem mamy więcej śniegu, ostrzejszy mróz, silniejszy wiatr, krótszy dzień i znowu jest to rozmarcie odbierane, na przykład podatność na odmrożenia może być większa lub mniejsza.

Wreszcie bariera trzecia, najbardziej brutalna i bezwzględna – bariera wysokości, zwana również barierą tlenu. Bywa, że przedwrotnie eliminuje tych, którzy na przykład mieli wspaniałe wyniki w Alpach. Trzeba bowiem pamiętać, że już w himalajskiej bazie – czyli przeważnie na wysokości około 5500 m – tlenu jest o połowę mniej niż na poziomie morza, a na wierzchołkach wysokich ośmiotysięczników ciśnienie powietrza nie przekracza i 30% normalnego!

– **A aklimatyzacja?**

– W stosunku do niektórych osób nawet wielotygodniowa aklimatyzacja nie pomaga. Taki po prostu mają organizm: nigdy nie będą himalaistami.

– **Co czeka tych, którzy się zaadaptowali?**

– Bardzo ciężka praca w skrajnie trudnych warunkach terenowych i atmosferycznych. Trzeba założyć kolejne, położone coraz wyżej obozy. Trzeba wynieść do nich tlen i wyposażenie. Trzeba na wielu odcinkach rozpiąć ułatwiające wspinaczkę liny poręczowe. Nierzadko trzeba część roboty powtarzać, bo na przykład wyliczona trasa lub postawiony namiot zostały tymczasem zasypane przez lawinę. A wszystko przeważnie w takim wicherze i mrozie, że pojęcie o nich może mieć – tak naprawdę – tylko ten, kto odczuł je na własnej skórze.

– **Niech pan powie, co to jest mróz w Himalajach.**

– W bazie jest jeszcze „ciepło” – średnio jakieś minus 20–25°C. W miarę posuwania się w górę, temperatura spada przeciętnie o 0,7 stopnia na 100 metrów, tak że na szczycie ośmiotysięcznika musi być przynajmniej te –40°C. Na Everestcie na przykład mieliśmy minus pięćdziesiąt.

– **Tyle bywa na Syberii i Antarktydzie.**

– Ale na siedmiu, ośmiu kilometrach mróz jest czymś zupełnie krańcowo innym niż na nizinach, bo brak tlenu i strasznie wieje! Wiatr jest najgorszym przeciwnikiem, wiatr zabija. 50° mrozu przy bezwietrznej pogodzie jest niczym w porównaniu z minus 5° i szalejącą wichurą!

– **Jaką prędkość ma taki wiatr?**

– Zimą w bazie pod Everestem wiatromierz pokazywał 120–130 km/h. Na Przełęczu Południowej nie mieliśmy już tego przyrządu, ale oceniam, że mogło być 200–250 km/h. Nie da się wtedy iść ani stać, trzeba paść na kolana i trzymać się czegoś, bo człowiek zostanie zmeciony. A jak taki wicher odbiera ciału ciepło...

– **Czemu zatem w tak ekstremalnie nieprzyjnym dla człowieka środowisku pojawia się każdego roku coraz więcej wspinaczy, poruszają się oni szybciej i robią drogi, wydawałoby się wczoraj, nie do pokonania?**

– Historia zdobywania gór najwyższych, rozpoczęła praktycznie w pierwszych latach XX wieku, jest zarazem historią gromadzenia wiedzy i doświadczeń himalajskich, historią rozwoju wspinaczkowej taktyki i techniki, wreszcie historią stałych postępów w konstruowaniu coraz doskonalszego

wyposażenia. Pod tym względem od czasów Hillary’ego i Tenzinga minęła cała epoka!

– **Przepraszam, ale czy ci zdobywcy Everestu sprzed 34 lat nie nosili takich samych puchowych kurtek, nie wiązali się linami, nie używali czekanów i raków?**

– Puchu rzeczywiście nie udało się jeszcze niczym zastąpić, ale cała reszta, to zupełnie inna jakość! Sprzet jest lepszy, mocniejszy, bardziej funkcjonalny. Na przykład współczesne raki i czekany umożliwiają wspinanie się po pionowych, a nawet nieco przewieszonych ściankach lodowych, co kiedyś było nie do pomyślenia. Dalej: ciężkie i kapryśne prymusy benzynowe ustąpiły miejsca niezawodnym maszynkom na butan. Wielowarstwowe, wygodne buty z tworzyw sztucznych gwarantują zachowanie ciepłoty nóg przy temperaturze –35°C. W namiotach – lekkie maszty z włókien węglowych. Karabinki i haki z

# K2 – zimą!

z Andrzejem Zawadą rozmawia Stanisław Remuszko

tytanowych stopów, także butle z tlenem o ciśnieniu do 400 atmosfer...

– **Brzmi to niemal jak opis ekwipunku kosmonauty.**

– Bo też i korzystamy z kosmicznych materiałów i technologii. Trzy najbardziej spektakularne przykłady takich zastosowań: tzw. karimaty, czyli mrozo- i wodoodporna mata grubości półtora centymetra, które można położyć na lodzie, a mimo to śpiącemu nie będzie zimno; przepuszczająca powietrze, ale zatrzymująca zewnętrzną wilgoć tkanina „goretex” na bieliznę, ubrania i namioty; wreszcie płachty z folii o nazwie NRC – tej samej folii, która okrywała lądowisk księżycowych w programie „Apollo”, a w górach niezwykle skutecznie chroni organizm przed utratą ciepła. A przecież jest jeszcze „nieważka” liofilizowana żywność, są małe i sprawne radiotelefony, łączność satelitarna...

– **Rozumiem, że wspinacz jest dziś znacznie lepiej zabezpieczony przed urazami, mrozem i wiatrem, może jednorazowo zabrać w górę znacznie więcej sprzętu i jedzenia, ma też w razie czego znacznie większe szanse na uzyskanie pomocy. Ale mimo tych wszystkich ulepszeń i innowacji wypadki wciąż się zdarzają.**

– Widzi pan, ja często powtarzam, że w alpinizmie trzeba zachować styl i elegancję wejścia. O czym mówię? Otóż powoduje nami ta sama prymarna motywacja, która człowieka wyciągnęła z jaskiń – a więc ciekawość świata, wsparcia przyjemnością płynącą z wyczynu i współzawodnictwa. To jest naturalne, ale zakłada dobro wolność – inaczej niż na przykład na wojnie, kiedy działanie jest z reguły wymuszone: jeśli czegoś nie zrobisz, to zginiesz. Alpinizm powinniśmy zatem uprawiać trochę na zasadzie zabawy, jak każdy sport. A kiedy się sportujemy? Wówczas, gdy jesteśmy wypoczęci i zabezpieczeni, gdy nie walczymy o życie i elementarny byt. Klasa i styl oznaczają więc, że nie należy się odmrażać w górach, nie należy mieć czarnych plam przed oczami, nie należy umierać z niedotlenienia...

– **... należy chyba przede wszystkim w całości i zdrowiu wracać?**

– Tak jest! Należy wracać na dół! Czasem trzeba w tym celu umieć zrezygnować z czegoś, na co się długo czekało, a co wydaje się być w zasięgu ręki. Uważam, że jeśli kogoś nie stać na takie wspinanie, to nie powinien chodzik w wysokie góry!



– **Czy dużo młodych ma odmienny pogląd na to, co pan teraz mówi?**

– Szczęśliwie nie, większość jest podobnego zdania. Trenują, planują, starają się o lepszy sprzęt. Stopniują trudności: najpierw Tatry, potem Alpy, ewentualnie Kaukaz lub Hindukusz, dopiero na koniec Himalaje. Najpierw lato, potem zima. Najpierw drogi łatwe, potem trudne. I to właśnie jest konieczną logiką, niezbędną racjonalnością w rozwijaniu osobistych umiejętności na miarę predyspozycji własnego organizmu. Jest to jedyna droga do uzyskania patentu na prawdę fachowego wspinacza.

– **Jutro wyrusza pan do Pakistanu, by nadzorować pierwszy etap przedsięwzięcia, jakiego jeszcze w Karakorum nie było: w sumie blisko 600 tragarzy i 12 ton sprzętu, 20 świetnych himalaistów (w tym 10 Polaków!), 4 lekarzy, 4 kucharzy, 6 osób ekipy telewizyjno-filmowej, czas trwania od jesieni do wiosny, koszt niemal pół miliona dolarów...**

– Na całe szczęście my pokrywamy tylko znikomą część tych wydatków, a i to tylko w zlotówkach. Trzeba pamiętać, że w ostatecznym kształcie jest to wyprawa organizowana wspólnie przez Polskę, Kanadę i Anglię na zasadach partnerstwa; sponсорuje jej także ponad 60 światowych firm produkujących sprzęt turystyczny i wypoczynkowy.

– **Towarzyszy jej również ogromne zainteresowanie publikatorów, które o krzyknęły ją, słusznie chyba zresztą, wyprawą stulecia. Słyszałem, że są nawet czynione przymiarki do bezpośredniej transmisji telewizyjnej?**

– Czy to się uda, nie wiadomo. W każdym razie alpinisci biorący udział w akcji górskiej wezmą ze sobą leciutkie kamery TV z nadajnikami i prześlą obraz do magnetowidu w bazie; stamtąd dopiero byłby emitowany program do satelity, a z satelity do wielkich sieci telewizyjnych na Zachodzie. Niewykluczone zatem, że czytelnicy „Fantastyki”, siedząc w domowym zaciszu, ujrzą na własne oczy to, co w tej samej chwili dzieje się na grani K2 na wysokości ośmiu kilometrów.

– **Co zwykło się mówić wspinaczom wyruszającym w góry?**

– Proszę za nas wszystkich po prostu trzymać kciuki.

– **OK! Dziękuję za rozmowę.**



Krzysztof Sokółowski

# STEPHEN KING

## Król Stefan I



STEPHEN KING

Historia zna kilku królów Stefanów. Byli wśród nich władcy leniwi i stabi, ale byli też energiczni, dobrzy dowódcy, którzy kogoś przed czymś bronili, walczyli i wygrywali. Nasz KRÓL STEFAN, któremu poświęcono wiele stron w tym numerze „Fantastyki”, odniósł jednak sukces bez precedensu. Dokonał tego, czego nie udało się przed nim nikomu oprócz samych filmowców. Podbił Hollywood, a dokładniej: cały amerykański przemysł filmowy, co jest triumfem tak wielkim, że wręcz niewymiernym.

Do 1986 roku wszystkie opublikowane przez Kinga pod własnym nazwiskiem (używał jeszcze pseudonimu Richard Bachman) powieści zostały przetłócone na język filmowy (część filmów jest w produkcji). Ośiem spośród jego opowiadań stało się podstawą filmów pełnometrażowych, a z czterech innych powstały półgodzinne filmy przeznaczone do rozpowszechniania w telewizji lub na wideokaseta. Co więcej – niemal każdy ze specjalizujących się w kinie grozy reżyserów w taki lub inny sposób współpracował z tym „nie-samowitym” pisarzem i to jednak nie wszystko! King pisze scenariusze! King jest aktorem (pojawił się w „Knightriders” A. Romero). King próbuje swych sił jako reżyser, pracując nad opartym oczywiście na jego własnym opowiadaniu filmem „Maximum Overdrive”. Od czasu Czangis-chana nie było chyba władcy, który tak błyskawicznie odniósł tak wielki sukces. Pisze „błyskawicznie”, bowiem kariera filmowa Kinga rozpoczęła się dopiero w 1976 roku. Niewiele ponad dziesięć lat temu!

Dla krytyka zajmującego się problematyką fantastyki w różnych mediach kanera ta jest wręcz niewiarygodnie bogatym źródłem badań nad wzajemnymi wotywami fantastycznej literatury i kina. Z jednej strony mamy przecież do czynienia

z jednorodną stylistycznie twórczością niezbyt skomplikowanego pisarza, z drugiej zaś możemy badać filmy smietanki „Hollywoodu”: Davida Cronenberga, Johna Carpentera, Stanleya Kubricka, Stevena Spielberga. Oczywiście nie można dokonać tego wszystkiego w wąskich ramach niniejszego szkicu.

Z pewnością wszystkie adaptacje prozy Kinga można ocenić tak, jak zrobił to on sam, jako nierówne. Sam początek zapowiadał jednak wiele: „Carrie” Briana de Palmy (1976) zyskała ogólne pochwały, nominację do Oscara dla Sissy Spacek i Piper Laurie. Otworzyło to Kingowi drzwi, za którymi czekał szeroki ekran.

„Salem’s Lot” z 1979 roku doczekał się adaptacji telewizyjnej na czterogodzinny serial, którego twórcą był Toby Hooper, znany wcześniej z oczekującego krwawą „arcydzieła” „The Texas Chainsaw Massacre”. Dla tego filmu King starał się być... hm – uprzejmy. Stwierdził tylko, że udany scenariusz zbyt dobrze został dostosowany do wymagań komercyjnej telewizji. Jego ulubionym filmem jest natomiast „Cujo” Lewisa Teague z 1983 roku, co zastanawia o tyle, że powieść pod tym samym tytułem uważana jest przez krytyków za najsłabszą w bogatym dorobku tego autora. Wyjaśnieniem może być to, że w tym przypadku pisarz posłużył się raczej prostymi kryteriami, twierdząc, że „Cujo” zawiera „najstraszniejsze obrazy w historii kina”. Ze zdaniem tym polemizowałyby zapewne widz pamiętający „The Dead Zone” Davida Cronenberga (1983), uchodzący z kolei za najlepszą kinową interpretację współczesnego horroru.

Wypada w tym miejscu wspomnieć także o pierwszej próbie adaptowania opowiadania Kinga na pełnometrażowy film „Children of the Corn” (1984) najlepiej można scharakteryzować

stwierdzeniem autora dwudziestostronicowego opowiadania, które próbowano rozciągnąć jak gumę: *jest to dzieło bardzo młodych ludzi, którzy kiedyś z pewnością zrobią coś lepszego.*

Problem odwrotny ze znacznie większym sukcesem rozwiązał Mark Lester w „Firestarter” (1984). Tym razem czterystustronicowa powieść została ściśnięta w dziewięćdziesięciminutowy film, którego scenariusz King uważa za najlepszy ze wszystkich powstałych na podstawie jego twórczości.

Do tej pory zadowalaliśmy się jedynie przytaczaniem tytułów z możliwie najkrótszymi „recenzijkami”. Nie można jednak w ten sposób skwitować dwóch najbardziej kontrowersyjnych realizacji: „Christine” Johna Carpentera (1983) i „The Shining” Stanleya Kubricka (1980).

By właściwie ocenić „Christine” trzeba zdać sobie sprawę z sytuacji, w jakiej powstał ten film. Prawa do powieści zostały zakupione wtedy, gdy istniała ona jedynie w maszynopiśmie, prace realizacyjne zaczęły się cztery dni przed publikacją i trwały niespełna rok. Oddajmy jeszcze raz głos Kingowi, tym razem po to, żeby się z nim nie zgodzić: „Christine” to dobry film, bliski duchowi książki... niestety jest w nim bardzo mało Johna Carpentera.

Stwierdzenie to może być oczywiście oparte na tym, że zarówno pisarz, jak i reżyser z zapałem i podziwu godną spostrzegawczością notują obyczaje współczesnej Ameryki, rytm jej życia i swego rodzaju „egzotykę” obyczajów. Mił samochodu jako przedmiotu kultu i pożądania, tak bardzo przecież amerykański, jest więc bliski im obu. Ale, tytułem najskromniejszej polemiki dodać także wypada, że ukazanie zakamarków ludzkiej psychiki jest już dziełem samego Carpentera, tak jak bardzo dla niego charakterystyczny dziwny, powolny, chłodny i obiektywny sposób narracji.

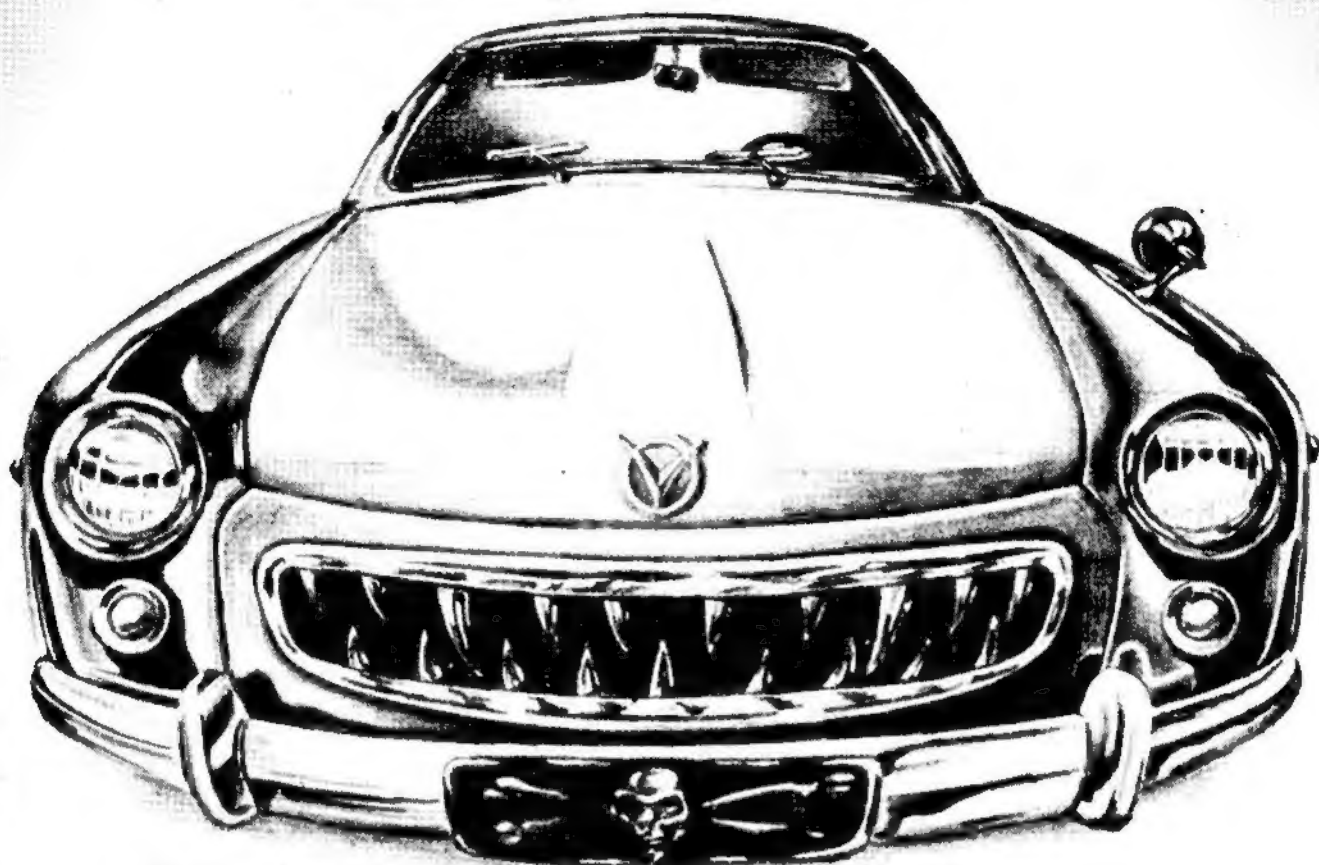
Carpenter doskonale zmieścił się w konwencji „horroru” (jedną z najcenniejszych jego zalet jest to, że zawsze mieści się w konwencji, najczęściej pogłębiając ją o swego rodzaju „trzeci wymiar” i ujawniając widzowi to, czego wcześniej nie dostrzegał). Inaczej jest z „The Shining” Kubricka. Ten film również domaga się osobnego potraktowania jako dzieło, bez przesady, wybitne; kilka podstawowych twierdzeń można jednak wypowiedzieć nawet w tak krótkim tekście. Zaczniemy, oczywiście, od samego Kinga: *Kubrick próbował reformować gatunek, którego nie rozumie. Co to właściwie znaczy?*

Wydaje się, że jak wielu przed nim i niewątpliwie jeszcze wielu po nim – sam „król” wpadł także w pułkę myślenia schematami, wypełnioną ciałami wielu krytyków i bardzo wielu fanów. Horror to horror, fantasy to fantasy, SF to SF – zdumiewająco często zdumiewająco wielu zdumiewająco sprawnie postępuje się tą banalną tautologią. Kubrick myśli inaczej: nie regułą gatunkową, lecz środkiem przekazu – filmem. Nazywają go „wielkim reformatorem” właśnie dlatego, iż wie, że kino to „świat bez granic”. Problem „rozumienia gatunku” najwyczejniej dla niego nie istnieje i dzięki temu dostrzega on to, czego nie widzą inni, a na to, co inni zobaczyli, patrzy inaczej. Przyzwyczajaliśmy się do tego, że horror ma straszyć, powieść „The Shining” straszy, a film...? Ten jest raczej opowieścią o tym, jak rodzi się strach. W książce dostrzegł reżyser to, czego nie zauważył w niej sam pisarz. To cechą dobrego interpretatora. Umiejętność przekazania tego w dziele jest zaś cechą dobrego, w tym wypadku nawet bardzo dobrego twórcy.

I to, na razie, wszystko. Temat pozostaje otwarty. King żyje, cieszy się dobrym zdrowiem i... pisze. Amerykański przemysł filmowy także żyje i – jeżeli mierzyć wielkością produkcji – czuje się również niezłe. Do pisania na temat „Kinga w filmie” będzie więc jeszcze niewątpliwie sporo okazji.



# Krytyka



A. Brzezicki '87

## SF na świecie

### Nebula 1986

2 maja 1987 r. w Nowym Jorku przyznano nagrody Nebula za najlepsze utwory SF, jakie ukazały się w roku 1986:

● najlepsza powieść: Orson Scott Card – „Speaker for the Dead” (Tor Books), ● najlepsza mikropowieść: Lucius Shepard – „R and R” (IASFM), ● najlepsza nowela: Kate Wilhelm – „The Girl Who Fell into the Sky” (IASFM), ● najlepsze opowiadanie: Greg Bear – „Tangents” (Omni), ● „Grand Master Award” – Isaac Asimov.

### Nagrody „Locus 1987”

● najlepsza powieść SF: Orson Scott Card – „Speaker for the Dead”, ● najlepsza powieść fantastyczna: Gene Wolfe – „Soldiers of the Mist”, ● najlepszy debiut powieściowy: Jack McDevitt – „The Hercules Text”, ● najlepsza książka non-fiction: Brian Aldiss i David Wingrove – „Trillion Year Spree”, ● najlepsza mikropowieść: Lucius Shepard – „R and R”, ● najlepsza nowela: David Brin – „Thor Meets Captain America”, ● najlepsze opowiadanie: Isaac Asimov – „Robot Dreams”, ● najlepsza antologia: Gardner Dozois – „The Year’s Best SF”, Third Annual Collection, ● najlepszy grafik: Michael Whelan, ● najlepszy magazyn: „F

and SF”, ● najlepszy wydawca: Ballantine – Del Rey.

### Nagroda im. Philipa K. Dicka

„Philip K. Dick Memorial Award 1987” za najlepszą książkę wydaną w serii kieszonkowej w roku 1986 otrzymał James P. Blaylock za powieść „Homunculus”. Nazwisko laureata podali do publicznej wiadomości organizatorzy konkursu, David Hartwell i Algis Budrys, w trakcie Nowoscon Alternacon w Seattle (USA) w marcu 1987 r.

### Nagrody BSFA 1987

Podczas brytyjskiego National- and Eastercon, odbywającego się w kwietniu 1987 r. w Birmingham, ogłoszono nagrody British Association, przyznawane tradycyjnie przez gości Easterconu. Oto laureaci:

● najlepsza powieść: Bob Shaw – „The Ragged Astronauts” (Gollancz), ● najlepsze opowiadanie: Keith Roberts – „Kaeti and the Hangman” (Kerosina), ● najlepszy film: „Aliens”, ● najlepsza ilustracja: Keith Roberts – „The Clocktower Girl” (Kaeti and Company).

W trakcie Easterconu przyznano też (po raz pierwszy) nagrodę Arthura C. Clarke’a. Otrzymała ją Margaret Atwood za „The Handmaid’s Tale” (Cape). Nagrodę będzie otrzymywać

kazdorazowo autor najlepszej powieści SF opublikowanej w Wielkiej Brytanii w roku poprzednim. 70-letni Clarke, żyjący na Sri Lance (Ceylon) i tam też prowadzący swoją działalność, nie był niestety obecny podczas oficjalnej ceremonii, ufundował jednak premię pieniężną w wysokości 1000 funtów szterlingów i obiecał swoje wsparcie w tej mierze.

„Arthur C. Clarke Award” przyznaje jury, w skład którego wchodzi po dwóch członków „British SF Association”, „International Science Policy Foundation” oraz „Science Fiction Foundation”.

### Nagrody im. Campbella i im. Sturgeona

W lipcu 1987 r. na Uniwersytecie w Lawrence (Kansas, USA) rozdano nagrody poświęcone pamięci Johna Campbella oraz Theodora Sturgeona.

„John Campbell Memorial Award” za najlepszą powieść SF roku 1986 otrzymała Joan Slonczewski autorka książki „A Door Into Ocean”. Drugą nagrodę otrzymał James Morrow („This is the Way the World Ends”) a trzecią Orson Scott Card („Speaker for the Dead”).

Od roku 1987 Uniwersytet w Lawrence postanowił przyznawać również nagrodę za najlepsze opowia-

danie roku. Nagrodę tę nazwano imieniem zmarłego Theodora Sturgeona, a ustanowiono ją z inicjatywy Jamesa Gurina, który na tym właśnie uniwersytecie kieruje katedrą i centrum studiów nad SF (KU Center for the Study of SF). Dodajmy, że Uniwersytet w Kansas zarządza całą literacką spuścizną Sturgeona, jego listami, dokumentami, książkami i rękopisami.

Podobnie jak „Campbell Memorial Award” również „Sturgeon Award” jest przyznawana przez specjalnie powołane w tym celu jury. Po raz pierwszy nagrodą im. Theodora Sturgeona przypadła w udziale Judith Moffett za opowiadanie „Surviving”.

### Nagrody Boreali 1986

Nagrody Boreali są przyznawane corocznie na kanadyjskim Boreali SF-Conie w Quebec za książki SF wydane w języku francuskim. Oto laureaci:

● najlepsza powieść: Esther Rochon – „L’Epuisement du Soleil”, ● najlepsze opowiadanie: Agnes Guitard – „Compost”, ● najlepszy grafik: Sue Kinnard, ● konkurs pisarski: Yves Menard.

Franz Rottensteiner